

**Meg Alexander**



## **Przyjaźń i kochanie**

Tłumaczyła Weronika Żółtowska  
Tytuł oryginalny: The passionate friends

## Rozdział pierwszy

Elizabeth Wentworth westchnęła z irytacją.

- Judith, co ja słyszę? Zgodziłaś się wyjść za Truscotta? Własnym uszom nie wierzę!

Dyskretne chrząknięcie trzeciej z pań, siedzących w salonie domu przy Mount Street, sprawiło, że oburzona dama zreflektowała się i przerwała tyradę. Rzuciła szwagierce błagalne spojrzenie, prosząc o potwierdzenie swych zastrzeżeń, ale Prudence udała, że tego nie dostrzega. Od dwunastu lat była mężatką i dawno nauczyła się panować nad wybuchowym temperamentem. Nie sposób odwołać przykrych słów, choćby się ich potem żałowało.

Nie bez trudu usiadła wyprostowana na sofie, przyjaźnie uśmiechając się do gościa. Była w zaawansowanej ciąży. Oczekiwała czwartego dziecka.

- Jak do tego doszło, Judith? To dopiero niespodzianka! Nie miałyśmy pojęcia... - Głos Prudence brzmiał łagodnie, a spojrzenie wyrażało szczere przywiązanie do uroczej przyjaciółki.

Próba dyskretnego skarcenia nazbyt szczerzej Elizabeth spelzła na niczym. Młoda dama zerwała się na równe nogi i zaczęła chodzić po salonie.

- Jak mogłaś go przyjąć! - zawołała. - Nie będziesz z nim z tego, że jest bohaterem sezonu? Owszem, stał się modny, a bywalcy salonów chodzą na jego kazania.

Problem w tym, że on nie wierzy w to, co mówi. Straszy ogniem piekielnym i wiecznym potępieniem, a jednak łągnie do wyższych sfer, których występki tak srogo piętnuje.

- Elizabeth, tego już za wiele! - przerwała stanowczo Prudence. - Nie dopuszczasz Judith do słowa. Bądź łaskawa przyjąć do wiadomości, że nasza przyjaciółka jest istotą rozumną i wie, co robi.

- Daruj jej, Prudence - powiedziała cicho Judith. - Rozumiem, że obie jesteście bardzo zaskoczone. Trudno się dziwić. Wielebny Truscott nie czynił mi żadnych awansów. Dopiero ostatnio, przed kilkoma tygodniami...

Elizabeth wyprostowała się i już miała wtrącić kąśliwą uwagę, lecz Prudence rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie. Obie wiedziały doskonale, w czym rzecz. Niespełna miesiąc minął, odkąd Judith dowiedziała się o spadku. Brat matki zapisał jej spory majątek. Wiekowy samotnik zaskoczył wyższe sfery, ponieważ nie oczekiwano, że uwzględni w testamencie jedyną siostrzenicę.

- Sama byłam zdumiona - przyznała spokojnie Judith, uśmiechając się mimo woli. - Przyznajcie, że trudno mnie uznać za piękność. Nie błyszczę w salonach. Nie jestem mistrzynią w sztuce konwersacji, bo peszy mnie rozmowa z nieznajomymi, a co do poczucia humoru... - Skrzywiła się kpiąco na myśl o swoich niedostatkach.

- Jesteś dla siebie nazbyt surowa, kochanie - przerwała Elizabeth z serdeczną przyganą. - Ogólnie wiadomo, że język masz cięty i potrafisz żartować jak mało

kto. Ileż to razy wszystkie trzy zaśmiewaliśmy się do łez, gdy opowiadałaś dykteryjki.

- Skończyłam dwadzieścia pięć lat. Spędziłam w Londynie kilka sezonów. Ilu miałam starających? Nie trudź się, sama odpowiem. Jak to mówią, nikogo sobie nie przygruchałam.

- Bo jesteś przesadnie milcząca! Jak młodzi panowie mają się na tobie poznać, skoro w ogóle się do nich nie odzywasz? My wszyscy bardzo cię kochamy, najmilsza. Łudziliśmy się, że ty i Dan...

- Elizabeth, dość tego! - Gdy padło imię przybranego syna, Prudence uznała, że lepiej będzie przerwać wywody szwagierki.

Przed sześcioma laty miała nadzieję, że Judith wyjdzie za Dana. Życzliwym okiem patrzyła na czułą przyjaźń dwojga młodych, niepodobną do gwałtownego uczucia, które połączyło ją z Sebastianem, ani do burzliwych zalotów Perry'ego do Elizabeth.

Judith i Dan spędzali razem długie godziny. Rzadko się odzywali, lecz najwyraźniej dobrze się czuli w swoim towarzystwie. Dan rysował, poprawiając detale okrętów wojennych, projektowanych dla brytyjskiej marynarki, a Judith przelewała myśli na papier.

Tylko najbliższym przyjaciółom udawało się namówić ją, żeby głośno czytała swoje utwory. W krótkich opowiadaniach z humorem opisywała rozmaite ludzkie dziwactwa. Podczas lektury słuchacze pokładali się ze śmiechu.

Na wzmiankę o Danie odwróciła głowę. Zmieniła się na twarzy, ujawniając tłumione uczucia, lecz po chwili zapanowała nad sobą.

- Jak on się miewa? Co porabia? - zapytała uprzejmie. Musiała ukryć bezmiar cierpienia spowodowanego wspomnieniem o ostatniej rozmowie z Danem.

Minęło od niej sześć długich lat. Najbliższe przyjaciółki nie mogły się dowiedzieć, jak bardzo czułyby się dotknięte i urażone, bo Dan był im wyjątkowo bliski. Nie darowałyby jej, że tak źle się z nim obeszła.

- Nareszcie wrócił do domu - powiedziała z zadowoleniem Elizabeth. - Rzecz jasna, bardzo się zmienił: wyrósł, zmężniał. To dziś jeden z najprzystojniejszych mężczyzn w Londynie, ale zachował dawną poczciwość i nadal ma złote serce.

Judith poczuła, że ogarnia ją panika. Nie powinna go teraz widywać, skoro postanowiła wyjść za wielebnego Truscotta. Takie spotkanie byłoby niewyobrażalną torturą. Wstała z kanapy, zbierając się do odejścia.

- Zostań jeszcze chwilę - nalegała Elizabeth. - Nasi panowie wkrótce powinni wrócić do domu. Perry i Sebastian będą niepokieszeni, jeśli cię nie zastaną. Tyle lat nie widziałaś się z Danem...

- Zapewne Judith gdzie indziej zapowiedziała się z wizytą - pospiesznie wtrąciła Prudence.

Wiedziała o odmowie sprzed sześciu lat. Przez wiele miesięcy musiała wysłuchiwać skarg i narzekań zrozpaczonego Dana. Robiła, co w jej mocy, żeby skierować myśli wychowanka na inne tory, lecz daremnie próbowała go pocieszyć. W końcu Sebastian znalazł wyjście z sytuacji. zaproponował

kandydaturę Dana organizatorom wyprawy na antypody, którzy zatrudnili młodzieńca jako kartografa.

Muszę być silna, pomyślała Judith, stanowczym gestem wkładając rękawiczki.

- Wracając do mojego małżeństwa, ślub odbędzie się za cztery tygodnie.

- O nie! - jęknęła rozpaczliwie Elizabeth. Już miała rzucić kolejną opryskliwą uwagę, gdy do salonu weszło trzech dżentelmenów.

Od razu rzucało się w oczy, że dwaj z nich są braćmi.

Sebastian, lord Wentworth i młodszy od niego Peregrine, zwany przez najbliższych Perrym byli do siebie bardzo podobni. Obaj uśmiechali się, idąc w stronę Judith ze swym towarzyszem.

- Stary przyjaciel chciał się z tobą przywitać. Tak wyrósł, że nie wiem, czy go poznasz.

Judith z ociąganiem podała Danowi drżącą dłoń, ale nie zdobyła się na to, żeby spojrzeć mu w oczy. Pochylił się, całując ją w rękę. Zerkając spod rzęs, spostrzegła znajomą głowę z rudymi lokami. Ledwie musnął ustami jej palce, bo tak nakazywał dobry ton, ale mocny uścisk ręki przyprawił ją o zawrót głowy. Odruchowo cofnęła dłoń, jakby się sparzyła, ale Dan sprawiał wrażenie, że tego nie zauważył.

- Mam nadzieję, że zastaję panią w dobrym zdrowiu, panno Aveton - powiedział uprzejmie i chłodno.

- Co ty wygadujesz, Dan? - spytała zdumiona Elizabeth. - Urosłeś, mieszkając wśród aborygenów, lecz z pamięcią u ciebie nie najlepiej. Przecież to nasza Judith. Zapomniałeś?

- Pamiętam wszystko - odparł z pozoru obojętnie, ale Judith natychmiast zrozumiała aluzję. Głęboko zraniła go swoją odmową. Nie miała sposobności, żeby mu wyjaśnić, dlaczego musiała tak postąpić. Może to i lepiej? Chyba nie było im pisane razem iść przez życie. Pomyślała o swojej przyszłości i zrobiło jej się ciężko na sercu.

Gdy drzwi zamknęły się za Judith, Peregrine obrzucił żonę badawczym spojrzeniem.

- Najlepiej od razu powiedz, co się stało. Po minie poznaję, że masz złe nowiny.

Wzburzona Elizabeth, nie przebierając w słowach, wyjaśniła w czym rzecz.

Słuchając jej tyrady, Sebastian i Peregrine natychmiast spoważnieli.

- Uważasz Truscotta za oszusta i łowcę posagów? Poważne oskarżenia - powiedział Sebastian. - Nie zapominaj, że mówimy o znanym kaznodziei. Skąd u ciebie tyle niechęci do tego człowieka?

Elizabeth zerknęła ukradkiem na Perry'ego i postanowiła nie odpowiadać na to pytanie. Oboje byli równie gwałtownego usposobienia. Wolą nie wspominać o pożądlivych spojrzeniach, jakie przy każdej sposobności posyłał jej wielebny Truscott. Miodowym głosem szeptał jej do ucha, że powinni spotkać się sam na sam, aby mógł umocnić ją w wierze. Przy powitaniu trzymał jej dłoń trochę za długo, choć było to sprzeczne z zasadami dobrego wychowania.

- Intuicja podpowiada mi, że to łotr i krętacz - odparła. -Przeczuwam, że skrywa jakieś mroczne tajemnice.

- Ponosi cię wyobraźnia, kochanie moje. - Perry ujął jej dłoń. - Podejrzewam, że moja zaborcza żona po prostu nie chce się z nikim dzielić najlepszą przyjaciółką. Sebastian popatrzył na Prudence.

- Jesteś dzisiaj bardzo milcząca. Nie masz zdania w tej materii? Prudence usiłowała pospiesznie uporządkować własne uczucia. Serce Dana nie miało przed nią żadnych tajemnic. Znała je niemal tak dobrze jak własne.

Dan znieruchomiał, gdy Elizabeth wspomniała o planach Judith, ale gdy przybrana matka na niego spojrzała, wydawał się spokojny i opanowany.

- Judith zaskoczyła nas tą wiadomością. Zrozum, mój drogi, nie wiemy, co do niej czuje wielebny Truscott i jakiego zdania jest o nim nasza droga przyjaciółka. Dotąd nie zdradzał szczególnego zainteresowania jej osobą.

- Zaczął się do niej umizgać dopiero, gdy dostała spadek! - zawołała wzburzona Elizabeth. - To jedyny powód jego oświadczeń!

- Moja droga, jesteś uprzedzona - natychmiast zaprotestował Perry. - Wszyscy jesteśmy bardzo przywiązani do Judith i doceniamy jej liczne zalety.

Zastanawiam się, czemu dotąd nie wyszła za mąż.

Kiedy padła ta uwaga, Dan zaczął się żegnać, mamrocząc, że przypomniał sobie o umówionym spotkaniu. Poblądł tak, że można było policzyć wszystkie piegi na jasnej skórze, a spojrzenie niebieskich oczu wyrażało osobliwą desperację.

- Wszyscy dziś wariują - narzekała Elizabeth. - Co z Danem? Czy mimo woli sprawiłam mu przykrość?

- Zapewne nie ma ochoty słuchać plotek - uspokoiła ją Prudence. - Tyle lat go tutaj nie było. Musi przywyknąć do nowego otoczenia, a rozmowa dotyczy osoby, której nie zna.

- Ale z Judith łączyła go serdeczna zażyłość. Powinien się zainteresować człowiekiem, którego wybrała na męża. Łudziłam się, że na wieść o jego powrocie zmieni zdanie.

- Wątpię. Moim zdaniem, wytrwa w swoim postanowieniu.

- W takim razie trzeba ją przekonać, żeby zmieniła zdanie. Idę o zakład, że to sprawa jej macochy. Najchętniej utopiłabym w łyżce wody to wstrętne babsko. Prudence w głębi serca przyznała rację Elizabeth. Zdawała sobie sprawę, że kiedy Dan starał się o Judith, pani Aveton po kryjomu torpedowała jego wysiłki. Z jej powodu przez tyle lat oboje byli głęboko nieszczęśliwi. Nastawiała wszystkich przeciwko Danowi, plotkując na prawo i lewo, że jest podrzutkiem bez grosza przy duszy, który przyszedł na świat w ohydnych slumsach na uprzemysłowionej północy Anglii. Sączony przez nią jad okazał się skuteczną bronią. Część wytwornego towarzystwa wykluczyła Dana ze swego grona. Przyjaciele odwrócili się od niego, a Prudence ze zdumieniem skonstatowała, że nie jest uwzględniany w zaproszeniach, które codziennie do niej napływały. Sprawdziła, dlaczego tak się dzieje, a gdy poznała prawdę, udała się do pani Aveton. Odbły nadzwyczaj nieprzyjemną rozmowę, podczas której owa dama

najpierw wyparła się wszystkiego, ale musiała odwołać oszczerstwa po tym, jak zagniewana Prudence napadła na nią bez pardonu.

Nie na wiele to się zdało, a szkody były nie do naprawienia. Judith załamała się i z bólem serca odmówiła Danowi swej ręki. Prudence przysięgła sobie wtedy, że nie pozwoli, aby w przyszłości ktokolwiek z ludzi bliskich jej sercu został równie okrutnie poniżony.

Dan na próżno wszelkimi sposobami próbował skłonić Judith do zmiany postanowienia. Trwała przy swoim, w grę wchodził przecież jego honor i dobre imię.

Po powrocie do domu dzielonego z macochą i dwiema przyrodnimi siostrami Judith gorzko żałowała, że niespodziewanie zachciało jej się dzisiaj odwiedzin na Mount Street. Prudence i Elizabeth na wieść o jej zaręczynach nie kryły zdumienia. Trudno się dziwić, skoro nie mogła im wyjaśnić, co nią kierowało.

Wieść o spadku odziedziczonym przez Judith wywołała u Avetonów wielkie poruszenie mimo zapisu, że do czasu jej zamążpójścia nie będzie mogła samodzielnie dysponować kapitałem. Zgodnie z postanowieniami testamentu, miała jednak prawo korzystać z odsetek.

Pani Aveton z miejsca nakazała prawnikowi Judith sprawdzić, czy możliwe jest obalenie testamentu. Gdy uświadomił jej, że to nie wchodzi w grę, pasierbica stała się obiektem bezlitosnych ataków, które omal nie doprowadziły jej do obłądu.

Znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Panna w jej wieku nie mogła zamieszkać z dala od rodziny, nawet jeśli miała na to środki. Nieustanne kłótnie sprawiały, że jak ślimak ukryła się w skorupie. Do dziś była przekonana, że stłumiła uczucia, a dawna miłość nic dla niej nie znaczy.

Nie tylko z rozpaczy i poczucia bezradności przyjęła oświadczyzny wielebnego Truscotta. Przekonał ją do siebie, okazując serdeczne zainteresowanie i biorąc jej stronę w sporach z macochą.

Pani Aveton czuła przed nim respekt. Samym wyglądem budził lęk. Był wysoki i szczupły niczym średniowieczny asceta. Ubierał się wyłącznie w żałobną czerń, a gdy grzmiał z kazalnicy, płomień fanatyzmu gorzał w głęboko osadzonych oczach.

Ku zaskoczeniu Judith, pani Aveton życzliwie patrzyła na zaloty pastora.

Zapewne chciała pozbyć się z domu pasierbicy, która była jej solą w oku.

Judith szybko przecięła hol, zamierzając schronić się w swoim pokoju. Miała zamęt w głowie. Na widok Dana po raz kolejny uświadomiła sobie, jak wiele traci, wyrzekając się małżeństwa z miłości. Na próżno starała się o nim zapomnieć. Wystarczyło przelotne spotkanie, aby cierpiała katusze jak przed sześciu laty.

Gdy była przy schodach, lokaj zastąpił jej drogę.

- Jaśnie pani kazała powiedzieć, żeby panienka zaraz do niej przyszła.

Judith niechętnie powlokła się do salonu. Gdy weszła, pani Aveton siedziała przy biurku.

- Nareszcie jesteś! - krzyknęła nadąsana. - Ależ z ciebie egoistka! Nie przyszło ci do głowy, że potrzebna mi będzie pomoc. Oczekujesz, że sama napiszę wszystkie zaproszenia?

- Przepraszam. Gdybym wiedziała, że jestem potrzebna, zmieniałabym plany. - Judith spojrzała na stos kartek. - Tyle zaproszeń? Sądziłam, że to będzie cichy ślub.

- Nie mów bzdur! Wielebny Truscott jest znanym i szanowanym człowiekiem. Nie wypada, aby żenił się w tajemnicy przed ludźmi z towarzystwa. Ceremonia odbędzie się w jego parafii, a ślubu udzieli sam biskup.

- Wielebny odwiedził nas dzisiaj?

- Owszem. Był mocno zawiedziony, że cię nie zastał. Zapewne nie sądziłaś, że będzie na ciebie czekać, co? Muszę przyznać, że mnie zdumiewasz, młoda damo! W ogóle się nie interesujesz przygotowaniem do ślubu i wesela. Nie myślisz o menu, wyprawie, muzykach.

- Wystarczy mi skromna ceremonia - odparła spokojnie Judith. - Zastanawiam się, kto za to wszystko zapłaci. Nie zamierzam wpędzać cię w koszt.

Pani Aveton zaczerwieniła się mocno. Z rumieńcem nie było jej do twarzy.

- Koszt wesela ponosi, rzecz jasna, panna młoda i jej rodzina. Po ślubie mąż będzie mógł rozporządzać twoim majątkiem i ureguluje wszystkie rachunki.

- Rozumiem. - Judith pojęła, że sama zapłaci za wystawną uroczystość. - Czy mam cię teraz wyręczyć w pisaniu zaproszeń?

- Owszem. Tyle jest ważnych spraw. Cieszę się, że przynajmniej moje dziewczęta są zadowolone z nowych kreacji.

Judith bez słowa wpatrywała się w leżącą na biurku listę gości. Nagle wyrwał jej się zduszony okrzyk.

- O co chodzi? - burknęła zirytowana macocha.

- Zamierzasz napisać do Wentworthów? Przecież lady Wentworth spodziewa się dziecka, z pewnością więc nie przyjmie zaproszenia.

- Jestem tego świadoma, lecz mimo to je wyślemy. Nie lubię tej damulki ani jej zarozumiałej szwagierki, ale nie możemy sobie pozwolić na zerwanie stosunków z lordem Wentworthem i jego rodziną. Na liście gości oczywiście znaleźli się hrabina i hrabia Brandon. Moja droga Amelia niewątpliwie przybędzie na ceremonię.

Dopiero na schodach, idąc do swego pokoju, Judith pozwoliła sobie na ironiczny uśmiech. Domyślała się, że hrabina Amelia Brandon byłaby zdegradowana, gdyby dowiedziała się, że ktoś pozwala sobie mówić o niej tak poufale. W jej salonie pani Aveton była tolerowana jedynie z obawy przed plotkami, których pewnie by narobiła, gdyby jej tam nie przyjmowano.

Judith westchnęła. Hrabia Brandon, głowa rodziny Wentworthów, ustosunkowany i wpływowy minister brytyjskiego rządu, zyskał jej szczerą sympatię. Rzadko go widywała, lecz przy każdym spotkaniu odnosił się do niej z wyszukaną uprzejmością i okazywał wiele serdeczności. Żona mocno dawała mu się we znaki, ale znosił to ze stoickim spokojem.

Judith zdjęła płaszcz i kapelusz, a potem wróciła do salonu. Zatopiła się w marzeniach i długo siedziała bez ruchu. Przed sobą miała zapomnianą listę gości. Gdyby pozwolono jej poślubić Dana, jej życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Niestety, za późno na takie rojenia.

- Wielkie nieba! Judith, nie napisałaś ani słowa!

W otwartych drzwiach stała pani Aveton w towarzystwie wielbego Charlesa Truscotta.

- Proszę, żeby się pani nie gniewała na moją uroczą oblubienicę. Skoro ja nie mam do niej pretensji, niech i pani jej daruje. - Pastor łagodnym ruchem położył dłoń na głowie Judith, jakby ją błogosławił.

Niewiele brakowało, żeby wtuliła głowę w ramiona, próbując uniknąć jego dotknięcia. Podniosła się z krzesła i stała z nim twarzą w twarz. Nie potrafiła zdobyć się na uśmiech.

- Skąd ta powaga, kochanie moje? Chociaż trudno się dziwić. Zamążpójście to bardzo ważna decyzja. Nasz Pan ustanowił je dla ludzi przede wszystkim przez wzgląd na płodzenie potomstwa. Nie na darmo mądrzy ludzie powiadają, że ślub pomaga się ustatkować i kładzie tamę niewczesnej swawoli.

Judith poczuła silne obrzydzenie, bo wydawało jej się, że mówiąc te słowa, rozbiera ją wzrokiem. Na samą myśl, że będzie musiała mu się oddać, poczuła odrazę. Omal nie krzyknęła, że zmieniła zdanie i nie chce poślubić wielbego Truscotta. Zanim zdobyła się na odwagę, narzeczony odszedł na bok, a za nim pani Aveton. Stali przy oknie, zatopieni w rozmowie. Nie rozróżniała słów, słyszała tylko przyciszone głosy.

- Nasza umowa jest aktualna? - spytała pani Aveton.

- Dałem słowo, łaskawa pani. Gdy przejmę majątek, otrzyma pani należność. -

Zerknął na przyszłą żonę. - Uczciwie zasłużyłem na swoją część. Pasierbica łaskawej pani to przedziwna istota. Zazwyczaj nie mam pojęcia, o czym myśli.

- Proszę się tym nie przejmować, drogi pastarze. Niech jej pan da kilkoro dzieci. Gdy będzie miała dość zajęć, odechce jej się myślenia. Ostrzegam, że poglądy ma dość radykalne. Trzeba dopilnować, żeby głupstwa wywietrzały jej z głowy. Dużo czyta, uwielbia to. Podejrzewam, że sama pisze.

- Nie są to zajęcia odpowiednie dla kobiety. Zapewniam, że wnet je porzuci.

Znowu popatrzył na Judith. Była niezbyt urodziwą szatynką o poważnych szarych oczach. Bładość cery i widoczna na twarzy powaga niezbyt mu się podobały, natomiast figurę panna miała znakomitą. Była wysoka, szczupła, z talią osy, którą mógłby objąć dłońmi, z kształtnymi biodrami i pełnymi piersiami, obiecującymi niewysłowioną rozkosz.

Oczy mu się zaświeciły, kiedy o tym pomyślał, lecz znacznie większą radością była dla niego perspektywa rychłego wzbogacenia się. Zdusił w zarodku wzbierającą żądzę i z nobliwym wyrazem twarzy podszedł do biurka, by rzucić okiem na listę gości. Od razu spostrzegł, że przy imionach Wentworthów brak kropki oznaczającej, że zaproszenie już zostało napisane.



- Nie zaniedbuj swoich przyjaciół, drogie dziecię - skarcił żartobliwie narzeczoną. - Wiem, że jesteś do nich bardzo przywiązana, i dlatego z radością poznam ich bliżej.

- Niezbyt chętnie zapraszam panie z tej rodziny - wtrąciła opryskliwie pani Aveton. - Lady Wentworth dość bezceremonialnie wypowiada swoje opinie, natomiast żona szanownego Peregrine'a Wentwortha jest... Sama nie wiem, jak to określić. Brak mi właściwego słowa.

- Nader wymowna? Przesadnie krytyczna? Cóż robić? To przywilej wysoko urodzonych. Jednak należy okazywać bliźnim miłosierdzie, nie mówmy więc o niej źle. O ile mi wiadomo, serdeczna przyjaźń łączy panią z hrabiną Brandon.

- Ona również jest do tych pań uprzedzona. Podziela moje zdanie.

Judith nie potrafiła ukryć rozbawienia. Pani Aveton nie brała pod uwagę, że jej niechęć do żon braci Wentworthów jest wzajemna.

- Nareszcie udało nam się skłonić naszą drogą Judith do uśmiechu! - zawołał Truscott. - Zapewniam cię, najdroższa, że twoi przyjaciele zawsze będą w naszym domu mile widziani.

Judith spojrzała na niego z wdzięcznością. Łudziła się, że ma do czynienia z miłym, łagodnym człowiekiem. Na szczęście nie potrafiła czytać w jego myślach, ponieważ dowiedziałyby się, że jest wrogo usposobiony do lady Prudence Wentworth, która wyraźnie dawała do zrozumienia, co o nim sądzi. Gdy krążył wśród parafian, zagadując przymilnie kobiety i schlebiając mężczyznom, czuł na sobie jej pogardliwe spojrzenie. Przyłapała go raz na gorącym uczynku, gdy w kącie zakrystii umizgał się do ładnej dziewczyny. Posunął się wtedy za daleko i ślicznotka była mocno zbita z tropu.

Jej lordowska mość nie raczyła się do niego odezwać, ale jej karcące spojrzenie, przeszywające niczym sztylet, sprawiło, że natychmiast odszedł. Dziewczyna ogarnęła się pospiesznie, zapinając karczek sukni.

Z Elizabeth, żoną Peregrine'a, miał całkiem inny kłopot. Wyniosła dama była prawdziwą pięknoscią. Przeczynał, że mimo pozorów łagodności i słodczy obdarzona jest ognistym temperamentem. Nienawidziła wielebnego Truscotta i gardziła nim, wcale tego nie ukrywając. Wyraz odrazy, malujący się na ślicznej twarzy o wielkich czarnych oczach, doprowadzał go do pasji, a jawna wrogość zaostrzała tylko jego apetyt. Zdobywał wcześniej równie krnąbrne damy, sącząc im do ucha miłosne wyznania i napomnienia o zbawieniu duszy.

Podniósł głowę i kątem oka spojrzął w lustro. Ujrzał swoje odbicie i jak zwykle poczuł zadowolenie. Niewątpliwa uroda była jedynym dobrem, które zawdzięczał matce aktorce oraz nieznanemu ojcu.

Czy nie był przesadnie wychudzony? Po namyśle odrzucił tę obawę. Z lustrzanej tafli patrzył na niego czarnooki brunet o powierzchowności natchnionego ascety. Wyglądał znakomicie! Cechowała go także przebiegłość, ogromnie przydatna w obranym zawodzie. Prawdziwym darem niebios był talent oratorski. Gdy Truscott grzmiał z kazalnicy, bez trudu porywał audytorium.

Poczuł na sobie wzrok Judith.

- Wybacz, najdroższa - rzucił natychmiast. - Przypadkowe spojrzenie w lustro uświadomiło mi, że powinienem być nieco się ogarnąć przed dzisiejszą wizytą. Na swoje usprawiedliwienie powiem tylko, że w parafii jest mnóstwo zajęć, a moje owieczki stale potrzebują pasterza. Przez cały dzień muszę się nimi zajmować i dlatego wydaję się taki zaniedbany. Brak czasu nie pozwolił mi zatroszczyć się o wygląd, lecz mimo to nie mogłem sobie odmówić przyjemności ujrzeć ciebie, nie miej więc pretensji, że trudno mnie uznać za światowca.

- Taka myśl nie powstała jej w głowie - wtrąciła stanowczo pani Aveton, odpowiadając za pasierbicę. - Jak to miło, że zechciał pan zajrzeć do nas powtórnie, choć przedtem nie zastał pan Judith, bo tej głupiej gąsce zachciało się odwiedzić znajomych.

- Zapewne sądzi, że niepewność i oczekiwanie wzmocnią mój afekt. - Truscott się roześmiał. Długo zapewniał o szczerym oddaniu i głębokim uczuciu, a następnie pożegnał się z paniami.

- Bierz się do pisania zaproszeń, moja panno. Do ślubu zostało niewiele czasu, a musimy jeszcze zająć się twoją wyprawą. Jutro czekają nas zakupy na Bond Street.

Judith bez słowa kiwnęła głową.

Gdy następnego dnia w magazynie mód nie wykazała najmniejszego zainteresowania pokazywanymi przez panny sklepowe kreacjami, jej macocha straciła cierpliwość.

- Ocknij się wreszcie, moja panno! - skarciła ostro pasierbicę. - Piękności z ciebie nie zrobimy, ale ważne jest, żeby narzeczony nie musiał się ciebie wstydzić. Jesteś mu to winna.

- Panienska ma wspaniałą figurę - wtrąciła zachęcająco modniarka. - W każdej z tych sukien ślubnych wyglądałaby prześlicznie.

- Nikt pani nie pyta o zdanie - zachnęła się pani Aveton. Niechętnie słuchała takich pochwał pod adresem pasierbicy, bo jej obie córki były niskie i otyłe. - Sama wybiorę odpowiednią kreację. - Wskazała suknię w kolorze lawendy, który nie pasował do jasnej karnacji Judith.

- Ta będzie dobra! Przez ciebie dostałam migreny, moja panno. Drobiazgi wybierz sama. Nie mam czasu ani ochoty włóczyć się z tobą po sklepach. Judith milczała, ale ukradkiem odetchnęła z ulgą. Była szczerze uradowana, że przynajmniej na pewien czas uwolni się spod kurateli uszczypliwej, wiecznie niezadowolonej macochy. Rzecz jasna, musiała zabrać ze sobą pokojówkę, ale nie miała nic przeciwko temu, ponieważ Bessie zawsze była szczerze oddana swej milczącej pani. Doskonale się rozumiały.

Fakt ten nie umknął uwagi pani Aveton, która rozmawiała już z wielebnym Truscortem o pokojówce pasierbicy.

Następnego dnia pani Aveton napadła na Judith.

- Za bardzo się przywiązałaś do tej dziewczyny. Musisz jej zapowiedzieć, że po twoim ślubie ma poszukać sobie innej posady. Wielebny Truscott nie będzie tolerował takiej poufałości ze służbą.

- Chciałam zabrać Bessie ze sobą do nowego domu. Jest córką gospodyni mojego ojca. Znam ją tak długo, jak żyję.

- Twój ojciec zmarł wiele lat temu. Od tamtej pory wiele się tutaj zmieniło. Po co wracać do przeszłości? Szkoda tylko, że nie odprawiłam tej dziewczyny zaraz po śmierci pana Avetona.

Judith milczała ze ściśniętym gardłem. Miała nadzieję, że przyszły mąż okaże młodej służącej więcej życzliwości.

- Znosi się na deszcz - oznajmiła pani Aveton, wyglądając przez okno. - Powóz będzie mi potrzebny dziś rano, więc idź piechotą na Bond Street, żeby dokończyć zakupy. Jest tam wiele miejsc, gdzie można się schronić, gdyby lunęło.

Judith nie bała się, że zmoknie. Wręcz przeciwnie, deszcz byłby doskonałą wymówką, usprawiedliwiającą późniejszy powrót do domu. Szybko przygotowała się do wyjścia i w towarzystwie Bessie opuściła dom.

- Panienko, co za okropna mżawka! Panienska mi przemoknie. Może odłożymy zakupy na inny dzień? Musimy dzisiaj wlec się na Bond Street?

- Obawiam się, że tak, Bessie. Masz listę?

- Tak, panienko, w kieszeni. Okropna pogoda! Może jednak wrócimy?

Zerwał się wiatr, a strugi deszczu chłostały je po twarzach. Pani i służąca biegły ulicą, szukając schronienia. Na wpół oślepiona ulewą, Judith kątem oka spostrzegła przejeżdżający obok powóz, który niespodziewanie zwolnił i stanął obok nich. Ktoś otworzył drzwi i mocno chwycił ją za łokieć. Spojrzała na śmiałka i rozpoznała Dana.

- Wskakuj! - rzucił nagłym tonem. - Muszę z tobą porozmawiać.

## Rozdział drugi

Judith była tak zdumiona, że posłuchała i bez oporu wsiadła do powozu.

Dopiero gdy wtulona w kąt przycupnęła na miękkiej kanapie, zdała sobie sprawę, że popełniła niewybaczalne głupstwo.

Podniosła głowę i już miała zaprotestować, ale Dan uśmiechnął się do pokojówki, która towarzyszyła swojej panience.

- Masz na imię Bessie, prawda? Pamiętasz mnie? - zagadnął ją przyjaźnie.

- Pan Dan, prawda? Nic się jaśnie pan nie zmienił. Od razu wiedziałam, że to pan do nas zagadał.

- Kto mnie raz ujrzy, zawsze pozna. To przez ten ryży łeb, co? - odparł żartobliwie.

- Dan, przestań błaznować! Daruj, ale jesteśmy dzisiaj bardzo zajęte. Wybieram się na Bond Street, żeby zrobić zakupy. Bessie ma spis... - Judith zdała sobie sprawę, że papie bez sensu. Co go obchodzi jej sprawunki?

- Niech Bessie rusza do sklepów i kupi na kredyt wszystko, czego ci potrzeba. Zapłacisz, gdy paczki zostaną dostarczone do domu.

- Wykluczone! Bessie nie może decydować. Powinnam osobiście dokonać wyboru. Przynajmniej tyle... - Judith znowu zamilkła.

- Bessie, pójdziesz po sprawunki? Zrobisz to dla nas? Muszę porozmawiać na osobności z panią Judith.

- Nigdzie się stąd nie ruszaj, Bessie! Zabraniam ci... Pokojówka nie zwracała uwagi na jej protesty. Uśmiechnęła się szeroko do Dana, którego zawsze darzyła szczególną atencją.

- Rada jestem, że mogę pomóc jaśnie panu i mojej pani.

- W takim razie spotkamy się za dwie godziny na rogu Piccadilly. Przyjedziemy tam po ciebie.

- Ten pomysł jest nie do przyjęcia, Dan. Bardzo proszę, każ zatrzymać powóz. Wsiądziemy obie. Dwie godziny to długo. Zaczną nas szukać i kompromitacja gotowa.

- Bzdura. Wiem od Prudence, że takie zakupy to zajęcie na wiele godzin. Zgódź się na mój plan. Nie mogę godzinami wystawać pod twoim domem w nadziei, że jakimś cudem uda nam się porozmawiać na osobności.

- Spotkamy się na Mount Street - odparła Judith, ale Dan obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

- Wczoraj zdawało mi się, że postanowiłaś przez jakiś czas nie odwiedzać mieszkających tam przyjaciół.

Powóz właśnie mijał Bond Street. Dan zapukał w dach, dając stangretowi znak, żeby się zatrzymał. Bessie wyskoczyła na trotuar, Judith chciała pójść w jej ślady, ale Dan zagroził jej drogę.

- Wysłuchaj mnie - poprosił. - Przynajmniej tyle możesz dla mnie zrobić. Usłyszała desperację w jego głosie, cofnęła się więc w głąb powozu. Nie chciała w miejscu publicznym robić z siebie widowiska. Gdyby Dan pobiegł za nimi, a ktoś znajomy byłby świadkiem tej sceny, mógłby ją opacznie zrozumieć i powstałyby plotki.

- To bez sensu - skarciła go przyciszonym głosem. - Nie powinieneś szukać sposobności do spotkania ze mną.

- Moje postępowanie nazywasz bezsensownym? - upewnił się, pochmurniejąc. - W takim razie jak określisz własne? Co wiesz o człowieku, którego zamierzasz poślubić?

- Jest uprzejmy i broni mnie przed macochą. W jego obecności ta sadyzka powściąga nieco swoje okrucieństwo.

- I to wystarczy? Nie zadałaś sobie pytania, dlaczego ci dwoje tak łatwo się porozumieło? Hultajska para! Truscott jest potworem. To oszust, kobieciarz...

- Przestań! - Judith była na granicy załamania nerwowego. - Nie powinienes... nie masz prawa mówić do mnie takich rzeczy...

- Dawniej miałem wrażenie, że wolno mi z tobą rozmawiać o wszystkim. Rozumiem, że to już przeszłość. Nie zaprzeczam, że nasze wzajemne uczucia z pewnością się zmieniły, ale mogę chyba pozostać twoim przyjacielem. Taką żywię nadzieję.

- Dziwnie to okazujesz. Elizabeth i Prudence przysłały cię tutaj, prawda? A zatem powiedz im, że nie życzę sobie, aby rozmawiały o mnie za moimi plecami.

- Jestem tutaj z własnej woli. Nikt mnie nie przysłał. Rzecz jasna, że Prudence i Elizabeth wiele mówiły na twój temat...

- I o wielebnym też rozmawiały, jak się domyślam. Obie są do niego uprzedzone, choć nie wiem dlaczego.

- Być może dostrzegają jego wady. Ty znasz go od najlepszej strony, ale czy zawsze będzie tak się starał? Gdy zostaniesz jego żoną, staniesz się bezsilna.

- Dan, nie rób z niego monstrum. Zdaję sobie sprawę, że masz dobre intencje, i jestem ci bardzo wdzięczna...

- Nie chcę twojej wdzięczności. Podobnie jak wszyscy twoi przyjaciele, pragnę tylko, żebyś była szczęśliwa.

- W takim razie powinienes milczeć. Zaledwie przed kilkoma dniami wróciłeś do Anglii. Pod twoją nieobecność wiele się tutaj zmieniło. Jak możesz wyrokować o człowieku, którego w ogóle nie znasz?

- Ufam Prudence i Elizabeth.

- Dokonałam wyboru - odparła stanowczo Judith.

- Czyżby? A może ktoś inny podjął za ciebie decyzję? Judith straciła cierpliwość.

- Co ty wiesz o moim życiu?! - wybuchnęła. - Nie masz pojęcia o upokorzeniach, które musiałam znosić przez te wszystkie lata! Odkąd dostałam spadek po wuju, jest coraz gorzej. Słyszałeś, że po nim dziedziczę?

Dan w milczeniu kiwnął głową.

- Myślałam, że oszaleję - wyznała. - Nie miałam chwili spokoju, aż zgodziłam się na zaskarżenie niektórych zapisów testamentu i próbę ich obalenia, co zresztą okazało się niemożliwe. Potem moje życie zmieniło się w koszmar. Małżeństwo wydawało się jedynym wyjściem.

Dan współczującym gestem położył rękę na jej dłoni, ale cofnęła ją pospiesznie.

- Nie oczekuję od ciebie litości! - krzyknęła zbolalym głosem. - Błagam, nie pogarszaj sytuacji...

- Moja droga Judith, nie mogłaś wybrać kogoś innego? Niech to będzie porządny człowiek, który uczyni cię szczęśliwą!

Judith miała wrażenie, że lada chwila zacznie płakać. Przed nią siedział taki mężczyzna. Czyżby Dan o tym nie wiedział? Niestety, jej położenie bardzo się zmieniło. Przed laty oboje byli ubodzy i z powodu intryg jej macochy nie mogli się pobrać. Teraz daremnie marzyła, by wnieść mu w posagu swój majątek. Poznała go dobrze i była świadoma, że nawet gdyby nadal ją kochał, odziedziczone pieniądze stanowiłyby przeszkodę nie do pokonania.

Judith nie przeczuwała, jaka była treść rozmowy prowadzonej poprzedniego wieczoru u Wentworthów. Prostolinijna i bezpośrednia Prudence wprost napadła na Dana, nie zważając na jego stanowczą deklarację, że ani myśli uganiać się za Judith.

- Nie dam się zwieść - odparła. - Moim zdaniem, nadal ją kochasz. Zdradziłeś się wczoraj po południu. Będziesz stać obok i patrzeć obojętnie, jak twoja ukochana zdaje się na łaskę i niełaskę mężczyzny, który zmieni jej życie w nieustanną udrękę?

- Łatwo ci mówić, Prudence! Jeśli zacznę wtrącać się w jej osobiste sprawy, uzna to za impertynencję z mojej strony i będzie miała całkowitą rację.

- Nie mów bzdur! Uważam, że musisz zachęcić Judith, żeby raz jeszcze przemyślała swój wybór. Przynajmniej tyle powinienes dla niej zrobić. Elizabeth i ja nie zdołałyśmy przemówić jej do rozsądku.

- Czemu sądzisz, że mnie się uda?

- Bo Judith cię kocha, Dan. Od lat darzy cię uczuciem i nic tego nie zmieni. Dobrze ją znam. Skoro raz oddała ci serce, ono na zawsze pozostanie twoje. Gdybyś się teraz oświadczył, pewnie wszystko by się dobrze skończyło. Posmutniała, widząc gorycz, malującą się na jego twarzy, zwykle pogodnej i rozjaśnionej uśmiechem.

- Chciałabyś, żebym do wszystkich okropności, które plotkarze wygadują na mój temat, dodał jeszcze odium łowcy posagów?

- Poświęcasz miłość dla dumy? Nie sądziłam, że jesteś do tego zdolny. Moim zdaniem, wszyscy dawno zapomnieli o bzdurach wygadywanych dawniej przez panią Aveton.

- Ale przypomną sobie, gdy postąpię zgodnie z twoją sugestią. Obawiam się, że Judith nie zniosłaby kolejnej fali oszczerstw i kalumnii. Ma takie słabe zdrowie. Uważam, że zmizerniała.

- Trudno się dziwić, skoro nie jest szczęśliwa. Obiecuj, że przynajmniej zobaczysz się z nią i spróbujesz porozmawiać. Na początek byłoby dobrze przekonać ją do odłożenia ślubu. Może w tym czasie Truscott się zdradzi i ujawni swoją prawdziwą naturę. - Prudence wstała i położyła dłonie na obolałym krzyżu. Dan przyglądał jej się z niepokojem.

- Przestań się zamartwiać - poradził. - W twoim stanie to niewskazane.

Posłucham tej rady, jeśli to cię uspokoi, ale, moim zdaniem, mylisz się, twierdząc, że Judith wciąż na mnie zależy. Nie spodziewaj się zbyt wiele - ostrzegł na koniec. - Moje zdolności perswazyjne nie dorównują twoim.

Prorocze słowa! Gdy następnego dnia jechali razem powozem, Dan z minuty na minutę utwierdzał się w przekonaniu, że Judith nie przyjmie do wiadomości jego argumentów.

- Błagam o krótką zwłokę. Odłóż ślub - nalegał. - Zyskamy czas na przeprowadzenie prywatnego śledztwa.

- Jak mam to rozumieć? Zamierzacie szpiegować mojego narzeczonego i grzebać w jego przeszłości?

- Zrozum, Judith. To człowiek znikąd. Daremnie szukałem jego dawnych znajomych albo rodziny. Nie sposób się dopytać, skąd pochodzi. - Dan umilkł i spojrzał na jej surową twarz. - Wybacz. Nie powinienem poruszać tego tematu, skoro moje pochodzenie bez litości wykpiwano w salonach.

- Mam nadzieję, że się go nie wstydzisz. To do ciebie niepodobne. Twój rodzice byli prostymi, ale zacynymi ludźmi. Prudence i Sebastian dobrze o tym wiedzą. - Judith po raz pierwszy od początku rozmowy uśmiechnęła się lekko. - To z pewnością mądrzy ludzie. Po nich odziedziczyłeś talenty.

- Szkoda, że do tej pory nie udało mi się zrobić z nich użytku. Mniejsza z tym, Judith. Nie rozmawiamy o moich sprawach...

- Moje też zostawmy w spokoju. Dan, robi się późno. Pora jechać po Bessie.

- Jeszcze nie. Mamy czas. Chciałbym, żebyś mi coś obiecała.

- Owszem, jeśli to będzie możliwe.

- Nie odwracaj się od przyjaciół i przez tych kilka tygodni bywaj na Mount Street. Taka odmiana dobrze ci robi. Wszystko będzie jak za dawnych lat.

- Jestem zmęczona - wyszeptwała drżącymi wargami. - Brak mi sił, żeby przeciwstawiać się macosze i ludziom, którzy od lat są mi bliżsi niż rodzina.

- W takim razie obiecuję, że nie będę cię pouczał, tylko daj słowo, że się od nas nie odwrócisz.

- Spróbuję. - Judith nie bez trudu odzyskała panowanie nad sobą i dodała po chwili milczenia: - Porozmawiajmy o tobie. Jak podróż? Okazała się pożyteczna? Dan roztropnie przystał na zmianę tematu.

- Wiele nauczyłem się o żaglowcach i łodziach. Potrafię nawet pływać używanym na morzach południowych kanoe. Sprawdziłem doświadczalnie, że wszystkie jednostki pływające są projektowane i budowane tak, żeby jak najlepiej wykorzystać warunki pogodowe i siłę wiatru na określonych akwenach.

- A co z twoimi projektami? Zawsze byłeś zdolnym wynalazcą.

- Mam ich gruby plik. Niektóre wysłałem do Anglii w nadziei, że dostojnicy z admiralicji zainteresują się nimi, lecz na razie brak od nich wiadomości.

- Może hrabia Brandon szepnąłby słówko dżentelmenom z rządu - zaproponowała nieśmiało. - Jeśli lord Wentworth go poprosi...

- Nie będę zabiegał o protekcję. Moja praca ma być doceniona sama dla siebie - odparł stanowczo.

- Pewnego dnia wszystkie drzwi staną przed tobą otworem - zapewniła. - Cierpliwości, masz dużo czasu.

- Tak sądzisz? - Uśmiechnął się drwiąco. - Skończyłem dwadzieścia sześć lat.

- Racja. Jesteś w podeszłym wieku - zakpiła przyjaźnie.

- Pitt był młodszy, gdy zasiadł w parlamencie. Judith spojrzała na niego z ukosa.

- Nie wiedziałam, że ciągnie cię do polityki. - Miała nadzieję, że go rozbawi tą uwagą, i rzeczywiście udało jej się wywołać uśmiech na urodziwej twarzy.

- Wręcz przeciwnie. Sama wiesz najlepiej.

- Co za ulga! - odparła pogodnie. - A już zaczynałam lękać się o przyszłość naszego kraju pod rządami Dana reformatora. O, jest Bessie! Czas się pożegnać.

- Jeszcze moment! - rzucił błagalnie i chciał ująć jej dłoń, ale bez słowa pokręciła głową. Z ciężkim westchnieniem dał znak stangretowi, że ma się zatrzymać. Służąca wskoczyła do środka.

- Wrócimy piechotą - oznajmiła pospiesznie Judith. - Przestało padać...

- Mowy nie ma! - Dan zastukał w ścianę powozu, dając znak stangretowi, aby ruszał. Gdy skręcili w uliczkę, gdzie wypatrzył je przed paroma godzinami, Judith poprosiła:

- Bądź tak miły i pozwól nam tu wysiąść. Gdyby ktoś mnie zobaczył w twoim towarzystwie, miałabym spore kłopoty.

Po powrocie na Mount Street Dan opowiedział o swojej porażce.

- Mówi się trudno. Ja się nie poddam! - zawołała natychmiast Elizabeth. - Czy Judith przyjdzie do nas jutro?

- Wątpię. Obawia się, że znów na nią napadniesz - powiedział z uśmiechem tak przyjaznym, że nie można się było obrazić za te słowa.

- A żebyś wiedział! - oparła zaczepnie.

- O nie, moja kochana! - Perry spojrział na żonę z czułością. - Tu potrzeba subtelności. Niewiele zyskasz, stając jak zwykle do otwartej walki.

Te słowa spowodowały, że wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Perry, domagasz się od nas subtelności? Od kiedy uważasz się za mistrza w tej dziedzinie? - zapytał ubawiony Sebastian, a brat nie miał mu tego za złe.

- Ostrzegam, że potrafię być nadzwyczaj przebiegły - odparł pogodnie. - Zobaczysz, jeszcze cię zadziwię.

- Już ci się udało. Jestem zdumiony jak nigdy dotąd. Chętnie też posłucham, jakież to subtelne metody planujesz zastosować.

- Daj mi trochę czasu do namysłu. Obiecuję znaleźć jakiś sposób.

- Perry, mamy niewiele czasu - tłumaczyła zatroskana Elizabeth. - Dni mijają szybko. Ani się obejrzymy, jak przyjdzie nam jechać na ślub Judith.

Sebastian wpatrywał się przez chwilę w twarz żony. Kiedy przemówił, starannie dobierał słowa.

- Trzeba roztropnie podejść do sprawy. Brak dowodów, że wielebny Truscott nie jest tym, za kogo się podaje.

- Możemy to sprawdzić - wtrącił Dan. Sebastian podniósł rękę, prosząc o głos.

- Mogę coś dodać? Prudence i Elizabeth nie lubią pastora i nie ufają mu. Być może słusznie, ale trzeba też wziąć pod uwagę taki wariant, że zawiodła je intuicja. Pamiętajmy, że stawką w tej grze jest szczęście Judith. Nasza interwencja może mieć poważne następstwa.

- Mamy patrzeć beczynn timer, jak wychodzi za człowieka, który przysporzy jej tysięcznych cierpień? Ja się na to nie zdobędę. Muszę działać - wyznał Dan, przegarniając palcami włosy. - Mógłbym ją porwać.

- Ani mi się waź! - skarcił go Sebastian. - Wybuchłby okropny skandal!

Zniszczyłbyś jej reputację. Judith zostałaby wykluczona z towarzystwa. Nie byłaby nigdzie przyjmowana. Żadnych spotkań z przyjaciółmi, koniec z wizytami i rewizytami. Radzę ci zapomnieć o takich romantycznych mrzonkach.



Są inne metody. Na początek przeprowadzimy dyskretne śledztwo. Zobaczymy, co da się zrobić.

- Ja też popytam tu i ówdzie - obiecał Perry.

- Za parę dni powinniśmy coś wiedzieć - uznał Sebastian.

- Przesadny optymizm - orzekła Elizabeth. - Truscott jest przebiegły i potrafi się dobrze maskować.

- Wytrawny tropiciel wszędzie widzi czytelne ślady. Dzięki nim w końcu dopadnie zwierzynę.

Elizabeth nieświadomie trafiła w sedno. Pastor Truscott wykazał ogromny spryt, żeby ukryć swoje pochodzenie, lecz dawne życie i środowisko, w którym przyszedł na świat, niespodziewanie się o niego upomniały.

Gdy na Mount Street debatowano, jak zdemaskować Truscotta, w drzwiach jego kościoła parafialnego stanął urwis w brudnych łachmanach.

- Precz! - syknął pastor do chłopca, który wyglądał jak strach na wróble. - Nie dajemy teraz jałmużny.

- Nie chcę datku, panie. Już dostałem pieniądze. Mam to oddać do rąk własnych.

- Wyciągnął zza pazuchy brudny świstek i podał duchownemu, nie podchodząc bliżej, jakby lękał się ciosu i gotów był w każdej chwili zrobić unik.

- Co to jest?

- A bo ja wiem? Kazali przynieść, tom przyniósł. Dyskretne chrząknięcie sprawiło, że pastor spojrzął na kilka dam, które szły w jego stronę główną nawą.

- Czy pan nigdy nie pozwala sobie na chwilę oddechu, drogi pastorze? - zapytała przyjaźnie jedna z nich. - Miałyśmy nadzieję, że zechce pan dzisiaj zjeść z nami podwieczorek. Zbieramy fundusze na utrzymanie przytułku dla podrzutków.

- Bóg wam to wynagrodzi, miłe panie. Niestety, to dziecko jest w potrzebie. -

Wielebny Truscott zastanawiał się, czy gestem znamionującym miłosierdzie pogłaskać chłopaka po głowie, lecz uznał w końcu, że nie warto.

- Pan nie przeczytał kartki - obruszył się chłopiec.

- Nie zdążyłem, drogie dziecko - odparł z udawaną łagodnością. Zmuszony był na oczach dam rozwinąć świstek. Przeklęty bachor! Gdyby to spotkanie nie odbywało się przy świadkach, dostałby nauczkę za swoją bezczelność.

W liście roilo się od błędów, a litery pisano niewprawną ręką. Treść była jasna.

Gdy Truscott uświadomił sobie, co czyta, nagle pobladł i zachwiał się na nogach.

Upadłby pewnie, gdyby nie oparł się o najbliższą ławkę.

- Złe nowiny? Proszę usiąść, pastorze. Może szklankę wody? Zaraz przyniosę.

Truscott miał ochotę trzasnąć na odlew gorliwą damulkę. W takiej chwili zamiast wody potrzebował brandy. Niech te śmieszne podstarzałe dewotki wreszcie stąd pójda! Uniósł rękę, zasłaniając oczy.

- Proszę nie zaprzątać sobie tym głowy. To chwilowa niedyspozycja - wymamrotał.

- Moim zdaniem, raczej skrajne wyczerpanie. Za dużo pracy, drogi pastorze. Ten dzieciak nie powinien się panu naprzykrzać. - Próbowała gestem odprawić chłopca. - Narzeczona musi dać panu burę.

- Proszę zostawić malca w spokoju. Bóg da mi siłę, żebym mógł nadal pracować na Jego chwałę. Muszę odejść z tym chłopcem, żeby czuwać przy łóżku konającego.

Szkoda, że to nieprawda, pomyślał z goryczą. W tym wypadku śmierć byłaby najlepszym rozwiązaniem. Uśmiechając się heroicznie, odprowadził damy do samych drzwi, a potem wziął z zakrystii fałdzisty płaszcz i kapelusz z szerokim rondem.

Chłopiec wodził za nim bystrym spojrzeniem. Pomimo młodego wieku miał cyniczną minę. Oczy rozjaśniał błysk żywej inteligencji, która wynikała z życiowych doświadczeń małego ulicznika.

Truscott mu nie współczuł. Był zwolennikiem prawa silniejszego: mocny sobie poradzi, słaby niech idzie na dno. Sam miał w życiu sporo szczęścia. Po chwili namysłu uznał jednak, że w jego przypadku nie chodziło tylko o fart. Sławę i życiowe powodzenie zawdzięczał bezwzględności, która sprawiła, że zaszedł wysoko.

Miałby teraz wszystko utracić? Słowa listu mocno go zbulwersowały.

„Znajomek czytał o tobie w gazecie, Charlie. Czas się podzielić majątkiem z biedną starą matką. Chłopak cię do mnie zaprowadzi. Przyjdź, bo inaczej pożałujesz”.

Brakowało podpisu, ale i bez tego wiedział, że list nie jest mistyfikacją. Tylko matka mówiła do niego Charlie.

- Daleko idziemy? - burknął, zwracając się do chłopca.

- Nie bardzo. Migiem latam tamtędy przy słońcu i w deszcz. - Chłopiec obrzucił go badawczym spojrzeniem. - Panie starszy, lepiej schować głębiej zegarek i łańcuszek, bo ukradną jak amen w pacierzu.

Duchowny milczał. Nie ruszał się z domu bez sztyletu o długim, wąskim ostrzu. Od dzieciństwa sam dbał o swoje bezpieczeństwo. Pogardliwie wyduł usta. Dla każdego szubrawca byłby godnym przeciwnikiem.

Sapał z wściekłości. Zły los wziął się na niego. Przykry zbieg okoliczności sprawił, że jego tożsamość wyszła na jaw. Gazeta, w której ukazała się notatka, zapowiadająca rychły ślub, nie powinna wpaść w ręce matki. Co więcej, jego rodzicielka była analfabatką, więc czuł się bezpieczny. A jednak fatalnym zrządzeniem losu stara miała sprytnego znajomka.

Rozejrzał się wokół i bez zdziwienia stwierdził, że zmierzają do parafii St Giles. Znał dobrze tę okolicę i niechętnie tam wracał.

Szedł za chłopcem, rozważając zawołane groźby zawarte w liście. Dlatego nie zauważył, że jest śledzony. Odruchowo podniósł kołnierz, kryjąc twarz.

Rozejrzał się znowu, zanim zniknął w labiryncie uliczek, wiodących do odległej dzielnicy Londynu, zwanej potocznie kolonią.

Jego śladem w pewnej odległości ruszył Dan, ale po kilku krokach drogę zastąpił mu krępy osobnik w zdefasonowanym kapeluszu i mocno sfatygowanym surducie.

- Proszę zawrócić. Dla jaśnie pana taka wycieczka to pewna śmierć.

Dan z uwagą przyjrzał się mężczyźnie o niezbyt miłej powierzchowności. Złamany nos i zmasakrowane uszy sugerowały, że to były bokser. Kiedy się uśmiechnął, brakujące zęby potwierdziły to przypuszczenie.

- Zejdź mi z drogi, człowieku - burknął zniecierpliwiony Dan, śledząc wzrokiem znikającego pastora.

- Niech mnie jaśnie pan nie zmusza, żebym zastosował prawy sierpowy. Na upór nie ma lepszego sposobu. Jego lordowska mość rozkazał mi...

- Kim jesteś, człowieku?

- Przyszedłem tu służbowo.

- Tajny agent? Pracujesz dla jego lordowskiej... Zniecierpliwiony mężczyzna wznosił w górę oczy i pociągnął Dana do bramy.

- Ciszej, na miłość boską! Co się jaśnie pan tak wydziera? Jeszcze mi tu gardło poderzną. To nie jest miejsce dla dżentelmena, więc proszę spokojnie odejść, a ja wrócę do swojej roboty.

Dan pchnął go z całej siły i chciał ruszyć za Truscottem, ale przeciwnik błyskawicznie zerwał się na równe nogi i zastąpił mu drogę.

- Traci pan czas - tłumaczył cierpliwie.

- W takim razie poczekam tu na was.

- Radzę wrócić na Mount Street, jaśnie panie. To może potrwać. - Odwrócił się i wkrótce zniknął w mroku.

Dan rozdrażniony poczuciem bezsilności, chcąc nie chcąc, ruszył w drogę powrotną do domu. Podczas kłótni z tajnym agentem stracił z oczu wielbego Truscotta.

Spryciarz z tego Sebastiana, pomyślał gniewnie. Niech go diabli wezmą! Co za pech, że potrafi przewidzieć cudze postęпки. Dan wkrótce ochłonął. Wrócił mu zdrowy rozsądek. Miał dowód, że jego lordowska mość nie rzuca słów na wiatr. Śledztwo w sprawie świętoszkowatego pastora zostało rozpoczęte, a tajny agent sprawiał wrażenie człowieka, który zna się na swojej robocie. Powierzchowność zwykłego obwiesia sprawiała, że nie wyróżniał się z tłumu biedaków. Dan po namyśle przyznał, że nie jest dobrze przygotowany do wieczornej wyprawy. Przyszedł do tej zakazanej dzielnicy bez broni. Uznał, że agent miał rację, każąc mu odejść.

Tymczasem wielbny Charles Truscott bez lęku mijał złodziejskie meliny w samym sercu osławionej kolonii. W dzieciństwie przywykł do widoku walących się ruder i stosów cuchnących śmieci na ulicach. Nie przeszkadzał mu wtedy nawet wszechobecny smród.

Lata spędzone w lepszych dzielnicach sprawiły, że stał się delikatny jak paniczek. Wstrętny odór przyprawiał go teraz o mdłości. Przewodnik odnalazł w końcu właściwe drzwi i pchnął je mocno, aż zakołysały się na pękniętych zawiasach niczym pijak, będący pod dobrą datą. Chłopiec gestem zachęcił Truscotta, żeby wszedł do środka.

- Pan idzie na górę. - Kciukiem wskazał chybotałe schody i umknął.

Kaznodzieja miał wrażenie, że żołądek podchodzi mu do gardła. W ustach czuł gorycz. Kusiło go, żeby okręcić się na pięcie i uciec, ale silniejszy okazał się strach przed utratą wszystkiego, co zdobył z wielkim trudem. Siłą woli przywołał na twarz wyraz dobrotliwej życzliwości. Wszedł po schodach i zapukał do jedynych drzwi.

Po chwili pchnął je lekko i wszedł do pokoju, który wydawał się pusty. Rozejrzył się z obrzydzeniem. Miał często do czynienia z nędzą i zaniedbaniem, ale widok, który ukazał się jego oczom, przeszedł wszelkie dotychczasowe wyobrażenia.

Muchy roily się na wyszczerbionym talerzu z resztkami posiłku. W pomieszczeniu nie było żadnych sprzętów. Na podłodze leżał tylko stos łachmanów; żadnego łóżka ani siennika.

- Jak ci się tu podoba, Charlie? Prawdziwy pałac, co? - Spod sterty łachmanów wyrzała pomarszczona twarz. Kaznodzieja obojętnie patrzył na matkę.

- Wciąż tu jesteś? - spytał drwiąco. - Myślałem, że dawno się wyniosłaś.

- Chciałbyś mnie zobaczyć w drewnianej skrzynce? To by ci odpowiadało, prawda?

Chętnie by przytaknął, lecz wolał jej nie drażnić.

- Opacznie zrozumiałaś moje słowa. Chodziło mi o przeprowadzkę. Sądziłem, że znajdziesz sobie lepsze i wygodniejsze lokum.

- Co ty gadasz, Charlie? Spójrz na mnie. - Zerwała się na równe nogi. Duchowny poczuł silną woń alkoholu.

- Piłaś - rzucił oskarżycielskim tonem.

- Za pensa mam szmerek w głowie, za dwa upijam się na umór - odparła drwiąco. - Przyjrzyj się rodzonej matce, mój chłopcze. Chciałbyś zobaczyć mnie na scenie, co? - Gdy przysunęła się bliżej, Truscott poczuł ohydny woń przetrawionej brandy.

Nie widział matki od lat. Mocno umalowana twarz staruchy wzbudziła w nim przerażenie i odrazę. Nellie Truscott uchodziła kiedyś za piękność. Uroda była jedynym towarem, który mogła zaoferować na targowisku próżności. Teraz wyglądała żałośnie: wychudzona, siwa, potargana, z twarzą pobrużdżoną zmarszczkami.

Daremnie próbował ukryć odrazę. Jego mina rozwścieczyła matkę.

- Ależ z ciebie jaśnie pan, co? Wstydzisz się starej ubogiej matuli. Zostawiłeś mnie na poniewierkę, Charlie. Pora, żebyś za to zapłacił.

- Nie mów głupstw - burknął opryskliwie. - Jestem tylko ubogim pastorem.

- Ale wnet się wzbogacisz. Zawsze byłeś spryciarzem, mój chłopcze. Twoja żoneczka będzie mnie utrzymywać.

- Trzymaj się ode mnie z daleka - odparł cicho. - Mam ci przypomnieć, jak kończą głupcy, którzy ośmielają się stanąć mi na drodze?

Wystraszona próbowała go ułagodzić.

- Nie będę ci szkodzić, jeśli dostanę pieniądze, Charlie. Jestem chora i dlatego nawet miejscowi nie chcą już mieć ze mną do czynienia.

Kaznodzieja zamierzał chwycić ją za rękę i mocno ścisnąć chudy nadgarstek, bo pomyślał, że nie od rzeczy będzie przypomnieć jej o swej sile fizycznej i umiejętności zadawania bólu. Gdy wspomniała o chorobie, natychmiast cofnął ramię. Bogu dzięki, że jej nie dotknął. Od razu domyślił się, o jakiej chorobie mówi. Wszystkie dziewczki na to umierały.

- Bierz! - Rzucił na podłogę garść monet. - Nie mam więcej.

- Mało, Charlie. Przyjdiesz jutro?

- Nie mogę. - Chciał coś dodać, ale do pokoju weszła jakaś para.

- Nie szkodzi, Nellie. Jutro wybierzemy się wszyscy troje do kościoła, żeby posłuchać kazania wielebnego synalka. Podobno mówić potrafi jak nikt na świecie. - Kobieta wybuchnęła śmiechem. Jej towarzysz również wydawał się rozbawiony. Truscott pomyślał, że mają go w garści, i doskonale o tym wiedzą. Zaciśnął zęby i milczał, bo wiedział, że opór jest daremny. Matka z wrodzonym sprytem wykorzystała nieoczekiwaną wiadomość o jego życiowym powodzeniu, aby zyskać nowych przyjaciół. Na pewno obiecała im udział w zyskach.

- Zgoda. Przyjdę o tej samej porze - mruknął Truscott.

## Rozdział trzeci

Judith była zdziwiona. Obiecała wielebnemu Truscottowi, że wybierze się z nim na podwieczorek, który przygotowały damy z kółka dobroczynności, aby zebrać fundusze na przytułek dla dzieci biedoty. Gdy narzeczony się nie pojawił, doszła do wniosku, że opacznie zrozumiała jego wyjaśnienia. O wyznaczonej godzinie sama przybyła na umówione miejsce i tam dowiedziała się, że wezwano go pilnie do jednego z parafian.

Na życzenie macochy następnego dzień przesiedziała w domu, czekając na zwyczajową wizytę Truscotta, lecz nie przyszedł. Wieczorem przez posłańca przysłał list, w którym wyjaśnił, że musi wyjechać na kilka dni, ponieważ wzywają go pilne sprawy rodzinne. Judith wcale się z tego powodu nie zmartwiła. Przeciwnie, odetchnęła z ulgą. Cieszyła się, że przez pewien czas nie będzie musiała grzecznie potakiwać, słuchając wypowiedzianych przez niego banałów.

Nie było jej dane spędzić całego dnia w ciszy i skupieniu. Podczas wczesnego obiadu pani Aveton kipiała z oburzenia.

- Dlaczego stale muszę cię popędzać? - łajęła pasierbicę. - Kupiłaś dotąd zaledwie połowę rzeczy ze ślubnej listy. Działasz mi na nerwy, moja panno. W tym domu zapanuje upragniony spokój, kiedy wyjdiesz za mąż i nareszcie się stąd wyniesiesz.

Judith miała w tej kwestii sporo wątpliwości. Córki pani Aveton były równie kłótniwe jak matka. Służący często byli świadkami głośnych awantur, wrzasków i ataków hysterii. O żadną z dwu panien dotąd nikt się nie oświadczył. Brakowało im podstawowych atutów: posagu, urody i miłego usposobienia.

- Mam udać się na Bond Street? - spytała z nadzieją Judith, szukając pretekstu do wyjścia z domu.

- To jedyny sposób, żeby zdobyć potrzebne rzeczy - padła sarkastyczna odpowiedź.

- Mogę jechać powozem?

- Owszem. Dzięki temu szybciej wrócisz do domu, zamiast włączyć się po próżnicy, jak kilka dni temu. Nie powinnaś się guzdrać. Pana Truscotta może irytować taka opieszałość, a twoją powinnością jest wszak zadowolić męża pod każdym względem.

Judith buntowała się przeciwko takiemu podejściu do sprawy. Nie miała ochoty słuchać, że po ślubie wszystko będzie podporządkowane widzimisię domowego tyrana. Z kamienną twarzą układała teraz śmiały plan. Mogła szybko załatwić sprawunki, a następnie pojechać z wizytą na Mount Street. Zapewne to z jej strony wielka lekkomyślność, lecz zdecydowała się na odwiedzin, bo tęskniła za przyjaciółmi.

Z pomocą Bessie szybko kupiła wszystkie niezbędne przedmioty, ledwie zwracając na nie uwagę. Wystarczył rzut oka na uliczny zegar, aby upewnić się, że zaoszczędziła ponad godzinę. W domu nieprędko zaczęła sarkać, że znów się guzdrze. Gdy przyjechała na Mont Street, przeżyła srogi zawód, dowiadując się, że Elizabeth i Perrygo nie ma w domu, a Prudence, zgodnie z zaleceniem lekarza, odpoczywa w sypialni.

- Lord Wentworth przyjmie panienkę, ale teraz rozmawia z lekarzem. Proszę łaskawie poczekać.

Lokaj skwapliwie otworzył drzwi bocznego salonu, ale Judith pokręciła głową.

- Nie chcę przeszkadzać. To nie jest odpowiednia pora na odwiedzin. Proszę ode mnie pozdrowić lady Wentworth. Przyjadę z wizytą innego dnia.

Odwróciła się i ruszyła do wyjścia. Gdy położyła dłoń na klamce, w drzwiach biblioteki stanął Dan. Po chwili był już przy niej.

- Usłyszałem twój głos, ale odniosłem wrażenie, że mi się tylko wydaje. Bardzo proszę, nie odchódź. Zapraszam do biblioteki na miłą pogawędkę.

Wahała się przez moment, ale gdy spojrzała na jego rozpromienioną twarz, od razu nabrała zaufania.

- Nie obawiaj się. Dotrzymam słowa. Żadnych uwag, które mogłyby wprawić cię w zakłopotanie.

Powiedział to wbrew sobie, bo doszły go niepokojące wieści. Zgodnie z wolą Sebastiana postanowił ich nie ujawniać. Tajny agent śledził wielbego Truscotta aż do kwartału, zwanego kolonią, uchodzącego za przestępczy matecznik Londynu. Po wyjściu kaznodziei agent zapukał do drzwi, za którymi stracił

tamtego z oczu. Dla niepoznaki rozpytywał o znanego pasera. Arogancki mężczyzna w średnim wieku kazał mu zmykać.

- Nie masz tu czego szukać, przybłądo. Idź handlować gdzie indziej. Radzę zajrzeć do szynku. Tam kupią od ciebie błyskotki bez zbędnych pytań.

Agent odszedł, planując kolejne posunięcie. Znalazł wygodną kryjówkę i czekał cierpliwie, obserwując drzwi. Wkrótce mężczyzna wyszedł na ulicę w towarzystwie dwóch kobiet uczeponych jego ramion. Agent pod osłoną nocy ruszył za nimi. Cała trójka udała się do szynku.

Gdy wkroczył tam za nimi, był pewny, że nie wzbudzi podejrzeń. Mężczyzna sam radził mu tutaj przyjść w celu dokonania pokątnej transakcji. Uśmiechając się przyjaźnie, usiadł przy stoliku w pobliżu wesołej trójki. Gdy odkłonili się, miał nadzieję, że zaczną rozmowę, ale starsza kobieta podeszła do kontuaru i wdała się w awanturę z szynkarzem.

- Nic ci nie dam na kredyt, Nellie. Jesteś goła! Wybij sobie z głowy, że się u mnie napijesz...

- Zamknij mordę! - Rzuciła na szynkwas monetę. - Mam tego więcej. Dawaj butelkę.

Mężczyzna chwycił pieniądź i ścisnął go zębami, a potem zagwizdał, nie kryjąc zdumienia.

- Z nędzy do pieniędzy? Pewnie kogoś obrobiłaś. Gdzie trup?

Stara, nie zwracając na niego uwagi, wróciła do kompanów. Szybko uporali się z pierwszą butelką i zamówili drugą.

Agent czekał. Miał nadzieję, że wkrótce alkohol rozwiąże im języki, i zaczną mówić swobodniej. Nie docenił pijackich możliwości wesołej trójki. Stara miała wyjątkowo mocną głowę, choć do knajpy przyszła lekko wstawiona. Cierpliwość agenta została jednak nagrodzona. Po trzeciej butelce kobieta rozparła się na krześle, otarła usta wierzchem dłoni i zaczęła chichotać.

- Ale miał minę! - przypomniała kompanom. - Hardy jak sam diabeł, ale mamy go w ręku. Zapłaci!

- No! - zgodził się mężczyzna - Rychło w czas! Ten szubrawiec jest ci to winien, moja miła.

Agent słuchał ze zdumieniem. Gdyby Nellie była młodsza, wiedziałby, co o tym myśleć, lecz bez wątpienia przekroczyła sześćdziesiątkę. Przyjrzał jej się uważnie. Rysy wydały mu się znajome: kształt nosa, głęboko osadzone oczy. Słabo widział zasłoniętą kołnierzem twarz wielebnego, ale im dłużej patrzył na starą, tym bardziej utwierdzał się w podejrzeniach.

- Co tak gały wywalasz? - burknęła młodsza z kobiet. -Masz coś do nas?

- Tak się rozglądam. Będę leciał. Nie ma tu nikogo, kto by mi się nadał. - Zmarszczył brwi i wyszedł.

Złożony Sebastianowi raport agenta był zwięzły i treściwy. Dan od razu nabrał werwy, jakby w jego serce wstąpiła nowa nadzieja.

- Wygląda na to, że Truscott opłaca tych ludzi - podsumował z ożywieniem. - Ciekawe dlaczego.

- Powodów może być sporo. A jeśli to jałmużna?
- Na terenie cudzej parafii? - odparł z powątpiewaniem Dan.
- Nie zapominaj, że Truscott jest duchownym. Po stroju łatwo poznać, czym się zajmuje.
- Dan prychnął z irytacją.
- Owinał się fałdzistym płaszczem i postawił kołnierz. Wyglądał jak zwykły przechodzień.
- Z jakichś powodów czuje się swobodnie w tamtych stronach, ale to nie powód, żeby go potępić - zauważył Sebastian.
- Zapewne - przytaknął niechętnie Dan. - Nie zamierzam jednak zadowolić się tym wyjaśnieniem. Twój agent także był zdziwiony. Wspomniał, że Truscott wydał mu się podobny do tej Nellie, prawda?
- I co z tego? Nawet gdyby tak było, dlaczego miałyby świadczyć przeciwko niemu? Odczucia i poszlaki to żaden dowód.
- I żaden powód do dumy - wtrącił Perry, słuchający z uwagą tej wymiany zdań. - Parafia St Giles to najbardziej niebezpieczny rejon Londynu. Gdybym miał tam rodzinę, pewnie bym się do niej nie przyznawał.
- Trudno winić człowieka z powodu jego pochodzenia - sprzeciwił się Sebastian.
- Owszem, ale w kolonii mieszkają wyłącznie przestępcy. Wiesz, co to za miejsce. A tamtejsze kobiety...
- Nieważne. Brak dowodu, że coś łączy Truscotta z tamtymi ludźmi. Agent może się mylić. Nie wykluczam, że wielebny chodzi tam, powodowany chrześcijańskim miłosierdziem.
- Mówisz jak Frederick - rzekł z obrzydzeniem Perry. - Jak tak dalej pójdzie, w ślad za nim trafisz do rządu.
- Wykluczone! - Sebastian wybuchnął śmiechem i pokręcił głową. - Nawiasem mówiąc, nie zapominaj, że Frederick bardzo ci pomógł. Gdyby nie on, straciłbyś Elizabeth.
- Wiem, i jestem mu bardzo wdzięczny. Zadziwił mnie wtedy. Zawsze uważałem go za wzór stateczności, ale przekonałem się, że wobec poważnego zagrożenia wcale się nie ociąga i działa błyskawicznie.
- Wezmę z niego przykład.
- Słuchający ich rozmowy Dan od razu poweselał.
- A zatem kontynuujemy śledztwo?
- Naturalnie! - Sebastian spojrział życzliwie na przybranego syna. - Prudence i Elizabeth bardzo się przejęły tą sprawą. Zważywszy na błogosławiony stan mojej pani, nie mogę pozwolić, żeby się zamartwiała.
- Nie będziemy ich wtajemniczać?
- Wręcz przeciwnie, ale uczynimy to, gdy śledztwo będzie znacznie bardziej zaawansowane.
- W takim razie lepiej, żebym nie mówił Elizabeth o raporcie agenta.



- Owszem. Wiemy jedynie, że wielbny Truscott odwiedził najuboższą dzielnicę Londynu. Reszta to domysły. Sądziś, że Elizabeth się tym zadowoli? Perry uśmiechnął się do brata.

- Słuszna uwaga. Znasz moją żonę jak zły szeląg. Ona niczego się nie boi. Gdyby zechciała wybrać się na rekonesans, nawet twój nieoceniony agent nie zdołałby jej zatrzymać.

-Słuszna uwaga! - Sebastian popatrzył na rozmówców. -Wszystko, czego się dowiedzieliśmy, trzeba na razie zachować dla siebie. Nikt poza nami nie może usłyszeć o prywatnym śledztwie. Jeśli zdobędę nowe informacje, natychmiast was zawiadomię.

Dan wspominał niedawną rozmowę, prowadząc Judith do biblioteki. Nie dał po sobie poznać, o czym myśli. Z jego twarzy można było wyczytać tylko ogromne zadowolenie z odwiedzin dawnej przyjaciółki.

Gdy weszli do biblioteki, Judith natychmiast zainteresowała się rozłożonymi na wielkim stole arkuszami papieru.

- Jesteś zapracowany! Przeszkodziłam ci - zmartwiła się.

- Marzę o przerwie - odparł z przebiegłym uśmiechem Dan. - Poza tym mam wreszcie sposobność, żeby ci opowiedzieć o moich pomysłach. Teraz mi nie umkniesz...

- Nie zamierzam. - Popatrzyła na szkice i rysunki. - Projektujesz okręt wojenny? Po co? Nie walczymy z Francją. Od kilku miesięcy obowiązuje pokój zawarty w Amiens.

- Hrabia Brandon jest zdania, że to chwilowe zawieszenie broni. Twierdzi, że za jakiś czas wzajemna wrogość ujawni się ze zdwojoną siłą. Perry i Sebastian dzielają jego opinię.

- Co ty o tym sądzisz?

- Wkrótce wojna rozgorzeje na nowo. Napoleon nie zrezygnował. Pragnie zbudować imperium, obejmujące całą Europę. Chętnie sięgnąłby jeszcze dalej. Tylko nasza flota może go powstrzymać.

- W takim razie po co zawarł traktat pokojowy?

- Aby zyskać na czasie. Musi odbudować rezerwy i zamówić nowe okręty. Na morzu spotkały go dotkliwe klęski. Podczas następnej kampanii musi nas pokonać w bitwie morskiej.

- Francuskie okręty są lepsze od naszych?

- Na pewno szybsze, lżejsze i zwrotniejsze. Angielskie mają większą masę oraz siłę uderzenia. Najważniejszym zadaniem okrętu wojennego jest transport dział, więc konstrukcja pokładu musi wytrzymać ich ciężar.

- Rozumiem. Najważniejsze jest zachowanie proporcji między wypornością statku a jego szybkością - odparła z jawnym zaciekawieniem.

- Oczywiście. Wiedziałem, że natychmiast pojdziesz, w czym rzecz. Jest wiele czynników, które należy wziąć pod uwagę.

- Wymień, proszę, chociaż kilka.

- Ogólna sprawność okrętu i jego zdolność do żeglugi, stan techniczny, sterowność, rozmaite warunki pogodowe, wyposażenie.
- Sporo tego - przyznała z tajemniczym uśmiechem.
- O co ci chodzi?
- Sama nie wiem. Zdawało mi się, że podróż bardzo cię zmieniła, ale pozory mylą. Teraz widzę, że jesteś taki jak przedtem. Pamiętam, jak się poznaliśmy. To było w Kew Garden. Zwisiałeś głową w dół, przechylony przez burzę niewielkiej łodzi, płynącej po rzece. Wszyscy myśleli, że lada chwila dasz nurka, żeby przyjrzeć się kadłubowi.
- Rzeczywiście. - Dan zachichotał. - Perry dał mi potem solidną burę. Wszyscy poszli dalej, a ty jedna ze mną zostałaś. Dlaczego?
- Przy tobie nie czułam się zakłopotana - odparła półgłosem Judith. - Mogłam spokojnie oddawać się rozmyślaniam. Nie zmuszałeś mnie do rozmowy.
- Uważałaś mnie chyba za nudziarza zaabsorbowanego własnymi sprawami. Perry tłumaczył mi potem, że powinienem zabawić cię miłą konwersacją.
- Nie było takiej potrzeby - zapewniła. - Milczenie we dwoje nie wydawało mi się krępujące. - Wyciągnęła do niego rękę. - Pora iść. Nie powinnam siedzieć u was zbyt długo.
- Nie odchodź jeszcze. - Dan ujął jej dłoń i mocno przytrzymał. - Chcesz zobaczyć szkice?

Pokusa była nieodparta, a zresztą Judith nie musiała spieszyć się do domu. Gdy przysunął jej krzesło, usiadła posłusznie. Ramię przy ramieniu oglądali rysunki. Nie wszystko rozumiała, więc zasypywała go pytaniami, które świadczyły o dociekliwości i zdrowym rozsądku. Zachęcany przez nią Dan ze swadą opowiadał o swoich pasjach. Spostrzegł, że Judith stała się swobodniejsza i twarz jej się wypogodziła.

Gdy zegar wybił piątą, Judith aż podskoczyła na krześle.

- Wielkie nieba! Ale się zasiedziałam! - krzyknęła. - Pozdrów ode mnie Prudence i Elizabeth. - Zerwała się na równe nogi, jakby chciała natychmiast wyjść. Dan uśmiechnął się szeroko i serce w niej zamarło.

- Okropny ze mnie egoista, ale sama mnie zachęcałaś, żebym opowiadał, nad czym pracuję. Nic mi nie powiedziałaś o swoich zajęciach.

Judith odwzajemniła uśmiech.

- Nie dopuściłeś mnie do słowa - odparła żartobliwie.

- Może teraz zwierzysz się staremu przyjacielowi. Nadal piszesz? Tylko opowiadania?

- Nie... - przyznała z wahaniem.

- A co? - Gdy odwróciła twarz, unikając jego spojrzenia, oczy mu zabłyśły. - Pracujesz nad powieścią? Nareszcie! Od początku marzyłaś, żeby stworzyć coś większego.

- Nie wiem, czy moja pisanina jest coś warta - tłumaczyła zarumieniona. -

Próbuję po swojemu uporządkować świat, który obserwuję na co dzień.

Przelewanie myśli na papier bardzo mi w tym pomaga.

- Twoje opowiadania są znakomite!
- Nic szczególnego. Takie sobie historyjki.
- Zabraniam ci tak mówić! Masz dar obserwacji i znakomicie opisujesz życiowe perypetie. Ile rozdziałów napisałaś?
- Zaledwie kilka - odrzekła niechętnie. - Być może tracę czas. Nie jestem w stanie ocenić, czy są coś warte.
- W takim razie pozwolę sobie na wielką śmiałość i zaproponuję, żebyś dała mi je do przeczytania.

Judith zarumieniła się z radości.

- Będę ogromnie rada, jeśli zechcesz wyrazić opinię. Dawniej czytałaś wszystko, co napisałam, a twoje uwagi były naprawdę pomocne.
  - A więc postanowione. Kiedy dostanę rękopis?
  - Trudno mi powiedzieć. - Judith nagle spochmurniała. - Mam inne zobowiązania...
  - Doskonale to rozumiem - odparł Dan i w jednej chwili stał się bardzo oficjalny. Zamilkli oboje, myśląc o jej rychłym ślubie, bo nie chcieli poruszać tego tematu. Cisza stała się krępująca dla Judith, która uwolniła dłoń z uścisku Dana i zbierała się do odejścia. Niespodziewanie w drzwiach stanęła Elizabeth otoczona gromadką rozszczebiotanych dzieci, które nie mogły się doczekać spotkania z Danem. Za nimi wszedł Perry z młodszą córką w objęciach. Prowadził za rękę starszą ze swoich dziewczynek. W ślad za nim przybiegła zaaferowana niania.
  - Dzieci zostają z nami - oznajmił stanowczo. - Ta młoda dama z pewnością chce się z nimi zobaczyć. Judith, chyba nie masz nic przeciwko najazdowi dziatwy.
  - Skądże! - Judith uśmiechnęła się serdecznie do zachwyconej dzieciarni. Perry usiadł i posadził starszą córeczkę na kolanie.
  - Spotkaliśmy się w sieni. Nasze pociechy wróciły przed chwilą z parku - wyjaśniła Elizabeth. - Trzeba uczcić wizytę Judith. Każę podać podwieczorek w salonie. Co ty na to, mój drogi?
- Synowie Prudence i Sebastiana owacyjnie przyjęli propozycję cici.
- Jak sobie życzysz, najdroższa. - Perry zadzwonił na służbę i wydał dyspozycje.
  - Rozpieszczasz dzieci. Prudence się wścieknie, gdy usłyszy o tych fanaberiach. Wolę nie myśleć, jak będą potem wyglądać nasze dywany.
  - Obiecujemy uważać, stryжку. - Jedenastoletni Thomas wyprostował się z godnością. Najwyraźniej czuł się urażony, że zaliczono go do dzieciarni. - Henry ostatnio jest ostrożniejszy.
  - Ja też. - Najmłodszy z chłopców imieniem Crispin popatrzył wyczekująco na brata.
  - Tobie nadal wszystko leci z rąk. Zwłaszcza kanapki... masłem na dół. - Thomas obrzucił go surowym spojrzeniem.
  - Dzisiaj będzie wyjątkowo uważny. - Judith wzięła Crispina za rękę. - Co dzisiaj robiłeś?
  - Poszliśmy do Tower oglądać dzikie zwierzęta. - Podekscytowany malec otworzył szeroko oczy. - Widziałem lwy.

- Bardzo dzikie?

- Nie podobało mi się, jak ryczały.

- Zasłonił uszy rękami - wtrącił Thomas lekceważącym tonem.

- Zrobiłabym tak samo - odparła spokojnie Judith. - Nagły ryk bywa przerażający. - Spojrzała na Henrygo. - Co ci się najbardziej podobało? Henry był jej ulubieńcem. Nie lubuzował tyle co inni. Lubił zajęcia wymagające skupienia i ciszy. Mimo różnicy wieku byli prawdziwymi przyjaciółmi. Często przesiadywali razem w milczeniu. Henry ufał Judith i chętnie powierzał jej najskrytsze tajemnice.

- Wszystko było piękne - odparł. - Mam rysunki. Zwierzęta są dziwne i niezwykle. Chcesz zobaczyć?

- Bardzo, ale muszę wracać do domu. Pokażesz mi swoje szkice, gdy znowu was odwiedzę, zgoda?

- Wykluczone! Nie zgadzam się, żebyś teraz wyszła! - Elizabeth zerwała się z krzesła. - Zbyt rzadko się widujemy. Musisz zjeść z nami kolację.

- Nie mogę. Czekają na mnie w domu. Poza tym nie jestem odpowiednio ubrana. W takim stroju nie mogę zasiąść z wami do stołu.

- Mniejsza z tym. Nie będę się przebierać do kolacji, skoro jemy w rodzinnym gronie. Kochanie moje, pošlemy twojej macosze wiadomość, że zostaniesz tu na cały wieczór, zgoda?

- Oj tak! - Chłopcy obstąpili Judith ciasnym kręgiem, wznosząc radosne okrzyki.

- Pokażemy ci prezenty, które przywiózł nam Dan!

- Dajcie spokój, moi drodzy - wtrącił Dan. - Może ciocia Judith spodziewa się wieczorem odwiedzin narzeczonego?

- Skądże - odparła bez zastanowienia. - Pan Truscott wyjechał na kilka dni.

- W takim razie nie widzę przeszkód...

- O czym mówicie? - zapytał Sebastian, który dopiero teraz przyłączył się do towarzystwa.

- Chcemy, żeby Judith zjadła z nami kolację. Jak się czuje Prudence? - zapytała zatroskana Elizabeth.

- Znakomicie. Odpoczynek dobrze jej zrobił. Postanowiła, że przed kolacją zejdzie na dół.

- A widzisz? - Elizabeth zwróciła się do Judith. - Teraz nie możesz odmówić. Prudence ucieszy się na twój widok. Judith wahała się, ale pokusa była nieodparta. Tak przyjemnie byłoby spędzić choć jeden wieczór w gronie oddanych, serdecznych ludzi. Mimo wszystko nadal nie umiała podjąć decyzji.

- Pani Aveton jest dziś zaproszona do znajomych - powiedziała. - Będzie jej potrzebny powóz...

- W takim razie odeślij go i przez stangreta przekaz wiadomość. - Elizabeth klasnęła w dłonie. - Odwieziemy cię do domu. Skoro twoja macocha wychodzi, nie jesteś jej potrzebna.

- To prawda - przyznała Judith i dodała szczerze: - Chętnie tu zostanę.

- Sama napiszę bilecik do pani Aveton - zaproponowała uradowana Elizabeth. - Tak będzie najlepiej. Nie sądzę, żeby miała zastrzeżenia.

- No pewnie! - kpił dobrodusznie Perry. - W takiej sytuacji trudno protestować. *Vis maior*, czyli siła wyższa, jak mawiali starożytni Rzymianie. - Mrugnął porozumiewawczo do Judith i dodał: - Moja połówica znów postawiła na swoim. Jesteśmy osiem lat po ślubie i mamy dwie córki, a wciąż nie udało mi się jej zmienić w potulną trusią, którą zawsze chciałem pojąć za żonę.

Elizabeth spojrzała na niego z ukosa i wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Ciekawe, dlaczego nie raczyłeś wspomnieć mi o tym na samym początku znajomości, najdroższy.

Perry obrzucił żonę tkliwym spojrzeniem, które całkiem ją rozbroiło.

- To proste. Uwielbiam niespodzianki, a ty stale mnie zaskakujesz.

Judith poczuła małą łapkę wsuwającą się w jej dłoń. Z uśmiechem spojrzała na Henry'ego.

- Zostaniesz na cały wieczór, prawda, ciociu? - powiedział, a gdy kiwnęła głową, dodał z zapałem: - To wspaniale! Chodźmy obejrzyć prezenty od Dana.

- Dostałem sztylet - pochwalił się Thomas, stając obok brata. - Rękojeść jest inkrustowana drogimi kamieniami. Na razie nie wolno mi nosić go przy sobie, lecz kiedy podrosnę, będzie jak znalazł.

- A co ty otrzymałeś? - Judith zapytała Henry'ego.

- Drewnianą maskę. Dan powiedział, że odpędza złe duchy.

- Pożyteczny drobiazg - wtrącił Perry, uśmiechając się do bratanka. - Szkoda, że takiej nikt mnie nie podarował. Każdy dżentelmen powinien mieć w domu ten pożyteczny drobiazg.

- Zazdrośnik z ciebie - zauważyła żartobliwie rozpromieniona Judith.

- Oczywiście. Najchętniej znowu posłałbym Dana w rejs po morzach południowych, żeby przywiózł mi upragniony prezent.

Dwie pulchne łapki dotknęły jego twarzy. Siedząca na kolanach córeczka oznajmiła stanowczo.

- Papa nie wyśle Dana. On jest kochany. Ma tu być. Perry mocno przytulił rezolutną dziewczynkę.

- Żartowałem, koteczko. Dan zostanie w domu.

- Nie może być inaczej, skoro ma taką protektorkę - zauważył rozbawiony Sebastian. - Idźcie na górę, chłopcy. Judith później do was zajrzy, a teraz biegnijcie do mamy. Czeka na was w swoim pokoju. Uściskajcie ją i wróćcie tu na podwieczorek.

Sebastian usiadł w fotelu z wysokim oparciem. Judith z rozczeniem obserwowała córkę Perryego, która wysunęła się z objęć taty, podbiegła do stryjka i wdrapała mu się na kolana.

- Mam nadzieję, że tym razem urodzi wam się córeczka. Jak sądzisz? - spytał Perry, spoglądając na brata

- Oby! Mam nadzieję, że wyrośnie na taką ślicznotkę jak wasza Kate. - Sebastian pocałował dziewczynkę w czoło i nagle spoważniał. - Będzie, co ma być.

Najważniejsze, żeby dziecko przyszło na świat zdrowe, a Prudence miała lekki poród.

- Martwisz się o nią? - spytała pospiesznie Judith. - Dlaczego? Lekarz nie widzi powodów do obaw.

- Prudence dobrze znosi swój stan, ale nie chce mnie słuchać i za mało odpoczywa. Byłbym wdzięczny, moja droga, gdybyś przemówiła jej do rozsądku. Przywykła do ciągłej aktywności, ale przy tobie zawsze się uspokaja i przestaje kręcić się jak fryga.

- Spróbuję na nią wpłynąć - obiecała Judith.

- W takim razie chodźmy do niej od razu! - Elizabeth już biegła ku drzwiom, ale zatrzymała się w pół kroku i spojrzała na Sebastiana. - Och, zapomniałam, że dzieci zaraz przyjdą na podwieczorek. Twoi synowie na pewno są głodni jak stado wilków. - Wyciągnęła rękę do córeczki. Poszły razem do salonu, znajdującego się po drugiej stronie holu.

Pod czujnym okiem papy chłopcy zachowywali się nienagannie. Po posiłku Elizabeth odetchnęła z ulgą, bo na dywanie nie było żadnych plam. Jej córki jadły niewiele, a oczy same im się zamykały. Wyprawa do parku okazała się bardzo męcząca.

- Pora spać - oznajmiła stanowczo Elizabeth. - Chodź ze mną na górę, Judith. Trzeba je wykąpać i położyć do łóżek.

Z matczyną dumą spoglądała na dziewczynki. Uśmiechnięty Perry odprowadził wzrokiem tę przemiłą gromadkę, aż zniknęła za drzwiami.

- Judith to urocza panna - rzucił przyjaźnie Perry. - Ładnie dziś wygląda i zdaje się pogodniejsza, nie sądzicie?

- Uwielbia dzieci - zauważył Sebastian. - Ucieszyłem się, widząc ją tu dzisiaj. Kiedy przyjechała?

- Jakieś dwie godziny temu - odparł Dan z udawaną nonszalancją, która obu braciom wydała się mało przekonująca.

- Ty draniu, na tak długo zagarnąłeś ją dla siebie! Ciekawe, co by na to powiedział ten prostak Truscott.

- Wspomniała, że wyjechał.

- Na zawsze, mam nadzieję!

- Niestety. - Dan spojrzał znacząco na obu braci. - Podobno załatwia sprawy rodzinne.

- Może go spłoszyliśmy? - Oczy Perryego zabłyśły. - Gość zachowuje się dziwnie. Niespodziewany wyjazd, tak? Co o tym sądzisz? - zwrócił się do Sebastiana, który zmierzył go bystrym spojrzeniem.

- Nie można wykluczyć, że Truscott rzeczywiście pojechał do rodziny. Nie powinieneś stale pomawiać go o najgorsze.

- Kiedy on wygląda podejrzenie.

- Poznałeś go? A gdzie? To ciekawe. Nie masz zwyczaju towarzyszyć Elizabeth podczas nabożeństw.

- Uznałem, że trzeba mu się przyjrzeć, poszedłem więc do kościoła tego wieczoru, gdy usłyszeliśmy nowinę o zaręczynach.

- Jak zwykle działasz na własną rękę. Mam nadzieję, że nie przeprowadziłeś śledztwa, rozpytując o pastora wśród jego parafian.

- Ależ skąd! - obruszył się Perry. - Stałem w głębi kościoła i patrzyłem, jak z kazalnicy ciska gromy na swoje owieczki.

- W takim razie bądź łaskaw na tym poprzestać, zgoda?

- Są nowe wiadomości? - zapytał Dan, żeby nie dopuścić do sprzeczki.

- Nie, lecz Truscott nadal jest śledzony. - Sebastian popatrzył na sufit. - Przyznaję, że jego niespodziewany wyjazd jest trochę dziwny, zwłaszcza teraz, gdy trwają przygotowania do ślubu. Na wypadek, gdyby coś knuł, należy zachować ostrożność. Nie wolno go teraz spłoszyć.

- A to czemu?

- Młodzi są teraz mało domyślni. Wszystko trzeba im tłumaczyć. Gdyby się okazało, że jego działania nie mają znamion przestępstwa, zarzuci nam, że bezprawnie wtrącamy się w jego prywatne sprawy.

- I co z tego?

Sebastian zawahał się, szukając właściwych słów.

- Spłoszymy zwierzynę, która umknie.

- I bardzo dobrze! Krzyżyk na drogę! - gorączkował się Dan. - Tak będzie najlepiej dla Judith!

- Nieprawda. Zastanów się, Dan. Być może twoje podejrzenia są uzasadnione i naprawdę mamy do czynienia z bezwzględnym draniem. Sądziś, że łatwo zrezygnuje z szansy na szybkie i łatwe wzbogacenie się?

- Chcesz powiedzieć, że gdyby zabrakło nam rozwagi, Judith mogłaby zostać narażona na poważne niebezpieczeństwo?

- Owszem. To bardzo prawdopodobne. Zapewne słyszałeś o młodych dziedziczkach porwanych i zmuszanych do małżeństwa przez bezwzględnych szubrawców. Gdy rzecz się dokona, mąż znika bez śladu, zabierając nieszczęsnej cały majątek.

- Nie możemy do tego dopuścić! - Perry zerwał się na równe nogi i zaczął chodzić po pokoju.

- Racja - odparł spokojnie jego brat. - Teraz rozumiecie, dlaczego trzeba zachować ostrożność? - Sebastian rozsiadł się w fotelu, zadowolony, że przyjęli jego punkt widzenia. Truscott wydał mu się zdecydowanie podejrzaną figurą, należało więc za wszelką cenę dojść prawdy.

Niespodziewana próba szantażu sprawiła, że wielebny Truscott przez całą noc nie zmrużył oka. Następnego dnia ochłonał po pierwszym ataku paniki i wziął się w garść. Kiedy powtórnie odwiedził kolonię, wciąż nie zdawał sobie sprawy, że jest śledzony. Przed tą wyprawą nie bez irytacji opróżnił kościelną skarbonkę i zabrał ze sobą jej zawartość. Wydawał zwykle te pieniądze na własne potrzeby, ale tym razem musiał postąpić inaczej. W głowie miał już chytry plan.

Zgodnie z jego oczekiwaniami, wypchana sakiewka została uznana za kolejną z wielu rat. Matka i jej kompani postanowili go puścić z torbami. Uśmiechnął się ponuro. Nie wiedzieli, z kim mają do czynienia.

Z pokorą obiecał, że przed końcem tygodnia znowu przyniesie większą sumę. Usprawiedliwił się, że musi wyjechać na kilka dni, aby wypełnić kapłańskie obowiązki, co było jedynie wymówką, bo postanowił dać sobie chwilę wytchnienia. Nie pofatygował się do Judith, aby uprzedzić, że przez krótki czas nie będzie jej odwiedzać. Wysłał tylko krótki list. Myślnami był już gdzie indziej. Skierował kroki do dzielnic biedoty. Zmierzał do kwartału zwanego Seven Dials. Zatrzymał się przed ceglany domem, który niczym nie różnił się od innych ruder, stojących wzdłuż ulicy. Wyjął z kieszeni klucz. Cieszył się w duchu, że okpił wysoko urodzonych parafian. Za ich pieniądze urządził sobie przyjemne mieszkanie. Był przekonany, że robi z tych zasobów właściwy użytek. Wolał dbać o swoje potrzeby, niż trwonić datki wiernych na hołubienie młodocianych obdartusów.

Gdy zorientował się, że nikogo nie ma w mieszkaniu, twarz wykrzywiła mu się z wściekłości. Do diabła, gdzie się podziewa ta głupia dziwka? Powinna siedzieć w domu, wypatrując pana i władcy, gotowa zaspokoić wszelkie jego zachcianki. Usłyszał kroki na schodach, zaczął się więc przy drzwiach. Gdy do mieszkania weszła młoda dziewczyna, zaszedł ją od tyłu i chwycił za włosy. Brutalnie zmusił, żeby się odwróciła i stanęła z nim twarzą w twarz. Uśmiechnął się, gdy jęknęła z bólu.

- Dlaczego się nade mną znęcasz! - krzyknęła.

- Bo tak mi się podoba! Będiesz cierpiała jeszcze bardziej, skoro nie wypełniasz moich rozkazów. Zapowiedziałem ci, żebyś nie wychodziła z domu.

Kombinujesz za moimi plecami? - Wzmocnił chwyt, zmuszając ją, żeby padła na kolana.

- Gdzież bym śmiała! - Łzy stanęły jej w oczach. - Wyszłam po chleb. - Wskazała koszyk. - Skąd miałam wiedzieć, że przyjdiesz? Nie dostałam od ciebie żadnej wiadomości.

- Ani myślę uprzedzać cię o swoich odwiedzinach! Ty suko, co ci chodzi po głowie? - Brutalnie zmusił ją, żeby wstała.

Bolesny jęk wzbudził w nim żądzę. Gwałtownym ruchem rozdarł suknię utrzymanki, pchnął ją na łóżko i rzucił się na nią jak dziki zwierz.

Po zmierzchu, nasycony i zadowolony z siebie, kopniakiem zrzucił dziewczynę z łóżka.

- Sprowadź tu swoich braci - polecił ostro. - Mam dla nich robotę.



## Rozdział czwarty

Następnego ranka w dzielnicy Londynu o dziesiątce przecznicy odległej od ubogiego kwartału Seven Dials Judith usłyszała od Bessie, że macocha chce ją zobaczyć, i to natychmiast.

- O tej porze? - zdziwiła się, bo pani Aveton wstawała dosyć późno.

- Tak powiedziała. Ma pani iść zaraz do jej sypialni. Gdy Judith weszła do pokoju, pani Aveton siedziała na łóżku, małymi łykami pijąc gorącą czekoladę.

- I cóż, moja panno? Przyjemnie spędziłaś czas u przyjaciół? Pytanie zdumiało Judith, bo macocha rzadko interesowała się jej rozrywkami.

- Owszem. Wiedziałam, że byłaś zaproszona na kolację. Mam nadzieję, że nie poczułaś się urażona, bo spędziłam wieczór u Wentworthów. Powóz odesłałam na czas. Czyżby jakaś dolegliwość sprawiła, że nie mogłaś odwiedzić znajomych?

- Byłam u nich. I Bogu dzięki, ponieważ dowiedziałam się ciekawych rzeczy. Przyznaję, że te nowiny bardzo mnie zaniepokoiły.

- Ach tak?

- Nie udawaj niewiniątka!

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Czyżby? W takim razie dlaczego nie powiedziałaś mi od razu, że ten nędznik i prostak Dan Ashburn wrócił z podróży i zamieszkał u Wentworthów? Judith poczuła zimny dreszcz, ale gdy odpowiedziała, głos miała spokojny.

- Nie sądziłam, że chcesz o nim rozmawiać.

- Oszukałaś mnie podle! Zdajesz sobie sprawę, że gdybym wiedziała o jego obecności w domu Wentworthów, zabroniłabym ci tam chodzić.

- Pamiętaj, że jestem zaręczona z panem Truscottem.

- Mam wrażenie, że wolałabyś o tym zapomnieć. Poniżasz się, przebywając w towarzystwie takiego prostaka. Przed kilkoma laty dostałaś nauczkę. Czy to ci nie wystarczy?

Judith poczuła, że ogarnia ją gniew.

- Istotnie sporo się nauczyłam przez te wszystkie lata - odparła, siląc się na spokój. - Mam jednak wrażenie, że coś ci umknęło. Zapomniałaś, że pan Ashburn jest przybranym synem lorda Wentwortha.

- Twoim zdaniem to wystarczy, żeby ulicznik zmienił się w arystokratę? Jesteś idiotką! Wysoko urodzeni mają prawo do kaprysów, ale to nie znaczy, że masz ich naśladować.

- Opacznie to rozumiesz. Pan Ashburn od lat jest moim serdecznym przyjacielem. Staram się być wobec niego uprzejma. - Judith była zaskoczona własną zuchwałością. Rzadko spierała się z okrutną macochą.

- Bezwstydnico! - Pani Aveton uniosła głowę, a małe czarne oczy błysnęły groźnie. - Ostatnio zrobiłaś się harda. Poczekaj! Mąż wybije ci z głowy te fochy...

- Ugryzła się w język. - Chodzi mi o to, że wielbny Truscott wiele znaczy w

naszym kręgu, i jego żona musi cieszyć się nienaganną reputacją oraz unikać... ryzykownych znajomości.

- Wielebny jest zadowolony, że przyjaźnię się z Wentworthami. Sam powiedział, że w naszym domu będą zawsze mile widziani.

- To całkiem inna sytuacja. Wiele ryzykujesz, widując się z Ashburnem. Tobie wywietrzały już z głowy tamte głupstwa, które sześć lat temu omal nie przywiodły cię do zguby, ale co z nim? Jesteś teraz posażną panną. Wiele by zyskał, gdyby cię zdobył. Mów prawdę! Umizgał się do ciebie?

- Ależ skąd! - zawołała Judith i zacisnęła pięści. Miała wielką ochotę uderzyć swą dręczycielkę, lecz oparła się pokusie.

- Bez wątpienia spróbuje cię zbałamucić, więc do ślubu nie powinnaś się z nim widywać.

- Przynależam Wentworthom, że będę ich często odwiedzać - powiedziała oschle.

- Czy, twoim zdaniem, jestem tak źle wychowana, że zapomnę o nakazach przyzwoitości?

- Póki nie rozmówię się z panem Truscottem, będziesz siedziała w domu - oznajmiła pani Aveton i bez ceremonii odprawiła Judith, która natychmiast wróciła do swojego pokoju.

Była wściekła na macochę, niesprawiedliwie mierzącą innych swoją miarką. Do głowy jej nie przyszło, żeby oszukiwać i zwodzić wielebnego Truscotta. Była wobec niego lojalna. Dzięki małżeństwu miała się nareszcie wyrwać z tego okropnego domu. Obiecała sobie w duchu, że będzie oddaną żoną. Zamierzała wspierać go i pomagać mu w parafii, prowadzić dom i rodzić dzieci.

Ukryła twarz w dłoniach, bo wiedziała, że jej najskrytsze pragnienia nie zostaną nigdy zaspokojone.

Czemu Dan powrócił właśnie teraz? Gdyby zjawił się w Londynie za miesiąc, byłaby już stateczną małżonką duchownego i wcale nie myślałaby o ukochanym. Powinna o nim zapomnieć, wyrzucić z pamięci tamte cudowne chwile. Usiadła przy sekretarzyku, wysunęła środkową szufladę i przekręciła niewielką gałkę. W głębi była skrytka na ważne papiery. Judith wyjęła zapisane kartki i przejrzała je bez entuzjazmu, tu i ówdzie poprawiając słowo, fragment zdania lub znak przestankowy. Nie odkładając pióra, z ponurą miną przeczytała raz i drugi kilka ostatnich zdań, a potem wróciła do pisania powieści.

Gdy wielebny Truscott przyszedł z wizytą, pani Aveton bez wiedzy Judith zaprosiła go najpierw do salonu na poufną rozmowę.

- Mogę wiedzieć, co trapi łaskawą panią? - zagadnął przyjaźnie.

- Słusznie pan o to pyta. Wstyd przyznać, ale mam poważne obawy, że pańska narzeczona zachowuje się niewłaściwie.

- W jakim sensie, droga pani?

Pani Aveton pospiesznie wyjaśniła, czego się obawia. Na zakończenie dodała:

- Judith była zauroczona tym prostakiem, a on ją uwielbiał. Na skutek fatalnego zrzędzenia losu powrócił teraz do miasta. Odnowili znajomość, lękam się więc, czy moja pasierbica nie myśli o zerwaniu waszych zaręczyn.

Truscott z najwyższym trudem zdobył się na uśmiech. Wczoraj pił na umór w Seven Dials, więc teraz głowa mu pękała. Przez cały dzień folgował upodobaniu do rozpusty, lecz i tak nie zaspokoił wybujałego temperamentu. Mężczyzna od czasu do czasu musi sobie ulżyć. Męczyła go ta wymuszona stanowiskiem wstrzeźliwość, a przerwy między wizytami u młodej utrzymanki stawały się coraz krótsze.

Żałował wielce, że tak szybko musi opuścić swoje mieszkanie, ale tym razem miał na głowie sprawy ważniejsze od zaspokożenia cielesnych żądz. Wszystko poszło zgodnie z planem, choć początkowo bracia jego płatnej dziewczki mieli wątpliwości i niełatwo dali się przekonać.

- Może by nie mordować, panie? - spytał lękliwie młodszy. - Wystarczy stłuc ich do nieprzytomności, co?

- Nie. Trzeba ukatrupić. To zakończy sprawę. - Truscott dla zachęty wskazał leżące na stole złote monety.

- Będzie koniec, jak nam się noga powinie. Nie mam ochoty dyndać na stryczku.

- Starszy z braci pokręcił głową.

- Znajdźcie sposób - burknął kaznodzieja. - Najlepiej byłoby upozorować wypadek.

- I zabić troje ludzi?

- Jakich ludzi? To zgraja pijaków! Niech ich staranuje furgon. Mogą spaść z mostu i utonąć. Tak byłoby najlepiej.

- Co oni mają do ciebie, Josh?

- Dla ciebie jestem pan Ferris, chłopcze. Nic ci do tego, co nas poróżniło. Zawsze dobrze płacę, zgadza się?

- Jasne, panie Ferris, czy jak cię tam zwą. Ale to nie była mokra robota. Teraz należy się wyższa stawka. Za mało złota.

- Ma się rozumieć. Przyniosę więcej. -Ile?

Kwota wymieniona przez kaznodzieję sprawiła, że obu braciom oczy się zaświeciły. Chciwość przeważała skrupuły. Odprężony Truscott rozparł się na krześle i z uśmiechem czekał, aż zaczną rozmawiać o szczegółach. Czuł się bezpieczny. Zнали go pod fałszywym nazwiskiem. Dobrze zatarł wszelkie ślady. Podczas odwiedzin u pani Aveton, przybrał łagodny i dobrotliwy wyraz twarzy. Od pierwszej chwili doskonale się rozumieli, lecz nawet ona nie miała pojęcia, jak daleko gotów jest się posunąć, byle osiągnąć cel.

- Mam nadzieję, że łaskawa pani nie poróżniła się z tym słodkim dziewczęciem - strofował łagodnie macochę Judith. - Dla naszych planów byłoby fatalne w skutkach, gdyby panna się zbuntowała.

- Zrobi wszystko, co się jej każe - padła opryskliwa odpowiedź. - Jak się pan domyśla, siedzi teraz w swoim pokoju. Zabroniłam jej wychodzić.

- Istne szaleństwo! - rzucił ostrzej, niż zamierzał. - Łaskawa pani nie potrafi nią kierować.

- A pan nie będzie miał z tym problemów, tak? - prychnęła z niedowierzaniem pani Aveton.

- Chętnie spróbuję. Zechce pani po nią posłać? Przyglądał się pani domu, gdy sięgała po dzwonek. Gardził nią, ponieważ była głupia, ale miał też inne powody. Uśmiechnął się na myśl o ich umowie. Ta kretyńska naprawdę wierzyła w to, że podzieli się z nią majątkiem Judith. Czekają ją przykra niespodzianka. Gdy po ślubie upomni się o swój udział, nie dostanie ani pensa, choćby szalała ze złości. Nic na niego nie ma, a przecież do sądu nie pójdzie.

Gdy Judith weszła do salonu, zbliżył się do niej i wziął za rękę.

- Mam nadzieję, że zastałem cię w dobrym zdrowiu, najdroższa - zaczął przyciszonym głosem. - Czemu jesteś bez humoru? Nie uśmiechniesz się do mnie?

Judith obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

- Siądźmy tu razem - zaproponował. - Droga mateczka wspomniała, że bardzo ją niepokoi... twój stan ducha. Zapewniłem, że nie ma powodu do obaw.

- Bardzo dziękuję, wielbny ojczu - odparła pospiesznie Judith.

- Bardzo proszę, nie bądźmy tacy oficjalni. Pani Aveton zależy na naszym szczęściu, najdroższa. Uświadomiłem jej, że w każdej sytuacji zachowujesz się nienagannie. Zapewniłem ponadto, że jestem dla ciebie pełen uznania. Judith spojrziała na niego z wdzięcznością.

- Czy to oznacza, że mogę odwiedzać przyjaciół?

- Oczywiście. Nie chciałbym, żebyś uznała mnie za tyrana. Judith uśmiechnęła się, bo po raz pierwszy odniosła wrażenie, że zdoła polubić tego człowieka.

- Dzięki za tyle dobroci - szepnęła.

- Nie przesadzaj, moja droga. Kobieta mądra i uczciwa jest najlepszą strażniczką własnej reputacji. Instynktownie wyczuwa, jak należy postąpić. A teraz wybacź, najdroższa, ale muszę omówić z twoją mateczką kilka niezbyt interesujących spraw i nie chciałbym cię zanudzać. Proszę, zostaw nas samych. Dziś jestem bardzo zajęty, ale jutro złożę ci wizytę.

- Czekam niecierpliwie - zapewniła z uroczym uśmiechem i opuściła salon.

Wielbny Truscott znowu ułagodził macochę, rozładował atmosferę i zapobiegł przykrym scysjom. Judith westchnęła głęboko, zastanawiając się, czemu nie przepada za jego towarzystwem. Po namyśle uznała, że winę należy przypisać jej charakterowi.

-I cóż, łaskawa pani? - rzucił Truscott, zerkając na macochę narzeczonej. - Zadowolona?

- Chyba tak - przyznała z ociąganiem. - Sprytnie pan się z tym uporał. Muszę przyznać, że ta dziewczyna nieustannie wystawia moją cierpliwość na próbę. Mimo wszystko trzeba mieć na nią oko. Pan dał jej za dużo swobody. Obyśmy tego nie żałowali.

- Niedługo będzie cieszyć się wolnością - zapewnił. - Tymczasem będę zobowiązany, jeśli zechce pani unikać niepotrzebnych kłótni. Co się stanie, gdy Judith zrazi się do mnie? Obawiam się, że nie dostaniemy ani pensa.

- Moja pasierbica potrzebuje żelaznej dyscypliny.

- Ma pani rację, ale trzeba z tym poczekać. Teraz najwięcej zyskamy łagodnością. Znam się na krnąbrnych charakterach. Przymuszane zacinają się w uporze i trudno je złamać. Na tym etapie lepiej nieco pobłagać, odwołując się do honoru i poczucia obowiązku. Wtedy można być pewnym wygranej.

Pani Aveton miała złe przeczucia. Po raz pierwszy wydało jej się, że popełniła błąd, tworząc koalicję z wielbnym Truscottem. Był dla niej za sprytny. Musiała mu schlebiać, aby dotrzymał obietnicy. W skupieniu pokiwała głową.

- Mam nadzieję, że pańskie słowa się potwierdzą.

- Jestem tego pewny. - Z kpiącą miną skłonił się i wyszedł.

Zgodnie z obietnicą, pani Aveton posłuchała rady wielbego Truscotta. Gdy Judith oznajmiła, że po południu zamierza udać się z wizytą na Mount Street, obyło się bez protestów i zakazów, choć macocha przyglądała jej się podejrzliwie.

Nieufność była uzasadniona, bo Judith, która zwykle nie przywiązywała większej wagi do wyglądu, ubrała się tego dnia z wyjątkową starannością. Miała na sobie muślinową kreację ze ślubnej wyprawy, a na niej uszyte z niebieskiej wełny okrycie wierzchnie, zwane redingotem. Całości dopełniał kapelusz z tego samego materiału, ozdobiony szeroką lamówką z plisowanej wstążki. Błękit podkreślał subtelną urodę Judith.

Blask szarych oczu zdecydowanie nie spodobał się pani Aveton, która miała złe przeczucia. Judith nie była nigdy tak ożywiona i pełna zapału. Delikatne rumieńce na policzkach sprawiły, że wydawała się niemal piękna.

Powód tej metamorfozy był dla pani Aveton oczywisty. Truscott był przekonany, że mocno przywiązał do siebie narzeczoną, ale to pyszałek niezdolny uznać swojego błędu. Niech wie, do czego doprowadził. Pani Aveton natychmiast wysłała do niego bilecik, w którym dała wyraz swoim obawom. Judith cieszyła się miłą swobodą. Wzięła ze sobą ozdobny woreczek - największy, jaki miała. Leżały w nim starannie ułożone stronice kilku rozdziałów powieści. Obiecała Danowi, że da mu je do przeczytania. Ufała jego ocenie, bo potrafił wskazać wszystkie atuty tekstu i zganić taktownie każdą niedoskonałość.

Osobliwa łaskawość pani Aveton nie oznaczała, że pasierbica mogła skorzystać z powozu. Judith nie przejmowała się takimi drobiazgami. Dzień był pogodny. Czuło się wprawdzie lekki wiatr, ale tego popołudnia nawet ulewny deszcz nie zniechęciłby jej do odwiedzin. Pędziła chodnikiem, nieświadoma obecności innych przechodniów i głucha na paplaninę Bessie.

- Idę o zakład, że panienka nie słyszała ani słowa z tego, co nagadałam. Czemu tak biegniemy? Już brak mi tchu!

Judith zwolniła, ale było jasne, że pragnie jak najszybciej dotrzeć do domu przyjaciół, Bessie przestała więc gderać. Cieszyła się, że panienka jest w dobrym humorze. Przyjemnie było popatrzeć na jej rozpromienioną twarz.

Bessie wiedziała, co się święci. Powrót pana Ashburna mógł wiele zmienić. Gdyby dawny ukochany chciał odbić panienkę wielebnemu Truscottowi, miałby spore szanse. Bessie mu sprzyjała. Nie lubiła nadętego świętoszka. Na samą myśl o tym zachichotała z radości.

- Co chcesz? - zapytała Judith, słysząc śmiech.

- Nic, panienko. - Mądra pokojówka ani myślała rozmawiać z nią o swoich nadziejach. - Chyba za bardzo przytyłam, bo kiedy przyspieszam kroku, dostaję zadyszki.

- Wkrótce będziemy na miejscu.

Judith skrzyła w Mount Street i wbiegła po schodach pałacyku Wentworthów. Chwyliła kołatkę i wówczas opadły ją wątpliwości.

Czy zastanie Dana? Może wyszedł? Nie wspomniała, kiedy zamierza powtórnie odwiedzić przyjaciół. Kto by pomyślał, że tak szybko będzie mogła złożyć kolejną wizytę. Nagle drzwi się otworzyły i Dan podbiegł do niej z wyciągniętymi ramionami. Gdy podała mu obie ręce, chwycił je mocno. Nastąpiło serdeczne powitanie.

- Jaka miła niespodzianka! - zawołał Dan. - Od rana cię wypatruję. Truscott nadal w rozjazdach?

- Wrócił i podczas wizyty u nas oznajmił, że mogę bywać u przyjaciół, kiedy zechcę. Nie ma nic przeciwko temu.

- Miło z jego strony - odparł uszczypliwie Dan.

- A żebyś wiedział! Gdyby nie jego wstawiennictwo, macocha kazałaby mi siedzieć w domu. Wie, że wróciłeś.

- Może jednak nie powinnaś tu przychodzić? - rzekł urażony. - Moja prześladowczyni z pewnością trwa w nienawiści i z przyjemnością znów by mnie zaszczuła.

- Rozumiem twoje wątpliwości, Dan, spróbujmy jednak zapomnieć o dawnych cierpieniach - powiedziała Judith błagalnym tonem. - Przyniosłam rękopis. Miałam nadzieję, że zechcesz go przeczytać.

- Wybacz - odparł pospiesznie. - Zamiast się złościć na tę megierę, powinienem zainteresować się twoją powieścią. Chodźmy do biblioteki. Tam jest cisza i spokój.

Pomógł Judith usadowić się w fotelu i wręczył książkę czytaną przed jej nadejściem.

- Powiesz mi, co sądzisz o tym dziele. Mówiono mi, że Scott to w literaturze ostatni krzyk mody. Znasz jego poematy?

Judith pokręciła głową. Wyjęła z woreczka rękopis i wręczyła Danowi. Usiadł w fotelu naprzeciwko i czytał w skupieniu. Wkrótce lektura tak go zaabsorbowała, że zapomniał o całym świecie. Gdy Judith popatrzyła na złotorudą czuprynę pochyloną nad jej własnym dziełem, czułość wypełniła jej serce. Pragnęła zarzucić ukochanemu ręce na szyję i szeptać mu do ucha słowa miłości, które tak wiele znaczyły dla niej podczas długoletniej rozłąki.

Gorzko żałowała teraz, że postanowiła się z nim rozstać. Powinni razem stawić czoło burzy, która przetoczyła się nad ich głowami. Dan był na to gotowy. Judith stchórzyła. Wtedy wydawało jej się, że ustępuje, żeby bronić ukochanego przed niewybrednymi atakami macochy. Dziś widziała to inaczej. Jedynym usprawiedliwieniem był dla niej młody wiek oraz brak życiowego doświadczenia. Zachowała się głupio. Mimo wszelkich przeciwności powinna posłuchać rady Dana i ulec jego namowom, gdy błagał, żeby walczyli o swoje szczęście.

Życiowa sytuacja Judith znacznie się skomplikowała. Była zaręczona z innym mężczyzną, honor nie pozwalał więc Danowi na żadne poufałości. Szczęśliwym zrządzeniem losu jego uczucie już się wypaliło. Judith cieszyła się, że przynajmniej on podczas długiej podróży znalazł spokój i duchowe ukojenie. Życzyła mu szczęścia. Z poważnych i smutnych rozmyślań wyrwał ją głośny śmiech. Uniosła brwi i rzuciła mu pytające spojrzenie.

- Judith, twoja powieść jest znakomita. Wciągnęła mnie. Nie mogę się od niej oderwać. Nie straciłaś poczucia humoru. Znakomicie portretujesz rozmaite dziwactwa naszego świata.

- Nie jestem zbyt obcesowa?

- Rzetelnie podchodzisz do sprawy i to jest atut tego tekstu. Twoja spostrzegawczość poraża. Muszę się pilnować, bo przypniesz mi łątkę.

- Ciebie oszczędzę - zapewniła, wybuchając śmiechem. - Nie jest moim celem ośmieszanie przyjaciół.

- Wcale cię o to nie podejrzewam - zapewnił skwapliwie. - To nie jest powieść z kluczem, a postacie są autorską kreacją, a nie kopią rzeczywistości. Niesłychanie zabawne wydają mi się twoje uwagi na temat dziwactw życia codziennego wyższych sfer. Jesteś niebezpieczną kobietą, moja droga.

- Bardzo proszę, żebyś nikomu nie mówił o mojej powieści. To będzie nasz sekret.

- Zgadzam się na taki warunek. Dopóki nie skończysz, będę milczał. Obiecuj tylko, że szybko wydasz książkę.

- O nie! Wybuchłby skandal.

- Dlaczego? Mamy kilka uznanych pisarek. Przed stu laty Aphra Behn publikowała sztuki i powieści. A Fanny Burney?

- Madame d'Arblay? Nie mogę się z nią porównywać. Jej ojciec także pisał, miała w nim przyjaznego mentora. Nie zapominaj, że na początku wydawała swoje dzieła anonimowo.

- Zrób tak samo. Judith pokręciła głową.

- Pamiętaj, że mam wyjść za pastora. Nie wypada, by żona duchownego zajmowała się pisaniem powieści.

- Jestem tego świadomy - odparł cierpko. - Twój talent pisarski nie może się zmarnować. Sądzę, że to wystarczający powód do zerwania zaręczyn z tym człowiekiem.

- Dan, obiecałeś, że nie będziemy poruszać tego tematu. Oddaj mi rękopis. Piszę dla własnej przyjemności, ale rada jestem, że ta lektura wydała ci się zabawna.

- To za mało powiedziane! Mogę zatrzymać te kartki na parę dni? Muszę wiedzieć, co będzie dalej - przymilał się Dan, widząc na czole Judith pionową zmarszczkę, bo chciał, aby jak najszybciej zniknęła.

- Zgoda, lecz nie pokazuj ich nikomu. A teraz opowiedz mi o swoich projektach.

- Wciąż je udoskonalam - odparł z ponurą miną. - Czasami wątpię, czy kiedykolwiek jakaś ważna figura raczy je obejrzeć.

- Prędzej czy później znajdziesz możnego protektora. - Judith starała się pocieszyć Dana. - Nadal jesteś zdecydowany nie korzystać z rodzinnych koneksji?

- Sam się przebiję. Nie chcę jałmużny.

- Sądzę, że to niewłaściwe podejście do sprawy. Jeśli twoje pomysły są rozsądne, a dla mnie to pewnik, niewątpliwie znajdą zastosowanie. W przeciwnym razie nic z tego nie będzie, bo żaden wpływowi przyjaciel nie skłoni marynarki wojennej do budowy okrętów, które na morzu okażą się bezwartościowe.

- Problem w tym, że admiralicja nie kwapi się do budowania nowej floty, bo mamy pokój.

- Ale nie na długo. Sam mnie o tym uprzedziłeś. Ludzi, którzy jak ty nie dali się zwieść pozorom, zapewne jest więcej. Perry i Sebastian podzielają twoją opinię. - Judith zamilkła na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiała. - Jeśli nie uznasz, że wtrącam się w cudze sprawy, zaproponuję inne rozwiązanie.

- Gotów jestem spróbować wszystkiego.

- Spróbuj napisać do admirała Nelsona. Perry go zna i jest nim zafascynowany.

- Mam skorzystać z protekcji Perryego? Wykluczone - obruszył się Dan.

- Ależ skąd! Wątpię, żeby admirał pamiętał młodego porucznika, który służył kiedyś pod jego rozkazami. Po co w ogóle wspominać o Perrym? Wyślij swoje rysunki. Nelson sam je oceni.

Pełne czułości i podziwu spojrzenie Dana sprawiło, że Judith zrobiło się ciepło na sercu.

- Jak zwykle troszczysz się o innych, zaniedbując własne sprawy - powiedział cicho. - Kiedy wpadłaś na ten pomysł?

- Dopiero co przyszedł mi do głowy - odparła pośpiesznie. Nie powinien wiedzieć, że odkąd wrócił do Londynu, stale jest obecny w jej myślach.

Dan zerwał się z fotela i wyciągnął do niej rękę, pomagając wstać.

- Jesteś taka mądra - powiedział tkliwie. - Dlaczego sam na to nie wpadłem?

- Zastosujesz się do mojej rady? - spytała zduszonym głosem. Dan znalazł się nagle tuż obok. O wiele za blisko. Wciąż pamiętała czułe dotknięcia jego rąk. Żyłka na szyi pulsowała mu rytmicznie jak przed laty. Oszołomiona zachwiała się na nogach, objął więc ramieniem szczupłą talię.

- Judith?



Nim wypowiedział słowa, które cisnęły mu się na usta, w szeroko otwartych drzwiach biblioteki stanęła Elizabeth. Podbiegła bliżej, udając, że nie zdziwiła się, widząc przyjaciółkę w objęciach Dana.

- Jesteś, kochanie! - zawołała. - Co za radość! Nawet nie marzyliśmy, że tak szybko uda ci się wyrwać z domu.

Zakłopotana Judith splonęła rumieńcem, lecz Elizabeth nie zwróciła na to uwagi.

- Siedzimy w salonie. Przyłączysz się do nas? - zachęciła. - Właśnie wróciliśmy z przejażdżki po parku. Na szczęście Prudence dobrze się dziś czuje. Ucieszy się z twoich odwiedzin.

Dan i Judith poszli za nią bez słowa. Wspomnienie niedawnej kontuzji szybko zbladło, a serce Judith przepełniło się radością. Wystarczyło spojrzeć na rozpromienioną Prudence, aby utwierdzić się w przekonaniu, że samopoczucie jej dopisuje.

- Słucham dobrych rad i oto skutki - odparła ironicznie.

Dzięki Sebastianowi i doktorowi Wiltonowi żyję jak w puchu. Nawiasem mówiąc, wyglądasz kwitnąco, moja droga. Do twarzy ci w tym odcieniu błękitu. Judith, uradowana komplementem, zarumieniła się uroczo. Pokraśniała jeszcze bardziej, gdy złowiła spojrzenie wpatrzonego w nią Dana. Nie krył zachwyty i najwyraźniej zgadzał się z przybraną matką.

Zapadła kłopotliwa cisza. Przerwała ją Elizabeth, pociągając energicznie za taśmę dzwonka.

- Judith, musisz zobaczyć swoją chrzestną córkę. Nasza Kate nauczyła się wierszyka.

- Kolejny popis? Litości! - Perry jęknął z udawaną rozpaczą. - Judith, może zadowolisz się moją wersją? Znam ten wierszyk na pamięć.

- Bzdury mówisz, kochanie. - Elizabeth uśmiechnęła się do męża. - Nie daj się nabrać, moja droga. Perry wprost puchnie z dumy, bo ma taką mądrą córeczkę.

- Córeczki. Nie zapominaj o malutkiej Caroline. Jej gaworzenie zawiera ukryty sens.

- Oczywiście. Wczoraj powiedziała głośno: tata.

- Wkrótce my również będziemy mogli się tak puszyć - żartował Sebastian, zerkając na Prudence.

- Najwyższy czas - odparła wesoło. - Ci dwoje przesadzają. Trzeba im utrzyć nosa.

Elizabeth, wpatrzona w córeczkę stojącą na dywanie przed kominkiem i szykującą się do występu, nie zwracała uwagi na te przymówki.

Zgromadzone w salonie towarzystwo nagrodziło młodzieńką recytatorkę gromkimi oklaskami. Judith rozłożyła ramiona, a Kate natychmiast się w nie rzuciła.

- Śliczny wierszyk. Znasz ich więcej? - zapytała.

- Nie zachęcaj jej do popisów. Kate uwielbia być w centrum uwagi. Najchętniej opowiada dowcipy - wyjął Perry. - Znam mnóstwo kawałów z brodą, ale ona ma w repertuarze same starocia, a ja muszę tego słuchać.

- Dobrze ci tak! - wtrąciła rezolutnie Elizabeth. - Zapomniałeś, kto ją nauczył tych żarcików?

Wszyscy zareagowali wybuchem śmiechu.

- Sam jesteś sobie winien, braciszku. Jak to mówią, zadałeś sobie cios własną pięścią - Sebastian drwił bez litości. -Wszystko się wydało.

- Jestem niewinny - bronił się Perry. Usiadł na dywanie i wyciągnął rękę do Kate.

- Chodź, córeńko. Zagramy w bierki. Ciocia Judith też je lubi.

- Ale dziś jest zbyt elegancka, żeby siedzieć na dywanie. Szkoda sukni. -

Protestowała słabo Prudence. - Judith, nie słuchaj Perryego.

- Chętnie zagram - odparła. - Jestem gotowa, ale potrzebujemy czwartego gracza.

Dan natychmiast się do nich przyłączył. Usiadł na dywanie obok Judith.

- Uważajcie! Jestem dziś w znakomitej formie. Zagarnę wszystkie bierki  
Zabawa trwała w najlepsze, a całe towarzystwo śmiało się do rozpuku, gdy w otwartych drzwiach stanął lokaj i głośno zaanonsował przybycie gościa.

- Wielebny Charles Truscott. W salonie zrobiło się cicho.

## Rozdział piąty

Judith podniosła się natychmiast, rozrzucając bierki na wszystkie strony. Obok niej stanął rosły i barczysty Dan. Gość z wyszukaną uprzejmością skłonił się najpierw Prudence, a następnie Elizabeth. Do Judith uśmiechnął się pobłażliwie niczym dobrotliwy wujaszek.

- Milordzie, proszę wybaczyć, że przerywam tę uroczą rodzinną sielankę.

Przybyłem, żeby odwieźć Judith do domu.

- Sądziłam, że... jesteś dzisiaj bardzo zajęty - wymamrotała zbita z tropu.

- Mimo nawału pracy dla ciebie zawsze znajdę czas, najdroższa. Dan przestąpił z nogi na nogę. Judith odruchowo się do niego przysunęła.

Sebastian wstał, żeby przywitać wielebnego.

- Zapraszamy - powiedział uprzejmie. - Od dawna chcieliśmy pana bliżej poznać.

Lady Wentworth oraz żonę mego brata widuje pan w kościele, prawda?

Kaznodzieja potwierdził, kłaniając się raz jeszcze.

- To jest Peregrine we własnej osobie, a to Daniel Ashburn, mój przybrany syn.

- Kim jest ta śliczna panienska? - Truscott popatrzył z czułością na małą Kate, która natychmiast schowała się za maminią spódnicę. - To moja bratanica. Przy obcych staje się nieufna. Jakby na potwierdzenie tych słów, Kate pisała z obawą:

- Nie lubię tego pana. Wygląda jak czarny wielkolud. Perry parsknął śmiechem, niezdarnie usiłując pokryć to atakiem kaszlu. Elizabeth stanęła na wysokości zadania.

- Proszę się na nią nie gniewać. To jeszcze dziecko - powiedziała, lecz harde spojrzenie dowodziło, że nie dba o zdanie kaznodziei.

- Proszę darować sobie przeprosiny, łaskawa pani. Z ust dzieci zawsze słyszymy prawdę o tym padole i jego mieszkańcach. Temu maleństwu ciemne odzienie duchownego może się wydawać przerażające.

Elizabeth odpowiedziała zdawkowym uśmiechem. Nie zwiodła jej łagodna odpowiedź Truscotta. Było dla niej oczywiste, że gdyby mógł decydować, spuściłby Kate porządne lanie. Pociągnęła za taśmę dzwonka, żeby przywołać niańkę.

- Co za wyrozumiałość! - wtrącił nonszalancko Sebastian. - Zechce pan usiąść? Proszę się czegoś napić. Mogę zaproponować kieliszek wina? - zapytał z obojętnym wyrazem twarzy.

Kaznodzieja już miał się obruszyć, twierdząc, że człowiekowi jego stanu nie przystoi kalać ust trunkami, lecz po minie rozmówcy poznał, że ci ludzie próbują zastawić na niego pułapkę. Pomyślał chętnie, że łatwo im to nie przyjdzie

- Dzięki, milordzie. Chętnie wypiję kieliszek wina. Judith i ja nie zabawimy długo, bo nie śmiemy nadużywać gościnności łaskawych państwa.

Te słowa były swoistą próbą sił i przyniosły spodziewany efekt. Perry energicznie podniósł się z fotela.

- Co też pan wygaduje, drogi pastorze? - obruszył się jowialnie. - Skoro już pan się tu zjawił, łatwo pan się nie wymknie.

Umilkł, gdy brat spiorunował go wzrokiem. Truscott sprawiał wrażenie, jakby nie dopatrzył się w tym zdaniu niczego podejrzanego. Przyjrzał się wysoko urodzonym domownikom. Szybka ocena sytuacji była jego najcenniejszą umiejętnością. Dzięki temu wyszedł cało z wielu opresji. Zastanawiał się, czy ci ludzie domyślają się, jak bardzo gardzi nimi, jak mocno nienawidzi wyższych sfer. Zazdrościł im odziedziczonej po przodkach niezłomnej pewności siebie oraz przekonania, że mają prawo robić, co im się żywnie podoba.

Przyglądał się braciom Wentworthom, podziwiając nienaganne stroje i modne fryzury. Swobodne zachowanie świadczyło, że nie przejmują się otaczającym ich przepychem. Nic dziwnego, skoro mieli go na co dzień.

Truscotta poraziła wytworność salonu. Po raz pierwszy w życiu dane mu było oglądać tak piękne wnętrza. Podziwiał znakomite obrazy, pastelowe barwy ścian i eleganckie umeblowanie. Mieszkanko w Seven Dials, z którego był taki dumny, nagle wydało mu się tandetne i mało gustowne. Obiecał sobie w duchu, że gdy zyska kontrolę nad majątkiem Judith, otoczy się luksusem i sprostą wymogom elegancji.

Usiadł wygodnie na kanapie, jakby czuł się w tym otoczeniu całkiem swobodnie, i sączył wino, które pochodziło zapewne z doskonałego rocznika.

- Od dawna pragnęliśmy poznać pana bliżej - oznajmił uprzejmie Sebastian, sadowiac się obok niego. - Cieszy się pan ogólnym uznaniem. Pojawił się pan na nieboskłonach Londynu niczym kometa o wyjątkowym blasku.

- I od razu wielki sukces - wtrącił Perry. - Można by oczekiwać, że człowieka tak uzdolnionego poprzedzi sława wcześniejszych dokonań, a tymczasem dopiero rok temu zrobiło się o panu głośno.

Truscott podziękował, kłaniając się lekko, choć w głębi ducha szydził ze swoich rozmówców. Tak wyobrażają sobie zawilą intrygę? Nie mieli pojęcia, że usiłują przechytrzyć mistrza wśród oszustów.

- Do niedawna przebywałem wśród pogan jako misjonarz - odparł. - Niestety, jestem słabego zdrowia i dlatego musiałem wrócić do Anglii.

- Jakie to ciekawe! Proszę nam opowiedzieć o swoich podróżach! - zwołała Prudence.

Musiała skłonić nieproszonego gościa do mówienia, żeby zyskać na czasie. Od razu spostrzegła, że Judith jest zbita z tropu. Niespodziewane odwiedziny pastora najwyraźniej niemile ją zaskoczyły. Biedactwo! Z trudem wracała do równowagi, bo zdawała sobie sprawę, że cała rodzina ma o nim wyrobione zdanie.

Truscott był dobrze przygotowany do odegrania roli byłego misjonarza.

Obdarzony talentem oratorskim i odczytany w literaturze podróżniczej, zawczasu przygotował sobie długą opowieść na temat zwyczajów i codziennego życia odległych krain, cyzelując starannie każdy szczegół.

Elizabeth z podziwem wsłuchiwała się w jego monolog. Nie wierzyła w ani jedno słowo tego pyszałka, ale zachowała dla siebie tę opinię.

Dan miał podobne odczucia. Czując na sobie błagalne spojrzenie Judith, przy powitaniu uprzejmie skłonił się Truscottowi, lecz tak samo jak ona nie brał udziału w ogólnej rozmowie.

Kaznodzieja spojrzął przelotnie na narzeczoną, obdarzył ją czułym uśmiechem i przeniósł wzrok na lady Wentworth. Unikał wzroku mężczyzny stojącego obok Judith. Nie potrzebował mu się przyglądać. Od razu zapamiętał charakterystyczną twarz i postać. Szydził w duchu z obojga. Wcale się nie dziwił, że głupia gąska oddała serce takiej miernocie. Nie miał wątpliwości, że kocha się w rudzielcu. Poznał to w chwili, gdy ujrzał ją siedzącą na dywanie. Radość rozświetlała bladą twarzyczkę. Żadna radosna zabawa nie zmieniłaby kobiety do tego stopnia.

Ukochany Judith wydał się kaznodziei gburem i tępakiem. Od godziny nie powiedział ani słowa. Był dość przystojny, czerstwy, prostolinijny, ale ruda czupryna sprawiała, że wyglądał pospolicie. Pani Aveton miała rację, podejrzewając, że tamci dwoje widują się u Wentworthów. Po otrzymaniu bileciku Truscott postanowił osobiście sprawdzić, jak się rzeczy mają. Dlatego pojechał na Mount Street.

Przyszło mu na myśl, że Judith i Daniel Ashburn stanowią dobraną parę. Obojgu brakowało charakteru i stanowczości. Poczucie winy, malujące się na twarzy Judith, potwierdzało domysły jej macochy. Można by podejrzewać, że panna spędziła popołudnie w ramionach kochanka.

Po chwili zastanowienia Truscott doszedł do wniosku, że to mało prawdopodobne. Judith była prawdziwą damą, nie pozwoliłaby sobie na poufałości. Wątpliwe, żeby odkryła zmysłową stronę własnej natury. Kaznodzieją stale targają wodzące na pokuszenie, wielkie namiętności, ale jego narzeczona była zimna jak lód. Obiecywał sobie, że ją rozgrzeje. Rozmarzony zapomniał się na moment, a jego twarz przybrała lubieżny wyraz. Poczul na sobie badawcze spojrzenie Dana. Podniósł wzrok, spojrzal prosto w błękitne oczy i nieco się zmieszał. Od razu wstał i skłonił przed Sebastianem.

- Wybaczcie państwo, ale chciałbym odwieźć Judith do jej mateczki, która zapewne spragniona jest miłego towarzystwa i z niecierpliwością wypatruje swego dziewczęcia. - Na odchodnym posłał zatrutą strzałę. - Sami państwo rozumieją, że przygotowania do ślubu to poważna sprawa. - Nie uszło jego uwagi, że Dan skulił się, jakby został uderzony.

Wentworthowie użyczyli gościom jednego ze swoich powozów. Truscott pomógł Judith wsiąść i gestem pożegnał pana domu.

- Ileż taktu! Jaka uprzejmość! - rzekł półgłosem, gdy jechali ulicami Londynu. - Muszę przyznać, najdroższa, że od dawna nie spędziłem równie miłego popołudnia. Twoi przyjaciele są czarujący.

- Mam nadzieję, że nie poczuł się pan dotknięty słowami mojej chrześnicy...

- Mówisz o małej Kate? Ależ skąd! Muszę jednak przyznać, że jestem nieco zdziwiony nadmiarem swobody, którą rodzice dają tak drobnej dziecinie. Od razu spostrzegł, że Judith marszczy brwi.

- Pastorze, to przecież małe dziecko.

- Owszem, moja droga, ale jestem zdania, że o tej porze maleństwa nie powinny już przebywać w towarzystwie dorosłych. To są nowomodne pomysły wychowawcze. Czyżbyś stała się ich zwolenniczką?

- Perry i Elizabeth kochają swoje dzieci. Prudence i Sebastian również...

- Oczywiście, moja droga. Ja tego nie kwestionuję. Zwykle jednak potomstwo o stałej porze dnia oddawane jest pod opiekę bony, która ma obowiązek skarcić je za psoty i nieposłuszeństwo. Zwykle stosuje się w tym celu kary cielesne. Judith milczała, ale w środku wszystko się w niej burzyło na samą myśl o takich metodach wychowawczych.

Truscott wyczuł natychmiast, że posunął się za daleko. Zwykle pozował na uosobienie łagodności, a teraz zdradził, że woli rządzić żelazną ręką. Dodał pospiesznie, aby zatrzeć złe wrażenie:

- Na szczęście dawne metody zostały już zarzucone. Trzeba iść z duchem czasu. Nie powiem złego słowa na sposób wychowania stosowany przez twoich przyjaciół. Jaka to szczęśliwa rodzina!

Wentworthowie zgromadzeni w salonie pałacyku przy Mount Street mieli ponure miny.

- Paskudne indywiduum! - emocjonował się Perry. - Jest gorszy, niż sądziłem. Chyba przyznasz mi rację, Sebastianie.

- Rozmowa z nim wydała mi się interesująca - odparł z namysłem Sebastian.

- Chyba mu nie wierzysz! - gorączkowała się bliska wybuchu Elizabeth.

- Powiedziałem tylko, że to było ciekawe doświadczenie. Nie twierdzę, że ten człowiek wydał mi się wiarygodny. Dobrze znam większość jego opowieści. Cytował je słowo w słowo z przewodników, które czytałem.

- To szubrawiec! - wtrącił z oburzeniem Dan. - Na miłość boską! Widzieliście, jak patrzył na Judith?

- Owszem. To potwierdza moje przekonanie, że trzeba zachować ostrożność. - Sebastian zerknął na żonę. - Najdroższa, powinnaś odpocząć, nim siądziemy do kolacji. Potem czeka nas cichy, spokojny wieczór we dwoje.

- Nie jesteś rozżalona, Prudence? - spytała z niepokojem Elizabeth. - Mamy tyle rozrywek, a ty ciągle przesiadujesz w domu. Nie żal ci dzisiejszego balu?

- Szczerze mówiąc, cieszę się, że mogę tu zostać. W moim stanie rządowy bankiet i tańce to żadna atrakcja. - Prudence wyciągnęła rękę do męża, który czule ucałował jej dłoń.

Elizabeth z roztargnieniem pokiwała głową. Myślami była już gdzie indziej. W jej głowie formował się pewien plan.

Później tego wieczoru po kilku tańcach zostawiła Perryego w kręgu znajomych i poszła szukać jego brata, wyniosłego hrabiego Brandona. Powitał ją nadzwyczaj serdecznie. Był to przywilej zarezerwowany wyłącznie dla Elizabeth. Zajmowała w jego sercu szczególne miejsce. Tak było od czasu, gdy rodzina omal jej nie straciła.

- Co tam, koteczko? - zapytał pieszczotliwie. - Znowu wyładniałaś! Myślałem, że pod tym względem niczym mnie już nie zaskoczysz, a tu proszę! Z dnia na dzień stajesz się piękniejsza.

Elizabeth puściła mimo uszu miłe komplementy. Nie była próżna, a oszalamiającą urodę uważała za przypadkowy dar losu i mało przejmowała się swoim wyglądem.

- Chcę porozmawiać na osobności. Poświęcisz mi kilka chwil? - zapytała przyciszonym głosem.

- Oczywiście, moja droga. - Zaprowadził ją do małego przedpokoju. - W czym mogę ci pomóc?

- Nie chodzi o mnie - wyjaśniła pospiesznie. - Przypominasz sobie Judith Aveton?

- Naturalnie. Spokojna dziewczyna o pięknym głosie. W niczym nie przypomina swojej macochy, która stale przesiaduje u mnie w domu - odrzekł Frederick.

- To prawda. Obawiamy się, mój drogi, że ta miła dziewczyna ma poważne kłopoty. Słyszałeś o jej zaręczynach?

- Wspomniano mi o tym. Czemu tak się nimi przejmujesz?

- Chodzi o jej narzeczonego, Charlesa Truscotta, który podaje się za pastora.

- Ten kaznodzieja? Wszyscy dobrze o nim mówią. Nic na niego nie mam.

- Wcale się temu nie dziwię - odparła z goryczą. - To wyjątkowy spryciarz. Moim zdaniem, diabeł wcielony!

- Używasz mocnych słów, droga Elizabeth. Masz dowody, że postępuje niegodnie?

Zawahalała się. Hrabia zawsze był jej życzliwy. Musiała mu teraz zaufać.

- Nie mogę zdradzić się przed Perrym, ale ten lubieżny nikczemnik próbował mnie uwieść - wyznała przyciszonym głosem.

Hrabia zmienił się na twarzy.

- Przecież to duchowny! - odparł z niedowierzaniem.

- W głowie się nie mieści, prawda? Jeśli uważasz, że przesadzam, musisz porozmawiać z Prudence. Przyłapała go w kościele, jak napastował młodą parafiankę.

- Mam do ciebie pełne zaufanie. - Frederick położył dłoń na jej ramieniu. - Rozmawiałaś z Judith?

- Same ogólności. Jest świadoma, że nie pochwalamy jej wyboru, ale nie zerwała z tym człowiekiem. Trudno się dziwić. Zamążpójście to dla niej jedyny sposób, żeby wyrwać się z domu. Pani Aveton zatruwa jej życie.

- Najgorszemu wrogowi nie życzyłbym takiej egzystencji, jaką wiecie biedna Judith pod nadzorem macochy. A może dziewczyna ma rację? Mężczyznami targają gwałtowne namiętności. Małżeństwo zapewne pomoże Truscottowi je utemperować.

Frederick był światowym mężczyzną. Zdawał sobie sprawę, że mówca, wygłaszający płomienne oracje, często budzi w kobiecych sercach namiętne pragnienia. Charles Truscott niewątpliwie posunął się za daleko w uwielbieniu dla dam. Zapewne jedynie prawil im ryzykowne komplementy i ścisnął piękne rączki dłużej, niż wypadało.

- Zawiodłam się na tobie - skarciła ostro Fredericka bratowa. - Powinieneś wiedzieć, że Truscott nie ograniczył się do prawienia dwuznacznych grzeczności. On mi się narzucał. Perry zabiłby go, gdyby o tym wiedział.

- Któż ma być obiektem takiej pomsty, moja ukochana? - zapytał Perry, zbliżając się do nich. - Mogę zapytać, co tu knujecie?

Skonfundowana Elizabeth zarumieniła się, niepewna, ile usłyszała z ich rozmowy. Perry nie należał do mężczyzn o łagodnym charakterze, nie puściłby więc płazem żadnej zniewagi uczynionej małżonce.

- Znasz Charlesa Truscotta? O nim rozmawialiśmy - odparł spokojnie Frederick.

- Usłyszałem od Elizabeth, że za nim nie przepada.

- Mnie również nie przypadł do gustu ten człowiek. Co o nim wiesz?

- Tyle co inni. Podejrzany osobnik. Nie wiadomo, skąd pochodzi i jak wypłynął na szersze wody. Zyskał sobie dużą popularność.

- I to niemal z dnia na dzień! - Rozemocjonowany Perry podszedł bliżej i przydepnął tren sukni swej połowicy. Gdy szew pękł z trzaskiem, spojrzął na żonę z przerażeniem i ze skruchą. - Niech to diabli! Zniszczyłem ci kreację.

Wybacz, najdroższa. Czy to się da naprawić? Straszny ze mnie niezdara!

Elizabeth udała, że piorunuje go wzrokiem, uśmiechnęła się ponuro, zebrała spódnicę i poszła szukać służącej.

- Rzeczywiście niezdara z ciebie. Nie jestem pewny, czy twoja żona da się nabrać na takie sztuczki.

- Zazwyczaj daremnie próbuję ją przechytryć.

- Domyślam się, że chciałeś rozmówić się ze mną bez świadków i szukałeś sposobu, żeby pozbyć się stąd naszej kochanej Elizabeth. Powiedz, co ci leży na sercu.

- Chodzi o Truscotta. Wierz mi, drogi bracie, ten człowiek ukrywa mroczne tajemnice. Sebastian kazał go śledzić. Ten kaznodzieja ma zwyczaj chodzić do slumsów i pomieszkiwać w Seven Dials. Na razie nie wspominaliśmy o tym Prudence i Elizabeth.

- Słuszna decyzja. Znając twoją żonę, wcale bym się nie zdziwił, gdyby zaczęła go szpiegować na własną rękę. Nie można jednak wykluczyć, że Truscott chodzi tam, żeby pomagać ubogim.

- Tak sądzisz? A zatem mało o nim wiesz - odparł Perry i sposepniał. - W tym przypadku ufam ocenie Elizabeth.

- Bardzo słusznie! - Hrabia uśmiechnął się kpiąco do młodszego brata. - Pod tym względem nie ma sobie równych, natomiast twoje wyczucie bywa zawodne. Perry nie zwracał uwagi na te przytyki.

- Możesz to nazwać kobiecą intuicją, ale nasze panie obruszyły się na pierwszą wzmiankę o zaręczynach Truscotta z Judith. Wiesz, że ci dwoje wkrótce mają się pobrać? Uważaliśmy. .. a właściwie Sebastian uznał początkowo, że Elizabeth i Prudence są do niego uprzedzone, ale teraz i on jest poważnie zaniepokojony.

- Uznaliście zatem, że macie prawo wtrącać się w cudze sprawy - rzekł z przekąsem hrabia Brandon, przyglądając się swoim paznokciom.

- Znasz Sebastiana. On nie ma zwyczaju walczyć z wiatrakami.

- W przeciwieństwie do ciebie, prawda? - zakpił Frederick - Co, twoim zdaniem, powinienem zrobić?

- Masz dostęp do źródeł nieosiągalnych dla mnie i dla Sebastiana. Mógłbyś przeprowadzić mały rekonesans, dotyczący Truscotta? Rzecz jasna, dyskretnie.

- Zgoda. Tyle mogę ci obiecać - zapewnił. W sferach rządowych jego dyskrecja była przysłowiowa.

- Dzięki. Wiem, że można na ciebie liczyć - odparł szczerze Perry. - Proszę o pomoc, bo Judith jest z nami bardzo zaprzyjaźniona. Nie możemy pozwolić, żeby poświęciła siebie w imię opacznie pojętego obowiązku.

- O nieba! Co za górnołotny ton! Czy młoda dama jest zadowolona z dokonanego wyboru?

- Nie narzeka, ale ją łatwo omamić. Ten sprytny łotr wszystkich oszukuje.

- Najwyraźniej uważasz to za pewnik. Ale zgoda. Sprawdzę, co da się zrobić. Miejmy nadzieję, że błędnie oceniłeś sytuację. Zdaj się na mnie, Perry. A teraz wybacz. Muszę wrócić do gości.

Perry nie był zadowolony z wyniku rozmowy, choć złożona przez brata obietnica przeprowadzenia dyskretnego śledztwa bardzo go ucieszyła.

Postanowił na koniec dorzucić najmocniejszy argument.



- Wizyty Truscotta w Seven Dials nie mają nic wspólnego z dobroczynnością - wyjawiał. - Spędza tam noce.

Hrabia kpiąco uniósł brwi.

- Trudno, żeby znany kaznodzieja odwiedzał w wiadomym celu panie z towarzystwa.

Odszedł, a Perry poczuł się jak skarcony uczeń. Najstarszy brat miał rację.

Całkiem prawdopodobne, że Truscott chodził do slumsów, aby zaspokoić pożądanie. W przypadku duchownego takie postępowanie było naganne, ale zrozumiałe. Perry też miał utrzymanki, ale to było przed ślubem. Od tamtego dnia zapomniał o zdrożnych pokusach. W porównaniu z prześliczną Elizabeth inne kobiety wydawały mu się bezbarwne.

Jego piękna żona właśnie stanęła w drzwiach poczekalni i uśmiechnęła się promiennie. - Warto było poświęcić moją suknię? - zapytała sarkastycznie.

- Jest nie do naprawienia? Przykro mi, najdroższa...

- Z powodu podartej spódnicy czy próby oszustwa? Roześmiał się i podał jej ramię.

- Daremnie próbuję cię przechytryć. Chyba nigdy mi się to nie uda.

- Owszem. Szczerze wątpię. Zamiast szukać wykrętów, powinieneś wprost poprosić, żebym wyszła, bo chcesz porozmawiać z bratem na osobności.

- I posłuchałabyś?

- Niechętnie - odparła z promiennym uśmiechem. - Muszę znać twoje sekrety.

- O czym ty mówisz, najdroższa?

- Doskonale wiesz, co mam na myśli, najdroższy. Co najmniej dwa dni temu otrzymałeś ważne nowiny. Moim zdaniem, czas się nimi podzielić.

- Zaufaj mi. Wkrótce dowiesz się wszystkiego.

Przeszli do sali balowej, aby zatańczyć kadryla. Podczas skomplikowanych figur Elizabeth czuła na sobie badawcze spojrzenie. Amelia, żona hrabiego Brandona obserwowała ją uważnie, siedząc obok pani Aveton.

Elizabeth daremnie szukała wzrokiem Judith. Po zakończeniu kadryla pociągnęła męża w stronę dwu wścibskich i rozplotkowanych dam. Zdziwił się niepomiernie, ponieważ do tej pory nigdy dobrowolnie nie szukała ich towarzystwa. Rozmawiała z ożywieniem, zapewne o idącej ku nim parze.

Gdy Elizabeth dygnęła wdzięcznie, Perry zaczął się zastanawiać, co knuje jego śliczna żona. Zazwyczaj przypuszczała frontalny atak na swych nieprzyjaciół, tym razem jednak uśmiechnęła się uroczo do pani Aveton, wprawiając Perryego w osłupienie.

- A gdzie Judith? Czyżby odmówiła nam dzisiaj przyjemności swego towarzystwa? - zagadnęła przyjaźnie.

- Przecież była dziś u państwa z wizytą. Nie wyjaśniła powodów wieczornej nieobecności? Od rana czuła się nie najlepiej.

- Odnieśliśmy przeciwne wrażenie. Naszym zdaniem, od miesięcy nie wyglądała równie kwitnąco.

- Zapewne. Rychły ślub jest dla niej źródłem nieustannej radości. Nie powinna jednak nadwerężyć sił, składając zbyt wiele wizyt, w moim odczuciu, najzupełniej zbędnych. Dziś wieczorem dostała migreny...

Elizabeth wyraziła szczere współczucie, ale pani Aveton nie zwróciła uwagi na jej słowa i powiedziała do hrabiny.

- W sumie dobrze się stało, ponieważ Judith i tak będzie musiała wycofać się ze światowego życia. Pastorowej nie wypada bywać tyle co pannie na wydaniu. Po ślubie jej egzystencja bardzo się zmieni.

Perry natychmiast pożegnał się, ciągnąc za sobą żonę. Miał poważne obawy, że ta lada chwila zruga bez pardonu panią Aveton.

- Poszukajmy Dana - zaproponował, gdy niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Zgodnie z jego obawami, Dan był w ponurym nastroju.

- Miałem nadzieję, że spotkam tu dziś Judith, ale zawiodłem się w swych rachubach - powiedział. - Czy ta wstrętna macocha kazała jej zostać w domu?

- Ależ skąd! Judith ma migrenę. Oto prozaiczna przyczyna nieobecności.

- Bardzo cierpi? - wypytywał zaniepokojony Dan. - Ma gorączkę? Jest pod dobrą opieką?

- Na miłość boską, nie przesadzaj! To chwilowa niedyspozycja. Widziałeś dzisiaj Judith. Wyglądała ślicznie i zdrowo. - Owszem, do chwili, gdy pojawił się ten okropny Truscott. Na jego widok natychmiast posmutniała. - Twarz Dana zamurzyła się, a oczy patrzyły gniewnie.

- Moim zdaniem, była tylko zaskoczona i nieco zakłopotana, bo nie spodziewała się go dziś ujrzeć. Truscott okazuje jej wiele życzliwości. Myślę, że nadal będzie taki troskliwy - sprzeciwił się Perry, a jego słowa nie były dla Dana żadnym pocieszeniem. Zmarkotniał i przez cały wieczór rozmyślał o utraconej miłości. Judith była znużona i głęboko nieszczęśliwa. Uważała, że odwiedziny wielbego Truscotta na Mount Street wcale nie były tak udane, jak mu się wydawało.

Miała zdolność bezbłędnego wyczuwania nastrojów, więc od razu zorientowała się, że atmosfera w domu przyjaciół zmieniła się dramatycznie, gdy wielbny przekroczył próg, chociaż domownicy starali się zachować pozory życzliwości. Judith odżyła podczas zabawy, a wśród wesołych okrzyków zapomniała o troskach i dylematach.

Kolejna godzina wizyty była dla niej istną udręką. Judith siedziała jak na szpilkach z obawy, że porywczą Elizabeth bez ogródek wygarnie narzeczonemu przyjacielowi, co o nim sądzi. Dan, który uparcie stał przy Judith, nie próbował ukryć wrogości. Gdyby nie wcześniejsza obietnica, zapewne nie obyłyby się bez kąśliwych uwag z jego strony.

Wentworthowie byli zakłopotani niespodziewanym wtargnięciem Truscotta. Judith uznała, że nie może narażać ich na podobne towarzyskie uciążliwości. Najlepszym sposobem, żeby ich na przyszłość uniknąć, było powstrzymanie się od wizyt na Mount Street. Judith chodziła tam wyłącznie dla przyjemności.

Teraz będzie musiała obyć się bez ulubionej rozrywki. I bardzo dobrze, skoro obecność Dana oznaczała dla niej katusze.

Przyjmując oświadczenia Charlesa Truscotta, przesądziła o swoim dalszym życiu i była przekonana, że to właściwa decyzja. Teraz wstydziła się, że tak chętnie bywa na Mount Street. Igrała z ogniem. Może prowadziła podwójną grę? Czy zwodziła Charlesa? Szczerze mówiąc, nie zasłużył na takie traktowanie.

Postanowiła solennie, że następnego dnia odwiedzi go w parafii i poprosi o wyznaczenie pożytecznej i absorbującej pracy.

Mimo szlachetnych pobudek to postanowienie napełniło jej serce goryczą.

Przeplakała całą noc i prawie nie zmrużyła oka. Myśl była słuszna, ale motywy niezbyt chwalebne. Judith pragnęła służyć bliźnim pomocą, bo szukała pociechy. Cierpiała na samą myśl, że bezpowrotnie utraci Dana, i w miłosiernych uczynkach chciała szukać zapomnienia.

Przypomniała sobie zimne i wyniosłe spojrzenie, jakim ją obrzucił, gdy zarzekał się, że nie skorzysta z protekcji. A przecież chodziło jedynie o to, żeby ktoś wysoko postawiony i bardzo mu życzliwy szepnął słówko, gdzie należy, i ułatwił spotkanie z lordami brytyjskiej admiralicji.

Judith zdawała sobie sprawę, że nawet gdyby uczucie Dana przetrwało próbę czasu, ich małżeństwo byłoby niemożliwe, bo duma nie pozwoliłaby mu pojąć za żonę posażnej panny. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Dan był dla niej stracony na zawsze.

Następnego dnia wstała z ciężkim sercem. Gdy oznajmiła, że zamierza odwiedzić narzeczonego w jego kościele parafialnym, pani Aveton była wyraźnie zadowolona.

-I bardzo dobrze, moja panno - oznajmiła wyniosłe. -Wczoraj powiedziałam twoim przyjaciółom, że dość już szwendania się po salonach. Najwyższy czas, abyś zmieniła sposób życia. Pastorowa nie powinna szukać czczych rozrywek, tylko...

- Z kim o mnie rozmawiałaś? Którzy to przyjaciele?

- Nie udawaj, że tyłu ich masz. Chodzi o Peregrinea Wentwortha i jego impertynencką żoneczkę. Szczerze mówiąc, wstyd mi było za nich, bo robią z siebie widowisko. Ten głupiec stale się w nią wpatruje, trzyma za rękę, rezerwuje dla siebie wszystkie tańce.

- Nic dziwnego. Elizabeth to piękność i na dodatek jego żona - odparła rzeczowo Judith.

- Powinni zachowywać się przyzwoicie. Amelia nie ma do nich cierpliwości. Jej zdaniem, to nadmiar afektacji.

Judith zamilkła, bo uznała, że nie warto się spierać.

- Mam nadzieję, że nie będziesz ich naśladować - ciągnęła pani Aveton. -

Spaliłabym się ze wstydu, gdybyś przy ludziach tuliła się do męża. Pan Truscott z pewnością nie życzy sobie, abyś wpatrywała się w niego z ciętym zachwytem.

- Z pewnością mi to nie grozi - odparła Judith ostrzej, niż zamierzała.

Nieprzyjemny ton zwrócił uwagę macochy, która doszła do wniosku, że Judith staje się coraz bardziej krnąbrna. W ostatnich dniach była wręcz arogancka. Pani Aveton chętnie przywołałaby ją do porządku, ale przypomniała sobie tyradę Charlesa Truscotta i nie robiła z tego sprawy, choć w głębi ducha marzyła o surowej reprymendzie dla pasierbicy.

Co się odwlecze, to nie uciecze, pomyślała sentencjonalnie. Znała się na ludziach, więc sądziła, że po ślubie wielebny ukróci wybryki hardej dziewczyny. Skończą się bale, pikniki, wymyślne rozrywki. Pani Aveton uśmiechnęła się tajemniczo, skrywając przewrotne zadowolenie. Dumna Judith będzie musiała ukorzyć się przed mężem. Niezastąpiony Charles Truscott sprawi, że wyniosła rezerwa pasierbicy zniknie bez śladu. Ta poza zawsze działała jej na nerwy. Już on nauczy moresu tę hardą pannicę!

Po namyśle uznała, że nazywanie Truscotta niezastąpionym to lekka przesada. Łowca posagów niewiele różni się od pospolitego złodzieja. Pani Aveton od razu poznała się na wielebnym Charlesie. Gardziła mężczyznami jego pokroju. Zaczynałby się zapłacić haracz za pomoc w zdobyciu panny. Zdawała sobie sprawę, że Truscott za nią nie przepada, ale nie przejmowała się tą antypatią. Okazał się użyteczny. Trzeba tylko pilnować, żeby dotrzymał umowy.

Następnego dnia po wizycie na Mount Street Truscott od samego rana był w doskonałym humorze. Przyjaciele Judith, a jego potencjalni wrogowie, w sztuce intryg i podstępów okazali się dyletantami. Był przekonany, że łatwo owinie ich sobie wokół palca. Bawiła go chmurna mina Dana i tęskny wyraz oczu Judith. Rudemu półgłówkowi do głowy nie przyszło, żeby połakomić się na majątek posażnej dziedziczki. Do ślubu pozostało kilkanaście dni. Niech tamci dwoje zadręczają się, wspominając dawne porywy serca. Za dwa tygodnie dziewczyna będzie dla Dana bezpowrotnie stracona. Wpadła Truscottowi w ręce jak dojrzały owoc. Nie zmierzał się nią dzielić z dawnymi przyjaciółmi. Wkrótce z jego woli nie będzie miała wstępu do ich kręgu.

Na poranną mszę jak zwykle przybyły rzesze wiernych. Po wspianiałym kazaniu wszyscy oniemieli z zachwytu. Truscott także był z siebie zadowolony.

Przemawiał jak mistrz, serwując słuchaczom ogień piekielny i naukę o zbawieniu w idealnych proporcjach. Po zakończeniu nabożeństwa stanął u drzwi kościoła i żegnał wychodzących parafian promiennym uśmiechem. Zagadywał bogatszych, słysząc w zamian gratulacje i żarliwe obietnice niesienia pomocy w dziele miłosierdzia.

Gdy wrócił do opustoszałego kościoła, zatarł ręce z uciechy. Uporał się na dzisiaj z nudnymi powinnościami duchownego. Nie była to wygórowana cena za obfity zysk, którego spodziewał się po otwarciu puszek z codzienną kwestą.

Postanowił natychmiast przeliczyć pieniądze.

Zza kolumny wybiegł mały chłopiec. Ruszył pędem w stronę pastora, żeby przekazać wiadomość, z którą tu przybył.

- Co tam? - burknął Truscott.

Chłopak przezornie cofnął się za ciężką ławkę.

- Pan jest potrzebny. Trzeba się pozbyć dwu sztywnych.

Kaznodzieja znieruchomiał. Wynajęci mordercy najwyraźniej sfuszerowali robotę. Radził im przecież utopić hultajską trójkę. Nie byłoby wówczas problemu z ciałami. Moment, chłopak wspomniął o dwu trupach! Trzeba go wybadać.

- Kim są... zmarli? - spytał ostrożnie. Zrobiło mu się sucho w ustach.

- Pana kumple. Nellie tak mówi. - Dzieciak uśmiechnął się chytrze, jakby wiedział swoje.

Truscott zachwiał się i nagle zabrakło mu tchu. Ogarnięty strasliwą wściekłością miał wrażenie, że czerwona mgła zasnuwa mu wzrok.

Na widok zmienionej twarzy pastora chłopak rzucił się do ucieczki, ale ten był szybszy. Chwytał dzieciaka i wykręcił mu patykowatą rękę.

- Nigdzie nie pójde - syknął.

Ból wycisnął łzy z oczu zabiedzonego chłopca, który rozszlochał się żałością.

- To nie moja wina. Jak pan nie przyjdzie, po zmierzchu oni tu przyleżą...

Na te słowa prześladowca całkiem stracił panowanie nad sobą. Coś w nim pękło. Pragnął rozerwać na strzępy wszystkich, którzy przyczynili się do udaremnienia jego planów. Niech cierpią! Bił przerażonego chłopca po twarzy tak mocno, że z rozciętych warg trysnęła krew, a oko zniknęło pod siną, obwisłą powieką.

- Przestań!

Zgroza i niedowierzanie, brzmiające w znajomym głosie, poraziły go, choć szalał z wściekłości. Podniósł głowę i spojrzał ku otwartym drzwiom kościoła. Na progu stała Judith, zmieniona nie do poznania. Zamiast lęklivej dziewczyny, która rzadko miała coś do powiedzenia, ujrzał groźną obrończynię uciśnionych, która podbiegła do niego i mocno chwyciła wzniesione do ciosu ramię.

- Powiedziałam: dość! Nie widzisz, głupcze, że chłopiec krwawi?

Truscott puścił ofiarę, lecz nadal wyglądał strasznie. Przez chwilę Judith obawiała się, że ją uderzy, lecz nie uległa się, tylko zasłoniła sobą chłopca.

Stała z Charlesem twarzą w twarz, gotowa dotrzymać mu pola.

## Rozdział szósty

Truscott opamiętał się natychmiast. Ledwie ochłonął po ataku wściekłości, już zastanawiał się gorączkowo, w jaki sposób wybrnąć z piekielnie trudnej sytuacji. Jak na syna aktorki przystało, w jednej chwili starł z twarzy wszelkie gwałtowne uczucia i spojrzał tępo w głąb kościoła. Opadł ciężko na dębową ławkę kościelną i zakrył oczy dłońmi.

Judith nie zwracała na niego uwagi. Spojrzała na ukrytego za nią chłopca, który osunął się na kamienną posadzkę i leżał półprzytomny, krwawiąc obficie.

Zastanawiała się, jak mu pomóc. Woda! Trzeba obmyć rany i zatamować upływ krwi. Sięgnęła do woreczka po chustkę i zmoczyła ją w chrzcielnicy. Uklękła obok chłopca i, podtrzymując go jednym ramieniem, ostrożnie przemyła krwawiącą wargę i podbite oko.

Przez chwilę leżał bez ruchu, wpatrując się w nią niewidzącym wzrokiem. Nagle zaczął się wyrywać.

- Pani mnie puści! - zawołał.

- Wcale cię nie trzymam. Możesz odejść, gdy będziesz w stanie utrzymać się na nogach. Spróbujesz wstać?

Twarz miał zmasakrowaną, ale zwinął się jak młody kociak i w mgnieniu oka stanął wyprostowany. Wskazał palcem kaznodzieję i krzyknął, cofając się w stronę wyjścia.

- On mi za to zapłaci!

Judith udała, że nie pojmuje jego intencji.

- Należy ci się zapłata, mój chłopcze? - Sięgnęła do woreczka po garść monet. - Jesteś wychudzony - dodała. - Weź to i kup sobie coś do jedzenia.

Pieniądze zostały błyskawicznie schowane w kieszeni. Chłopiec rozciągnął w uśmiechu spuchnięte usta.

- Panienska jest dobra - powiedział. - On panienki nie uderzy?

- Mowy nie ma - odparła stanowczo. - Odejdź stąd i nie zapomnij o posiłku.

Odprowdziła spojrzeniem kulejącego chłopca, który powłókł się ku otwartym drzwiom, a potem stanęła twarzą w twarz z jego bezlitosnym oprawcą.

- Co masz na swoje usprawiedliwienie? - zapytała lodowatym tonem. - Jak można wytłumaczyć tę bezprzykładną napaść na bezbronne dziecko?

Truscott siedział nieruchomo z twarzą ukrytą w dłoniach. Obserwował Judith przez lekko rozsunięte palce. Za kogo ona się uważa, pomyślał gniewnie. Rzuciła się na niego jak mściwa erynia, gotowa wymierzyć cios, gdyby jej nie posłuchał.

Drogo zapłaci za bezceremonialne wtrącanie się w jego sprawy, ale to może poczekać. Teraz należy przekonująco zagrać rolę zboląłego szaleńca.

Powoli opuścił ręce i popatrzył wokół jak człowiek, który budzi się ze snu.

- Gdzie ja jestem? - wymamrotał. - Co się stało? Gdzie są wszyscy? Pamiętam, jak zegnałem się z wiernymi po nabożeństwie, a potem...

Judith przyglądała mu się podejrzliwie. Sądziła, że kłamie.

- Jesteś w swoim kościele. Przed chwilą byłem świadkiem przykrego zajścia, które nie powinno się zdarzyć w świętym miejscu. - Gdzie chłopiec? - szeptał gorączkowo Truscott, udając, że jej nie słyszy. - Był tutaj... Podszedł do mnie.

- Nie pamiętasz, że został pobity do krwi? Ten biedak długo leżał bez czucia, nim odzyskał przytomność. Ty jesteś temu winien.

- Nie! Nie! To nieprawda! W głowie się nie mieści...

- Oto krwawe ślady na posadzce i na mojej chusteczce! - Wymownym gestem wskazała mokry kawałek batystu.

Truscott krzyknął boleśnie i chwycił się za głowę.

- Chyba oszaleję! Dlaczego rzuciłem się na to biedne dziecko? Judith, pomóż mi. Znów mnie dopadły krwawe furie. Jestem opętany! - Ukrył twarz w dłoniach i zaczął szlochać rozdzierająco.

Judith ogarnęło współczucie. Żal jej się zrobiło tego biedaka, który przy niej całkowicie się załamał. Pozory mylą, uznała po namyśle. Zmieniła zdanie i już nie była skłonna uznać wielebnego Truscotta za potwora. Chciała poznać jego wersję zdarzeń.

- Jeśli pragniesz się zwierzyć, chętnie wysłucham - powiedziała łagodniejszym tonem.

- Nie... nie mogę. Jesteś aniołem, ale nie śmiem przerzucać ciężkiego brzemienia na twoje wątłe barki.

- Zaręczyny mają zachęcić narzeczonych do dzielenia zarówno radości, jak i trosk. - Usiadła obok Truscotta w kościelnej ławce.

- Najdroższa, tych ostatnich wolałbym ci oszczędzić.

- To zacnie z twojej strony, ale nie jesteś w stanie uchronić mnie przed wszelkimi przeciwnościami. Błagam, powiedz mi, co ci leży na sercu. Postaram się wszystko zrozumieć.

Truscott podniósł głowę, ukazując twarz mokrą od łez. Miał spore zdolności aktorskie i potrafił na zawołanie wylewać potoki łez. Czasami zastanawiał się nawet, czy nie pójść w ślady matki. Na scenie z pewnością odniósłby sukces. Wybrał inną profesję, bo ludzie teatru nie cieszyli się uznaniem wyższych sfer. Jako kaznodzieja, miał większe szanse, żeby się do nich wedrzeć.

- Jesteś niezwykle szlachetna - odparł łamiącym się głosem. - Będzie, jak sobie życzysz. Wyznam ci całą prawdę. - Zamilkł, jakby próbował zebrać myśli. - Chodzi o moją matkę, którą szanuję i kocham. Tak, przypomniałem sobie teraz, że chłopiec przyniósł mi o niej wiadomość. Jest umierająca! Ta zła nowina wstrząsnęła mną do tego stopnia, że z rozpaczyny wpadłem w szal.

- Musimy natychmiast do niej pojechać. - Judith ujęła jego dłoń. - Trzeba zebrać wszystkie siły, mój drogi. Jedźmy tam, nie zwlekając, bo może być za późno. Szkoda czasu!

- Nie mogę pozwolić, żebyś naraziła się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Moja matka zachorowała na ospę. Pamiętasz? Wspomniałem niedawno, że muszę wyjechać, bo wzywają mnie pilne sprawy rodzinne. Teraz wiesz, o co chodziło.

- Charles, chora z pewnością wymaga troskliwej opieki - przekonywała Judith. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że porzuciła oficjalne formy.

- Czuwają przy niej zaufani ludzie... nasza daleka rodzina. Zadbalem o to zawczasu, żeby ktoś stale się o nią troszczył. Mieliśmy nadzieję, że mameczka wyzdrowieje, lecz daremnie się łudziliśmy. - Pochylił głowę jak człowiek zrezygnowany i przygnieciony ciężarem ponad siły.

- Nie lękam się chorób - odparła stanowczo Judith.

- Ospa to nie jest zwykła dolegliwość, tylko choroba zakaźna - tłumaczył z łagodnym uśmiechem. - Przebieg ma niezwykle gwałtowny, a chorzy bardzo się zmieniają.

Z przewrotną satysfakcją opisywał koszmarnie bóle głowy, skurcze mięśni, torsje, ataki gorączki, bredzenie w malignie oraz ropne krosty pokrywające niekiedy całe ciało.

Przerażonej Judith zrobiło się słabo. Zasłoniła dłonią usta, jakby chciała powstrzymać mdłości. Truscott obserwował ją ukradkiem, zadając sobie pytanie, czy jest dostatecznie wystraszona, żeby odechciało jej się grać rolę miłosiernej samarytanki.

- Szczególnie niepokoi mnie fakt, że tak łatwo zarazić się ospą - dodał z ponurą miną. - Za nic w świecie nie chciałbym, żebyś z mojego powodu cierpiała podobne katusze. Byłbym potworem w ludzkiej skórze, gdybym w chwili słabości naraził cię na takie niebezpieczeństwo.

- Przekonałeś mnie - odparła po chwili. - Ale co z tobą? Możesz się zarazić.

- Nie, nie! Kilka lat temu przebywałem w Indiach i tam chorowałem na ospę. Czulem się fatalnie, ale przebieg choroby był dość łagodny, doszedłem więc do siebie i nabrałem odporności. Nie zarażę się po raz wtóry.

- W takim razie jedź zaraz do matki. Szkoda czasu na rozmowy. Nie będę cię zatrzymywać.

- Dzięki za okazaną dobroć. - Skłonił się przed Judith, ale nie ujął jej dłoni. Potrzebował czasu, żeby przeanalizować dzisiejszy incydent. Judith okazała się znacznie silniejsza i bardziej stanowcza, niż sądził. Zazwyczaj mówiła cicho i łagodnie, ale przekonał się, że w razie potrzeby umie podnieść głos, działać zdecydowanie i postawić na swoim.

- Nie mogę określić, kiedy wrócę. Może za kilka dni? -dodał cicho i zerknął na nią ukradkiem. Odniosł wrażenie, że po jej twarzy przemknął wyraz ulgi. A może tylko mu się zdawało?

Był świadomy, że omal jej nie utracił. Potrzebowała czasu, żeby ochłonąć po dzisiejszych przeżyciach. Fikcyjna choroba matki była znakomitym pretekstem, by zniknąć na kilka dni. W tym czasie unieszkodliwi wreszcie Nellie oraz jej kompanów. Nie mógł pozwolić, żeby nadal stali mu na zawadzie, narażając na szwank misternie ułożony plan.

Judith sama wróciła do domu. Truscott chciał ją odprowadzić, ale nie zgodziła się na to i kazała mu natychmiast jechać do chorej matki. Mimo pozorów spokoju była wytrącona z równowagi, bo po raz pierwszy w życiu zobaczyła swoją przyszłość jako mroczną otchłań. Odniosła wrażenie, że tkwi w pułapce.

Wyjaśnienia narzeczonego uznała za wiarygodne. Okazała mu współczucie, ale jego słowa nie zatarły w jej pamięci obrazu brutalnie pobitego dziecka, leżącego bezwładnie na kamiennej posadzce. Charles uległ atakowi szału. To by tłumaczyło bezprzykładną wściekłość ogarniętego zgubnym paroksyzmem duchownego.

Judith chciała mu wierzyć, lecz wątpliwości jej nie opuściły. Może Wentworthowie mieli rację, odsądzając Truscotta od czci i wiary? Myślała o tym niechętnie, ale musiała stawić czoło takiemu wyzwaniu.



Nagle zatęskniła za Danem. Miłość, którą darzył ją przed laty, przeminęła, należało więc zadowolić się przyjaźnią. Judith przeczuwała, że po ślubie z wielebny Truscottem i tego będzie musiała się wyrzec.

Biła się z myślami, wracając do domu. Gdy szła po schodach do swego pokoju, dziękowała niebiosom, że zostawiła Bessie przed kościołem i sama poszła szukać Charlesa. Na widok szalejącego ze złości pastora służąca pobiegłaby po pomoc dla swojej pani. Sprowadziłaby zapewne Dana lub kogoś z Wentworthów, a ci natychmiast wzięliby sprawę w swoje ręce, decydując za Judith.

Z obawą patrzyła w przyszłość. Charles był dla niej niewiadomą. Liczyła się z tym, że dzisiejszy wybuch może się powtórzyć. A jeśli to nie był odosobniony incydent, tylko nieuleczalna przypadłość powracająca co pewien czas? W takim wypadku Judith trafiłaby z deszczu pod rynnę. Codzienne bytowanie z mężem, ulegającym napadom szału, byłoby istnym koszmarem, przy którym życie w domu pani Aveton mogło się wydawać całkiem przyjemne.

Judith uznała, że nie należy wyciągać pochopnych wniosków. Jeśli chciała znać prawdę, powinna teraz pilnie obserwować sytuację i starannie analizować każde wydarzenie. Miała kilkanaście dni na zrewidowanie decyzji. Na próżno usiłowała wrócić pamięcią do wydarzeń z ostatnich kilku miesięcy. Wszystkie zlewały jej się w bezkształtną masę, jakby pogrążyła się we śnie lub transie.

To musi się zmienić! Zdawała sobie sprawę, że od tego zależą jej przyszłe losy. Szukając ukojenia, otworzyła tajną szufladę, wyjęła plik kartek i zajęła się pisaniem. Z uśmiechem pomyślała, że talentu nikt jej nie odbierze.

Przez dwa dni pracowała nad kolejnymi rozdziałami. W domu pani Aveton nikt się nią nie interesował, robiła więc to, na co miała ochotę. Odrywała się od ulubionego zajęcia jedynie podczas posiłków spożywanych w towarzystwie ma-cochy oraz jej córek.

Pani Aveton zostawiła Judith w spokoju, ponieważ była zaabsorbowana kupowaniem modnych fatalaszków. Zamawiała wytworne suknie, szale, kapelusze, rękawiczki, a także piękną bieliznę, aby wraz z córkami zadawać szyku w nadchodzącym sezonie. Spodziewała się, że Judith zapłaci wszystkie rachunki. Rychły ślub i wesele były dobrym pretekstem do swobodnego szastania pieniędzmi pasierbicy.

Jedyną dobrą duszą, która przejmowała się bladością milczącej Judith, była pokojówka Bessie.

- Panienska oczy sobie zepsuje przez tę pisaninę - narzekała. -Po nocach też panienska siedzi nad papierami. Co można dojrzeć przy jednej świeczce? Proszę wyjrzeć przez okno. Taka ładna pogoda. Słońce świeci. Niech panienska idzie do parku.

Po chwili zastanowienia Judith uległa namowom pokojówki.

Przyjemnie było znowu rozprostować kości, poczuć na twarzy i ramionach ciepłe promienie. Judith szła wolno parkową aleją, a obok sunął sznur eleganckich ekwipaży i jeźdźców. Bessie z jawnym politowaniem komentowała właśnie nazbyt wymyślne toalety kilku dam z towarzystwa, gdy podszedł do

nich Dan. Nie zważając na karcące spojrzenia rozgniewanej panienki, Bessie natychmiast zwolniła kroku i znalazła się nieco w tyle.

- Masz sojusznikę, mój panie - zauważyła kąśliwie Judith.

- Nie gniewaj się na Bessie. Gdyby nie ona, wcale bym cię nie widywał. Ostatnio prawie nie opuszczasz domu.

- Bo tak mi się podoba.

- Duży błąd. Wyglądasz okropnie. Jesteś blada jak wiedźma, przez długie lata więziona w podziemnych lochach.

- Dzięki za miłe słowa - odparła drwiąco. Nadrabiała miną, ale szare oczy lśniły podejrzenie, jakby zbierało jej się na płacz. Zdawała sobie sprawę, że nie jest urodziwa, ale nie miała ochoty słuchać, że przypomina zabiedzoną czarownicę.

- Tak sobie gadam. Nie daj się nabrać - zapewnił Dan, biorąc ją pod rękę i prowadząc ku bocznej alejce. - Dla mnie zawsze jesteś śliczna. Co się z tobą dzieje, serce moje?

W jego głosie było tyle czułości, że Judith uległa pokusie i odparła szczerze, choć z wahaniem:

- Nie mam pojęcia, choć bardzo bym chciała. Czuję się zagubiona.

- Coś się wydarzyło? - zapytał. Przystanął, położył jej dłonie na ramionach, odsunął od siebie i spojrzał prosto w oczy. - Zdradzisz mi, o co chodzi?

Najchętniej opowiedziałaby ze szczegółami całą historię, ale wiedząc o jawnej niechęci Dana do Charlesa zdawała sobie sprawę, jak przykry incydent, który zdarzył się w kościele, zostanie przez niego zinterpretowany. Darowała sobie opowieść i postanowiła zapytać o konkrety.

- Co wiesz o przebiegu wietrznej ospy?

- Niewiele. Czemu pytasz?

- Zastanawiałam się, czy w Londynie są teraz jej ogniska. To choroba zakaźna, prawda?

- O tak! Mam nadzieję, że nie miałaś styczności z jej ofiarami?

- W żadnym razie - zapewniła, uśmiechając się lekko. - Ktoś przy mnie wspomniał, że były ostatnio przypadki zachorowań na ospę.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Dan spochmurniał. - Zazwyczaj taka wzmianka powoduje, że ludzie masowo opuszczają miasto.

- Nawet jeśli ognisko choroby wykryto na odległym przedmieściu?

Judith w tym momencie zdała sobie sprawę, że Charles ani słowem nie wspomniał, gdzie przebywa jego matka.

- Informacje o takich przypadkach trudno zachować w sekrecie - zapewnił Dan. - Wieść szerzy się lotem błyskawicy.

Te wyjaśnienia nie rozproszyły wątpliwości Judith, która coraz bardziej się niepokoiła. Gdy Charles pobił chłopca, była zbyt wstrząśnięta, aby zadawać pytania. Teraz zastanawiała się, dlaczego dotąd nie wspomniał, że jego matka żyje. Judith zakładała milcząco, że stracił oboje rodziców. Nie przyszło jej do głowy, żeby o nich wypytywać.

Doszła do wniosku, że bardzo mało o nim wie. Rzadko rozmawiali sam na sam. Byli we dwoje tylko wówczas, gdy się oświadczał. Potem wszystkie ich spotkania odbywały się w obecności pani Aveton. Do tej pory Judith nie zastanawiała się nad tym. Była nawet zadowolona z takiego stanu rzeczy, bo szybko okazało się, że nie ma o czym rozmawiać z narzeczonym. Teraz przyszło jej do głowy, że Truscott umyślnie starał się unikać dozwolonego narzeczonym sam na sam. Może z obawy, że Judith będzie zdawać kłopotliwe pytania?

- Jesteś pewny, że nie da się ukryć pojedynczych zachorowań na ospę? - upewniła się, spoglądając na Dana.

- Trudno powiedzieć. W uboższych dzielnicach Londynu tlą się stale jej ogniska, a pierwsze objawy, takie jak gorączka, dreszcze czy ból głowy przypominają zwykle przeziębienie. Daruj, ale nie rozumiem, czemu rozmawiamy o tej chorobie? Dlaczego się nią interesujesz?

- Charles wspomniał... - Umilkła nagle, bo gardło miała ściśnięte i nie była w stanie wykrztusić nic więcej. Lepiej nie mówić Danowi o niejasnych podejrzeniach.

Na wzmiankę o wielebnym jej rozmówca zaraz się ożywił, bo od dobrych kilku chwil czekał na taką sposobność.

- Duchowny często jako pierwszy lokalizuje kolejne zachorowania. Jeśli Truscott odwiedza dzielnice biedoty, zapewne ma takie informacje. - Dan uważnie przyglądał się twarzy Judith, ale nic z niej nie wyczytał. Doszedł do wniosku, że Truscott odbywa wypadki do slumsów w tajemnicy przed narzeczoną.

- Obowiązki pastora często zmuszają go do odwiedzania takich miejsc - przyznała Judith. - Twierdzi, że uodpornił się na groźne miazmaty, bo wiele lat temu chorował na ospę, którą jego organizm szczęśliwie zwalczył. Ostatnio zaproponowałam, że będę mu towarzyszyć w wędrówkach po mieście, ale nie chciał o tym słyszeć.

Dan był wstrząśnięty, gdy usłyszał jej wyznanie.

- Ani mi się waź! - zapowiedział stanowczo. - Nie wolno ci odwiedzać takich miejsc! Ospa nie jest tam wcale największym zagrożeniem. Slumsy to piekło na ziemi.

Kiedy popatrzyła na niego, wielkie szare oczy wyrażały smutek i poczucie bezradności.

- Wiem, że są dzielnice, gdzie bieda i brak podstawowych udogodnień zbiera okrutne żniwo. Prudence i Sebastian wiele robią, żeby to zmienić.

- Czy wiadomo ci także, jaki panuje tam brud i zaduch? Na ulicach widzi się rzesze pijanych żebraków i dzieciaki w łachmanach. Roi się tam od złodziei, nie brak też morderców.

Judith zrobiła się okropnie blada.

- Mam rozumieć, że ilekroć Charles tam idzie, jego życie jest zagrożone?

- Nie obawiaj się. Da sobie radę. Chodzi mi o ciebie. Wspomniałaś, że chciałaś mu towarzyszyć w takiej wyprawie. Powiedział, dokąd się wybiera?

- Z pewnością nie do slumsów, mój drogi. - Pełna obaw postanowiła wyznać Danowi wszystko. - Charles pojechał do matki, która ciężko zachorowała. Prawdopodobnie ma ospę.

Dan natychmiast zrozumiał, o co chodziło Truscottowi i w jakim celu wymyślił tę historyjkę. Postąpił bardzo sprytnie, wspominając o zakaźnej chorobie.

- Znasz jego matkę? - spytał rzeczowo. - Do tej pory chyba o niej nie wspominał.

- Nie przypominam sobie - przyznała Judith, obserwując twarz Dana, która wyrażała ogromne zdumienie. - Pewnie uznasz mnie za idiotkę, ale do głowy mi nie przyszło, żeby zapytać o jego rodziców. Uznałam, że pomarli.

- On również nie poruszał tego tematu, prawda? - spytał oskarżycielskim tonem. Judith była świadoma, że znów ogarnia go złość, toteż łagodnym ruchem położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nie kłóćmy się - poprosiła. - Szkoda na to czasu. Tak się cieszę z naszego spotkania.

Serce Dana pełne było najczulszej miłości. Pragnął objąć ukochaną i zapewnić, że odtąd sam będzie ją chronił przed złem. Nie pozwolił sobie jednak na taki poryw uczucia.

Co mógł jej zaoferować? Nie miał majątku, niewiele znaczył w wyższych sferach. Żadnych pieniędzy, żadnej pozycji! Mierziła go myśl o wspólnym życiu za jej pieniądze. Był w tej kwestii wyjątkiem, ponieważ większość znanych mu wytwornych młodzieńców, obracających się w wielkim świecie, marzyło o poślubieniu bogatej dziedziczki. Bóg z nimi, pomyślał.

Był głęboko przekonany, że obowiązkiem mężczyzny jest zapewnienie najbliższemu dostatku. Sposepniał, zadając sobie pytanie, jak długo ma czekać, aż stać go będzie na założenie rodziny.

- Dan, co cię trapi? - Judith obiema dłońmi ujęła jego rękę, ale wyrwał ją, jakby ten czuły gest wydał mu się niestosowny.

- Przestań! - rzucił opryskliwie. Kto inny uznałby jej odruch za jawną zachętę, ale on nie mógł iść za głosem serca.

- Wybacz! - szepnęła drżącymi wargami. - Nie chciałam cię urazić.

- Co ty mówisz? - obruszył się i dodał żarliwie: - Dobrze wiesz, że ja... - Zamilkł w pół zdania. Po chwili dodał: - Wybacz! Rzeczywiście nie warto się kłócić.

Coraz bardziej oddalali się od głównej alei, idąc mało uczęszczaną ścieżką wśród dorodnych krzewów.

- Musimy wracać - powiedziała zakłopotana Judith. Gdyby ktoś znajomy spotkał ich tutaj, uznałby pewnie, że umówili się na schadzke.

- Dlaczego? - Dan nie krył zdumienia, lecz po chwili domyślny uśmiech rozjaśnił mu twarz. - Uważasz, że wyglądamy jak dwoje peniaczy, którzy szukają ustronnego miejsca, żeby się awanturować.

- Żadne z nas nie lubi awantur - przypomniała wesoło. -Szczerze mówiąc, lękam się plotek.

Dan poufałym gestem wziął ją pod rękę.

- Nie ma powodu do obaw. Dla rozplotkowanych dandysów jeszcze za wcześnie na spacer. Dasz wiarę, że Brummell codziennie rano pięć godzin poświęca na poranną toaletę?

- Co ty powiesz? Poznałam go jakiś czas temu i wydał mi się sympatyczny. W jego wyglądzie uderzyła mnie szlachetna prostota. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie interesował się, czy fałdy płaszcza są dobrze ułożone, a fular prawidłowo zawiązany.

- Stroi się tak długo, aż osiągnie doskonałość. Potem nie zaprzęta sobie tym głowy.

Judith odetchnęła z ulgą, bo niebieskie oczy Dana śmiały się do niej. Każda godzina spędzona w jego towarzystwie była cudowna, nie zamierzała więc tracić choćby minuty na niepotrzebne kłótnie.

- Przemyślałeś moją sugestię?

- Chodzi o projekty? Owszem. Wiesz zapewne, że lord Nelson wrócił do Anglii. Zamieszkał w Merton z Hamiltonami. Całkiem blisko stamtąd do granic Londynu. Słyszałem, że po bitwach u wybrzeży Egiptu i Danii nie ma dość okrętów. Przesłałem mu projekt szybkiego statku, nadzwyczaj sprawnie wykonującego rozmaite manewry. Judith radośnie klasnęła w ręce. Oczy jej zabłyśły.

- Jeśli takie jednostki są mu teraz potrzebne, z pewnością da ci znać.

- Nie chcę robić sobie wielkich nadziei. Może nie znajdzie czasu, żeby obejrzeć moje rysunki...

- Na pewno zwrócą jego uwagę. Jestem o tym przekonana. To wspaniały człowiek, prawdziwy geniusz. Nic mu nie umknie.

Dan z uśmiechem słuchał pełnej entuzjazmu tyrady.

- Widzę, że i ty podziwiasz bohatera naszych czasów.

- Wszyscy składają mu hołd. Przyczynił się do zawarcia pokoju. Gdyby nie pokonał Francuzów i ich sprzymierzeńców, wojna ciągnęłaby się w nieskończoność.

- To prawda, ale dość o moich sprawach. Porozmawiajmy o tobie. Przeczytałem rozdziały, które mi zostawiłaś. Są bardzo udane. Powierzyłem rękopis Bessie. Schowała go do kieszeni. Wiem od niej, że znów sporo napisałaś.

Judith bez słowa kiwnęła głową.

- Pozwolisz mi przeczytać? To bardzo zabawna lektura. Ciekawie budujesz intrygę i masz dar słowa.

- Tylko na piśmie - zastrzegła skromnie.

- Nieprawda! Rozmowa z tobą to przyjemność. My dwoje potrafimy przegadać wiele godzin i wciąż nam mało. Czy mam rację?

Uradowana pochwałą, Judith zarumieniała się uroczo. Wkrótce zawrócili i wśród starannie przyszytych krzewów szli w stronę głównej alei.

- Cokolwiek się zdarzy, jedno musisz mi obiecać. - Dan odezwał się pierwszy. - Przymierz się, że będziesz pisać dalej i skończysz tę książkę.

- Chyba nie mogłabym już zarzucić pisania. Ciągnie mnie do tego zajęcia - wyznała. - Słowa same układają się w zdania.

- Doskonale! Liczę na to, że będę pierwszym czytelnikiem kolejnych rozdziałów. Kiwnęła głową i nagle przypomniała sobie, że niedawno gwałtownym ruchem wyrwał dłoń z jej uścisku. Był przyjacielski, ale zachowywał dystans. Powinna się z tego cieszyć, a tymczasem miała do niego pretensje. Takie uczucia nie licowały z godnością narzeczonej pastora, więc Judith poczuła się zagubiona.

- Dlaczego milczysz? Truscott zabronił ci pisać?

- Nie, ale kiedy spotykam się z tobą, czuję się jak zdrajczynie.

- Sama mówiłaś, że wielebny nie ma nic przeciwko temu, abyś widywała znajomych.

- Owszem. Jednak kiedy ja folguję swoim zachciankom, on czuwa przy matce i zмага się z życiowymi trudnościami.

- Chciałaś mu pomóc, ale odmówił, podając zresztą całkiem rozsądny powód. To wcale nie oznacza, że masz zostać pustelnicą.

- Trudno ci odmówić zdolności perswazyjnych - mruknęła z przekąsem.

- Czyżby? Nie mogę się z tobą zgodzić. W tej dziedzinie moje wysiłki nie zawsze przynoszą spodziewane efekty.

Domyśliła się, że chodzi o jego oświadczenia sprzed sześciu lat, pospiesznie więc zmieniła temat. Wszystko sobie wtedy wyjaśnili. Nie było sensu do tego wracać.

- Dam ci do przeczytania kolejne rozdziały - obiecała. - Gdybym nie mogła przyjść, Bessie je przyniesie.

- Prudence będzie niepokieszona, jeśli nas nie odwiedzisz. Już marudzi, bo nie widziała cię od kilku dni. - Nagle zamilkł i spochmurniał. - O co chodzi? Mam nadzieję, że nic jej nie dolega.

- Ostatnio nie jest sobą. Sebastian martwi się, choć lekarze twierdzą...

- Co z dzieckiem? Wszystko w porządku?

- Na to wygląda, ale Prudence jest okropnie drażliwa i często popłakuje. To do niej niepodobne.

- Z pewnością czuje się już mocno znużona. Ostatnie miesiące były dla niej bardzo trudne. Czy Sebastian zamierza wywieźć ją do Hallwood? Być może zmiana otoczenia wyszłaby jej na dobre.

- Wątpię, żeby odważył się teraz na taką podróż. Moim zdaniem, Prudence nudzi się i niepotrzebnie martwi. To źle wpływa na jej zdrowie.

- Zawsze miała tyle zajęć. Dla osoby z jej temperamentem przymusowy odpoczynek to męka. Na szczęście wkrótce nadejdzie czas rozwiązania. Prudence będzie piastować swoje dzieciątko i wróci do ulubionego trybu życia.

- W każdej sytuacji umiesz podnieść człowieka na duchu. - Dan spojrzał na Judith z wdzięcznością. - Jesteś dla nas podporą, zwłaszcza teraz, gdy wszyscy tak bardzo się niepokoimy.

Doskonale go rozumiała. Wiele kobiet po radościach pierwszych lat małżeństwa przeżywało katusze, gdy czuwały przy łóżeczkach chorych pociech. Lęk przed utratą dziecka towarzyszył niemal każdej matce.

- Na twoim miejscu przestałabym się martwić - tłumaczyła przyciszonym głosem. - Dzięki Sebastianowi Prudence jest pod opieką najlepszych londyńskich medyków.

Dan nadal był zatroskany. Judith wiedziała, ile znaczy dla niego przybrana matka. Jako siedemnastoletnia dziewczyna, w czasie pobytu na uprzemysłowionej północy ułatwiła mu ucieczkę z przędzalni, gdzie harował jak niewolnik. Był do niej mocno przywiązany. Ci dwoje doskonale się rozumieli.

- Nie zapominaj o szanownej pannie Grantham. Ona także bywa pomocna - dodała Judith, wybuchając śmiechem. - Domyślam się, że ta uczona dama starannie kontroluje waszych lekarzy i dba, żeby drobiazgowo przestrzegali zasad higieny, a także ordynowali rozsądną dietę.

- Jakbyś zgadła! Gdy coś ją denerwuje lub oburza, bez ogródek wygłasza swoją opinię. Ma już ponad osiemdziesiąt lat, lecz nadal potrafi skutecznie przywołać do porządku każdego medyka, wytykając mu karygodne uchybienia. Drżą przed nią jak banda uczniaków. - Wyobraził sobie uroczą staruszkę, rugającą zbitych z tropu panów w ciemnych tużurkach. Na samą myśl o tym zaczął się śmiać. - Elizabeth i jej ciotka to dla naszej rodziny bezcenne nabytki.

- Od dawna nie widziałam panny Grantham - przyznała Judith. - Dobrze się czuję w jej towarzystwie. To niezwykła kobieta.

- Owszem. Jeśli zamierasz ją odwiedzić, lepiej się pospiesz. Gdy w Amiens podpisano traktat pokojowy, zapragnęła po raz kolejny wybrać się do Turcji.

- W wieku osiemdziesięciu trzech lat?

- Otóż to! Nie byliśmy w stanie wybić jej z głowy tego pomysłu, choć Perry i Elizabeth usilnie próbowali.

- Przy niej czuję się nieruchawa, rozlazła i niezdolna do czynu.

- Przesadzasz, moja droga. Wiem, że nie brak ci siły charakteru. - Miał wielką ochotę nadal prawić jej komplementy, śmielsze i bardziej osobiste, ale dotarli do głównej alei, gdzie roiło się od nadstawiających ucha plotkarzy. Lepiej, żeby nie słyszeli, jak Dan Ashburn wychwala pod niebiosa uroczą pannę Aveton.

- Muszę już iść - oznajmiła Judith przyciszonym głosem. - Lepiej, żeby nie widziano nas razem.

- Kiedy i gdzie znowu cię zobaczę?

- Sama nie wiem - odparła niepewnie. - Wybieram się jutro do księgarni Hatcharda. Muszę kupić kilka tomów.

- Ja również tam będę - obiecał.

Kiedy się rozstali, Judith ogarnęły wyrzuty sumienia. Dan wychwalał jej niezłomny charakter, a jednak nie potrafiła oprzeć się pokusie. Zabrakło silnej woli. A przecież obiecała sobie w duchu, że zapomni o Danie i odważnie stawi czoło wyzwaniom, czekającym ją na nowej drodze życia. Za dzisiejszy postępek należała jej się ostra reprimenda.

Po chwili zreflektowała się i doszła do wniosku, że wzmianka o planowanej wyprawie do księgarni Hatcharda na Piccadilly nie była wcale naganna. Któż mógłby uznać takie spotkanie za schadzkę? Jednak wrodzona uczciwość kazała

jej przyznać, że to ukartowali, nie licząc się z uczuciami innych ludzi. Judith nie mogła się dłużej oszukiwać. Gdyby musiała wybierać między obowiązkami wobec wielebnego Charlesa Truscotta a potrzebą serca, które wyrywało się do ukochanego mężczyzny, posłuchałaby głosu miłości. Dlatego chciała znowu spotkać się z Danem.

Biedny Charles! Zapewne czuwał teraz przy łóżku chorej matki. Judith wyrzucała sobie, że sprzeniewierza się własnym zasadom, a jej postępowanie jest naganne. Wiedziała, że osiągnie ją sprawiedliwa kara, a marzenia o szczęściu pozostaną niespełnione.

## Rozdział siódmy

Biedny Charles! Judith miała rację. Truscott cierpiał, ale inaczej, niż sądziła. Tego dnia, gdy w kościele pobił do nieprzytomności bezbronного chłopca, udał się pospiesznie do parafii St Giles. Nie miał pojęcia, co go tam czeka, na wszelki wypadek zabrał więc ze sobą nabity pistolet. Miał także nóż, z którym nigdy się nie rozstawał.

Fiakrem dotarł do granic kolonii. Tam odprawił dorożkarza, wytykając mu gniewnie, że słoma rozrzucona w dorożce okropnie cuchnie.

- Jaśnie pan raczy darować - szydził woźnica. - Próżno szukać u nas takich luksusów jak w powozie waszej wielmożności.

Truscott stanął przed drzwiami nory swojej matki i wszedł bez pukania, aby wykorzystać efekt zaskoczenia. Skupiony na sobie, nie zwrócił uwagi na podejrzane odgłosy. Kiedy się zreflektował, było za późno. Mocne uderzenie wymierzone między łopatki pchnęło go w głąb pokoju. Gdy upadł, ktoś postawił mu na plecach obutą stopę i przygwoździł do podłogi.

- Zwiążcie go! - padł rozkaz. Truscott nie rozpoznał głosu. Jacyś ludzie chwycili go za nadgarstki i wykręcili ręce do tyłu, a potem owinęli cienkim, mocnym sznurem, który ranił skórę i wpijał się w ciało.

- Podnieście go!

Przez chwilę stał na własnych nogach, a następnie pchnięto go na jedyne w tym pomieszczeniu wiklinowe krzesło. Dopiero teraz mógł przyjrzeć się prześladowcom.

Młodsze go mężczyznę rozpoznał od razu, bo widział go poprzednio u Nellie.

Jego kompan w średnim wieku zdawał się Truscottowi zupełnie obcy, ale coś go w nim zaniepokoiło. Daremnie jednak szukał w pamięci takiej sylwetki i twarzy. W izbie był także chłopiec, pobity okrutnie dziś rano. Nie widział na jedno oko, przesłonięte siną powieką, ale drugim łypał tak nienawistnie i chciwie, że Truscott szybko odwrócił wzrok.



- Gdzie Nellie? - zapytał.

- Żyje, ale nie tobie to zawdzięcza. - Młodszy z obwiesiów uderzył Truscotta pięścią w twarz. Krzesło z siedzącym na nim człowiekiem poleciało w tył i zważyło się na podłogę.

- Co ty robisz, Sam? Nie masz pojęcia o gościnności! Pamiętaj, że ten pan jest dla nas gwarantem lepszego życia.

- To morderca! Diabeł wcielony. Niech i on pocierpi, skoro umyślił sobie, że wolno mu gnębić innych.

- Zostawmy to na później, Sam, choć muszę przyznać ci rację. Ten pan powinien zrozumieć, że z nami nie ma żartów.

- Najpierw obszukajmy klienta - zaproponował chłopiec.

- Jasne! Doskonały pomysł! Zarezerwowałem ten przywilej dla ciebie, mój chłopcze, bo pierwszy go wypatrzyłeś. Ma się to oko, prawda, mały? Do roboty, Jemmy.

Gdy chłopiec podszedł bliżej, Truscott miał ochotę poczęstować go kopniakiem, ale rzut oka na twarze obu mężczyzn wystarczył, aby zmienić zdanie. Jemmy przezornie stanął za krzesłem i, wyciągając przed siebie ramiona, przetrząsnął wielebnemu kieszenie zręcznie i szybko jak doświadczony złodziej. Wyjął i położył na podłodze zegarek z dewizką, a potem wymacał pistolet.

- Wielebny od razu wiedział, że tu będzie gorąco.

Dwaj mężczyźni skwitowali te słowa ponurymi uśmiechami, a Jemmy kontynuował przeszukiwanie. Rósł stosik zarekwirowanych przedmiotów. Na podłodze wylądowała wypełniona monetami skórzana sakiewka, dwie jedwabne chustki i pęk kluczy. Jemmy chudą ręką sięgnął po sakiewkę i natychmiast został ofuknięty.

- Nie teraz, chłopcze! Potem się podzielimy.

Truscott popełnił błąd, wyciągając przed siebie długie nogi i krzyżując je w kostkach. Długo siedział skulony, chciał więc sobie ulżyć.

Prześladowca zarechotał tryumfalnie.

- Zajrzyj do butów, Jemmy. Zapomniałeś sprawdzić, co w nich jest.

Podniósł pistolet i obejrzał go z uwagą.

- Nabity. Niech nam tu wielebny nie wierzga, bo dostanie po łbie własnym pistoletem i zobaczy wszystkie gwiazdy.

Truscotta ogarnęła bezsilna złość, gdy Jemmy obmacywał miękkie cholewki. Po chwili chłopiec wstał, trzymając w ręku sztylet. Zbliżył ostrze do oka kaznodziei.

- Nie rób panu krzywdy, mój chłopcze. Odpłacisz mu za swoje cierpienia sprawiedliwą miarką, ale później. Sam, do roboty. Bierzemy go.

Mężczyźni zmusili Truscotta, żeby wstał. Brutalnie pociągnęli go do wyjścia i dalej, w głąb korytarza. Po drugiej stronie były drzwi do kolejnej izby. Truscott był świadkiem rozmaitych okropności, ale widok, który ukazał się jego oczom, przyprawił go o zimny dreszcz. W pomieszczeniu panował straszliwy nieład. Podłoga upstrzona była ciemnymi plamami, a ściany do wysokości człowieka umazane krwią. Od razu pojął, że odbyła się tutaj zażarta walka.

- Nasz gość na pewno chce zobaczyć swoich kolegów. Sam kiwnął głową. Podszedł do szafy, stojącej w rogu izby, i otworzył ją szeroko. Truscott zamarł w bezruchu, wpatrzony w dwa trupy. Wynajęci przez niego ludzie zostali zamordowani ze szczególnym okrucieństwem. Kaznodzieja zachwiał się na nogach.

- Sam, nasz znajomy źle się czuje. Trzeba go posadzić. Młodszy z mężczyzn zamknął szafę i wraz z szefem ponownie zaciągnął Truscotta do sąsiedniej izby. Tym razem prześladowcy związali mu nogi.

- Co to ma wspólnego ze mną? - wycharczał. - Nie znam tych ludzi.

- Osobliwe! Przed śmiercią... przekonaliśmy ich, żeby opisali gościa, który ich wynajął. Nawet jego nazwisko wyśpiewali. Moim zdaniem, jest fałszywe, ale prawdziwego nie znali.

- Dlaczego sądzicie, że chodzi o mnie? Nie wiedzieli, że...

- Truscott ugryzł się w język.

- Że działają na zlecenie wielebnego Charlesa Truscotta? Zgadza się. Nie próbuj mnie nabrać, człowieku. Mogłem się spodziewać, że będziesz kręcić.

Kaznodzieja przyglądał się uważnie swemu prześladowcy.

- Widzę, że nie możesz sobie przypomnieć, skąd się znamy. To zadziwiające. Przebywaliśmy razem w gościnie u jego królewskiej mości. Tak, tak, od tamtej pory bardzo się zmieniłem.

- Mężczyzna poklepał się po brzuchu. - Latka lecą, a człek tyje, mój przyjacielu. Kiedy dzieliliśmy celę w Newgate, nie byłem takim grubasem. Miałem ciemne włosy jak ty.

- Newgate? - Truscottowi nagle wróciła pamięć. Poblądł straszliwie. - Ty jesteś...

- Fałszerz Margrave. - Mężczyzna zmienił się na twarzy i obrzucił go wrogim spojrzeniem. - Ja o tobie nie zapominałem. Postąpiłeś ze mną haniebnie. Jak można okraść współwięźnia, żeby przekupić strażę! Dzięki tym pieniądzom miałem odzyskać wolność.

- Mylisz się. To nie ja...

- Nie ma mowy o pomyłce, choć wtedy nie byłeś pastorem. Co za ironia losu! My tu sobie gadamy o mokrej robocie, co? Szczerze mówiąc, nawet cię rozumiem. Żaden z nas nie miał ochoty zadyndać na stryczku. Ale dopuściłeś się oszustwa... paskudnego oszustwa.

- Rozum ci odjęło - burknął opryskliwie Truscott.

- O nie! Z głową u mnie w porządku, choć dawniej byłem trochę szalony. Co ja się ciebie naszukałem! Sprytnie zatarłeś wszelkie ślady. Przypadkiem natknąłem się ostatnio na Nellie. Kiedy usłyszałem jej nazwisko, zaraz mi się przypomniałeś. Jesteś moim dłużnikiem i zapłacisz z nawiązką.

- Dam, ile trzeba. Przecież obiecałem Nellie.

- Nie w smak wielebnemu to, co się tutaj dzieje? Bez obaw, pastorze. Chętnie stłukłbym cię na kwaśne jabłko, aż kwiczałbyś z bólu, lecz nie pora na takie rozrywki. Mam dla ciebie robotę.

- Jaką?

- Trzeba się zająć twoimi kolesiami z sąsiedniego mieszkania. Musimy się ich pozbyć. Będzie pogrzeb. Kto się na tym zna lepiej od ciebie?

Truscott milczał.

- Nellie już się wokół tego zakrzętnęła. Teraz pewnie zamawia dwie trumny. Myślę, że pochowamy ich dziś wieczorem. Po zmroku trudniej cię będzie rozpoznać jakiemuś zapóźnionemu przechodniowi.

- Nawet gdyby tak się stało, pastor oddający bliźnim ostatnią posługę to nic nadzwyczajnego - odparł hardo Truscott, któremu wróciła pewność siebie.

- Zapewne. Roztropnie wybrałaś zawód, ale nie sądzę, żebyś chciała się tutaj afiszować. Ktoś cię śledził?

- Ależ skąd! A po co? Nikt nie podejrzewa...

- Pewnie. Zawsze byłeś cwany, ale tym razem zawiodłeś się w swoich rachubach.

- Nie wiem, do czego zmierzasz.

- Naprawdę? A pamiętasz stare powiedzenie? Jeśli chcesz, żeby robota została wykonana jak należy, sam się zakrzętnij.

Truscott przyglądał mu się w milczeniu.

- Nie chciałeś sobie brudzić rąk? To jasne, ale należało lepiej to zaplanować.

Twoich kumpli z Seven Dials znają tu jak zły szeląg. Od razu ich namierzyłem i zacząłem się zastanawiać, dlaczego takie młode byczki fundują Nellie i jej kumpłom niezłą popijawę, a potem namawiają ich troje, żeby przenieść się do knajpy nad rzeką i dalej hulać. Każdy głupek domyśliłby się, w czym rzecz, mój panie. Tak wpadli tamci durnie, pomyślał Truscott. Nie żałował, że pomarli. Głupota kosztowała ich życie. Sami byli sobie winni.

Wkrótce usłyszał tupot kroków na schodach, a potem w szeroko otwartych drzwiach stanęła jego matka w towarzystwie dziwki Sama. Na moment znieruchomiała, a potem z wrzaskiem runęła na Truscotta i przeorała mu twarz paznokciami zakrzywionymi jak szpony.

Margrave odciągnął ją na bok.

- Moja droga Nellie, trzeba nad sobą panować. Po co zdefasonowałaś facjatę pana młodego? Chyba nie chcesz, żeby wykorzystano to jako pretekst do odłożenia ślubu. - Margrave podał jej butelkę z trunkiem. - Gołnij sobie. To cię wzmocni, bo się nabiegałaś. - Uśmiechnął się do Truscotta. - Niestety, musimy cię teraz opuścić, ale zobaczymy się wieczorem. Radzę ci, układaj mowę pogrzebową.

Gdy Truscott został sam, zaczął się szarpać, ale sznurek był mocny. Nie puścił, tylko coraz bardziej wpijał się w ciało. Wielebny dygotał z zimna; chciało mu się pić. Usta spuchły od uderzenia, a zadrapania na twarzy mocno krwawiły. Starał się nie zwracać uwagi na te dolegliwości. Musiał zastanowić się nad sytuacją. Jego życie nie było zagrożone. Ci ludzie musieli go wypuścić, aby osiągnąć swój cel. Wściekał się z powodu utraconych przedmiotów, ale obiecał sobie, że odzyska wszystko z nawiązką.

Po zmroku przeszedł obskurnymi ulicami na czele makabrycznego orszaku, nie zwracając uwagi na złośliwy chichot Margravea. Gdy obie trumny spuszczo

do zbiorowego grobu dla biedoty, odwrócił się, stając twarzą w twarz z prześladowcą.

- Oddaj klucze - zażądał. - Bez nich nie dostanę się do mojego kościoła.  
- Pamiętaj o nas, drogi przyjacielu. - Margrave wręczył mu pęk kluczy. -  
Dzisiejsza zaliczka nie wystarczy na długo. Odwiedzisz nas w przyszłym tygodniu?

Truscott kiwnął głową na znak zgody. Niech wierzą, że mają go w ręku. Odszedł, nie oglądając się za siebie, i pomaszerował prosto do domu w Seven Dials. Nie musiał się śpieszyć. Judith została uprzedzona, że jego nieobecność może potrwać nawet kilka dni. W tym czasie rany na twarzy pewnie się zagoją. Przecież wyglądał okropnie. Przerażona mina kochanki potwierdziła jego domysły.

- Co się stało? - krzyknęła Nan, cofając się odruchowo.  
- A jak myślisz? Zostałem napadnięty i obrabowany. Masz pieniądze?  
- Kilka miedziaków. Niewiele mi dajesz.  
- Jest brandy?  
- Wypiłeś ostatnio. Został dzin.  
- Przynieś. I daj mi jeść.

Minął ją i wszedł do środka. Napełnił miednicę wodą i obmył zmasakrowaną twarz. Bolesne zadrapania paskudnie szczypały i piekły, ale po wypiciu pół litra dzinu popadł w otępienie i przestał odczuwać przykre dolegliwości. Zapomniał także o głodzie i odsunął talerz z chlebem i żółtym serem. Zwalił się na łóżko i spał do rana.

Wieczorem następnego dnia spizarnia świeciła pustkami. Zabrakło jedzenia i alkoholu. Truscott kazał wystraszonej Nan iść po zakupy.

- Nic mi nie sprzedadzą, jak nie dam pieniędzy - tłumaczyła potulnie.  
- Weź na kredyt.  
- Co dam w zastaw? Może to? - Sięgnęła po śliczny wazon. Odebrał i odstawił na miejsce, a potem wymierzył jej siarczysty policzek.  
- Okradliby cię tuż za progiem. Są inne sposoby zdobywania pieniędzy.  
- Co mam robić?  
- Jeśli sama nie wiesz, ja ci nie podpowiem. Dobry Boże, za jakie grzechy pokarałeś mnie takimi głupcami? - Rzucił Nan swoje buty. - Weź i zastaw. Jutro się je wykupi.

Układał już plan działania. Judith Aveton jest niezwykle wrażliwa na ludzką krzywdę. Nan pójdzie do niej i poprosi o jałmużnę. Judith z pewnością hojnie ją wesprze. Znowu czuł się pewnie. Nic mu nie groziło. Nan znała go pod fałszywym nazwiskiem.

Następnego dnia Truscott wyprawił kochankę do miasta. Na odchodnym otrzymała dokładne instrukcje. Opisał ze szczegółami, jak wygląda Judith. Zabronił Nan zbliżać się do innych pań, mieszkających w tym samym domu. Wróciła z pustymi rękami.

- Lokaj mnie przepędził. Nie chciał ze mną gadać - tłumaczyła. - Zrobiłam, co mogłam. Nie bij mnie!

- Jutro musisz spróbować ponownie. Rozwścieczony Truscott uświadomił sobie, że jego położenie jest idiotyczne. Bez butów nie mógł ruszyć się z mieszkania.

- Czekać na ulicy i obserwuj drzwi. Podejść do panny Aveton na ulicy. Już ci mówiłem, że łatwo ją rozpoznać: wysoka, chuda, niezbyt elegancka, ale nosi się po pańsku.

- Wczoraj w ogóle nie wychodziła. Długo czekałam przed domem.

- Jutro na pewno gdzieś się wybierze. Spraw się dobrze, dziewczyno, bo tracę do ciebie cierpliwość. Nie szukaj wymówek.

Tej nocy wykorzystał ją brutalnie, a rankiem ledwie żywą wysłał do dzielnicy bogaczy. Czekala za ogrodzeniem domu pani Aveton. Gdy Judith wyszła, Nan od razu ją spostrzegła, ale lękała się podejść. Jaśnie panience towarzyszyła służąca. Zapewne szły na spacer do parku. Po drodze przyłączył się do nich młody dżentelmen. Nan była w rozpacz. Kolejna porażka! Chciała bez świadków przekazać Judith swoją prośbę. Nie śmiała wrócić do Seven Dials z wiadomością, że znów nie udało jej się załatwić sprawy. Szła za jaśnie państwem i służącą, wypatrując sposobności do rozmowy. Gdy Judith po spacerze opuściła park jedynie w towarzystwie pokojówki, Nan zdobyła się na odwagę.

- Panienko, litości! Błagam, niech panienka pomoże.

Judith nie słyszała błagalnego wołania, bo nadal wspominała uroczą godzinę spędzoną w towarzystwie Dana. Zrozpaczona Nan podeszła bliżej i chwyciła ją za rękaw.

- Zabieraj się stąd, natrętna dziewczucho! - syknęła Bessie, spoglądając przez ramię.

Judith wróciła do rzeczywistości i popatrzyła na zabiedzone stworzenie.

- O co chodzi? - zapytała cicho. - Zostaw ją w spokoju, Bessie. Nie wtrącaj się. Sama to załatwię.

- Proszę trzymać mocno woreczek. Ta dziewczucha zerkała na niego - poradziła służąca, nie zważając na rozkaz panienki.

Judith jednym spojrzeniem uciszyła Bessie, która zamilkła, ale z ponurą miną obserwowała czujnie, co się dzieje. Wołała nie przeciągać struny. Uroczą chlebobawczyni rzadko, ale stanowczo okazywała swoje niezadowolenie.

- Błagam, niech mnie panienka wysłucha - odezwała się znowu Nan. - Nie jestem złodziejką, choć u nas straszna bieda. Muszę prosić dobrych ludzi o pieniądze. Nie mogę wrócić do domu z pustymi rękami. Brakuje na jedzenie. Zastawiłam nawet buty Josha. Nie może wyjść, póki ich nie wykupię.

Bessie parsknęła śmiechem, ale Judith słuchała z powagą. W oczach dziewczyny czaił się lęk. Sprawiała wrażenie, jakby lada chwila miała się załamać.

- Mam przy sobie niewiele. - Judith wyjęła z woreczka kilka monet i wcisnęła jej do ręki. - Chodź ze mną do domu, a dostaniesz więcej.

Dziewczyna cofnęła się z przerażeniem.

- Nie wpuszczą mnie. Kiedy spytałam o panienkę, straszili mnie więzieniem.
  - Ach tak - mruknęła Judith, starając się zapanować nad wzbierającym gniewem.
  - W takim razie musimy spotkać się ponownie. Jutro będę w księgarni na Piccadilly. Przyjdź koniecznie.
  - Dziękuję, panienko. O której?
  - Powiedzmy w południe. - Judith popatrzyła na bladą, mizerną twarz. Była tak zaaferowana, że dopiero teraz dotarło do niej znaczenie słów wypowiedzianych przed chwilą przez tę biedaczkę. - Pytałaś o mnie? Skąd wiedziałaś, jak się nazywam?
  - Josh zna wielebnego Truscotta, który bardzo panienkę wychwalał. Josh powiedział, że panienka na pewno wesprze nas w potrzebie.
  - Zobaczymy się jutro - przypomniała z uśmiechem Judith. - Kup żywność, moja droga. Obawiam się, że buty muszą poczekać do jutra.
- Dziewczyna odeszła w pośpiechu, a Judith wróciła do domu. Korciło ją, żeby skarcić lokaja za brak zrozumienia dla nieszczęsnej istoty, proszącej o jałmużnę. Po namyśle postanowiła trzymać język za zębami i nie besztać lokaja. Mieszkała u pani Aveton, nie miała więc prawa wprowadzać w jej domu własnych porządków.
- Wobec Bessie nie miała takich skrupułów, gdy ta wróciła do tematu.
- Buty! Też coś? Ale wymyśliła! Żebracy opowiadają niestworzone historie, panienko. Nie można im wierzyć.
  - Zdziwiasz mnie! - Judith obrzuciła pokojówkę karcącym spojrzeniem. - Moim zdaniem, ta dziewczyna mówiła prawdę, a gdyby nawet trochę zmyślała, nie należy jej za to winić. Chyba zauważyłaś, że wygląda okropnie: chuda, blada, wyczerpana. Snuła się jak cień.
- Bessie zrobiła się czerwona, bo odebrała te słowa jako przytyk.
- A panienka oddała jej wszystkie swoje pieniądze. Przecież widziałam - odparła buntowniczo.
  - Z pewnością uważasz mnie za idiotkę. - Te słowa wypowiedziane typowym dla Judith łagodnym, spokojnym głosem przywiodły Bessie do opamiętania. Uświadomiła sobie, że się zagalopowała. Łzy stanęły jej w oczach, więc pospiesznie otarła je chusteczką.
  - Tylko nie płacz. Odejdź. Nie będziesz mi dzisiaj potrzebna. Tego było dla Bessie za wiele, choć Judith pożegnała ją bez gniewu.
  - Niech mnie panienka nie odprawia! Przecież nie chciałam...
  - Bessie, nie gadaj bzdur. - Judith uśmiechnęła się wreszcie. - Wiem, że z obawy o mnie boczyłaś się na tę nędzarkę. Skąd ci przyszło do głowy, że zamierzam cię odprawić? Powiedziałam tylko, że masz wolne, bo dziś nie będę cię potrzebować.

To wyjaśnienie uspokoiło Bessie. Po jej wyjściu Judith wyrzucała sobie, że była nazbyt surowa. Powinna okazać więcej pobłażliwości pokojówce, która była do niej szczerze przywiązana. Jednak brak zwykłej ludzkiej życzliwości był jedną z niewielu przywar, które budziły w niej gwałtowne oburzenie.

Spotkanie z ubogą dziewczyną mocno ją zaniepokoiło. Czy to nie dziwne, że Charles rozmawiał o narzeczonej ze swoimi parafianami i radził im, żeby do niej zwrócili się z prośbą o jałmużnę? Dysponował przecież datkami wiernych, przeznaczonymi na wsparcie biedoty. Po chwili uświadomiła sobie, że pastora nie ma w parafii, bo czuwa przy łożu chorej matki. Sprawy tej dziewczyny wymagały zapewne szybkiego działania. W przeciwnym razie zająłby się nimi dopiero po powrocie. Wspomnił, że nie potrafi określić, na jak długo wyjeżdża. Dlatego chciał, żeby Judith go wyręczyła.

Uspokojona otworzyła szufladę i przeliczyła schowane tam pieniądze. Co kwartał wypłacano jej odsetki od kapitału, którymi mogła dysponować wedle uznania. Suma ta była prawie nienaruszona. Judith zostawiła sobie kilka monet na niezbędne sprawunki, a okazałych rozmiarów sakiewkę wrzuciła do woreczka. Miała nadzieję, że ta kwota starczy dziewczynie na jakiś czas. Pomyślała o tym jej Joshu i znowu się rozgniewała. Co to za człowiek? Dlaczego nie dba o swoją... Ta biedaczka nie była jego żoną. Judith nie zauważyła obrączki na serdecznym palcu. Mniejsza z tym, czy to krewny, czy tak zwany opiekun. Powinien się o nią troszczyć.

Judith obiecała sobie, że gdy Charles wróci, zaraz rozmówi się z nim i poprosi o interwencję. Ktoś musi przywołać Josha do porządku.

Gdy następnego dnia szła na Piccadilly, nadal myślała o mizernej dziewczynie skazanej na życiową poniewierkę. Dan czekał przy drzwiach księgarni. Na widok Judith błękitne oczy rozświetlił błysk najszczerzej radości.

Już miała się z nim przywitać, gdy zauważyła swoją podopieczną.

- Bardzo proszę, zaczekaj chwilę. Mam tu coś do załatwienia - szepnęła, a potem z miłym uśmiechem zwróciła się do Nan i dyskretnie wręczyła jej wypchaną sakiewkę. - Powinno wystarczyć na twoje najpilniejsze potrzeby. Przyjdź za tydzień. Być może zdołam więcej dla ciebie zrobić.

Ku jej ogromnemu zdziwieniu, Nan wyjęła z kieszeni niewielką karteczkę i wcisnęła jej do ręki.

- Co to jest? - spytała Judith.

- Wiadomość, panienko.

- Od kogo?

- Nie wolno mi odpowiadać na żadne pytania - wymamrotała przerażona dziewczyna. Odwróciła się i zniknęła w tłumie.

- Cóż to za tajemnice? - spytał żartobliwie Dan. - Kim jest ta panienska? Czy przyniosła ci bilecik od nieznanego wielbiciela?

- Nie sądzę. - Judith rozłożyła kartkę. Pismo było niewprawne, styl mierny. Na kartce wyrwanej z kajetu widniało kilka prostych zdań. - Nic z tego nie rozumiem. - Judith podała kartkę Danowi. - Może ty pojdziesz, o co chodzi.

- „Pastor mówi, że ma się pani nie martwić. Dziewczyna nic nie wie, więc jej pani nie wypytuje. Wielebny przyjedzie jutro”. - Dan na głos przeczytał wiadomość. - Masz rację, moja droga. Dziwny ten list. Pastor... Zapewne chodzi o wielebnego Charlesa Truscotta. Dlaczego sam do ciebie nie napisał?

- Nie mam pojęcia. Może lękał się, że miazmaty ospy przeniosą się z kartką?

- Wspomniał, że jest na nie uodporniony, pewnie nie zaraża.

- Owszem, ale jego matka z pewnością tak. - Judith wpatrywała się w tłum, daremnie szukając wzrokiem Nan. - Szkoda, że nie przeczytałam listu, zanim odeszła. Usłyszałabym od niej, co się tam dzieje. Może coś wie o Charlesie i jego matce.

- Obawiam się, że nic byś z niej nie wydobyła. - Dan przyglądał się jej z uwagą. - Czy pismo wydaje ci się znajome? - Żywił podejrzenia co do tożsamości autora listu, ale uznał, że lepiej ich na razie nie ujawniać.

- Nie. Autorem listu jest zapewne niejaki Josh, o którym dziewczyna wspomniała w rozmowie ze mną. Charles go zna. Od niego dowiedziała się o moim istnieniu i postanowiła przyjść pod nasz dom.

- Po co?

- Potrzebowała gotówki. - Judith splonęła rumieńcem.

- I dlatego wręczyłaś jej mocno wypchaną sakiewkę? Moja droga, rzeczą wielbego Truscotta jest rozdzielać jałmużnę z datków parafian.

- Owszem, lecz musiał wyjechać, a sprawa najwyraźniej była wyjątkowo pilna. Dan nie zadowolił się tym wyjaśnieniem, ale wyczuł, że Judith jest wytrącona z równowagi, nie kontynuował więc tematu.

- Po powrocie na pewno się wytłumaczy - uspokoił ją, ukrywając obawy. Przypuszczał, że wielbny ma na sumieniu różne ciemne sprawki, ale nie zdradził się z tym przed Judith. Zdobył się na uśmiech.

- Wchodzimy? - zapytał, biorąc ją pod rękę i wskazując drzwi księgarni. Judith pokręciła głową.

- Nie miej mi za złe, ale zmieniłam zdanie. Straciłam ochotę na kupowanie książek. Odłóżmy to na inny dzień.

Dan domyślił się, że nie stać jej na książkowe sprawunki, bo oddała biednej dziewczynie wszystkie pieniądze.

- Wybierzmy chociaż po jednej. Miałem nadzieję, że przyjmiesz ode mnie w prezencie tom, który najbardziej przypadnie ci do gustu.

- To chyba nie jest dobry pomysł.

- Dlaczego? Książka od starego przyjaciela jako widomy dowód uznania? Nie widzę w tym nic zdrożnego.

- Czym sobie zasłużyłam? - spytała zarumieniona. Wyglądała tak ślicznie, że Dan pragnął wziąć ją w ramiona i namiętymi pocałunkami rozproszyć wszelkie troski, żeby uśmiech powrócił na uroczą twarzyczkę. Gdyby mógł pozwolić sobie na tyle śmiałości...

- Jak to? Lektura twojej powieści sprawiła mi taką radość, że muszę się zrewanżować młodej, zdolnej autorce - odparł z kurtuazją. - Mam nadzieję, że wkrótce zobaczę twoją książkę w witrynie tej księgarni.

- Marzyciel. - Judith się roześmiała. - I pochlebca! Jeśli zacznę zadzierać nosa, to będzie twoja wina.



- Masz prawo do słusznej dumy. Możesz także do woli zadzierać nosa. Zawsze będzie prześliczny. Pięknie dziś wyglądasz. A twój kapelusz to istne чудо.  
- Dan, pleciesz trzy po trzy. Pierwszy raz słyszę, żebyś wygadywał takie bzdury  
- skarciła go, próbując ukryć, jak wielką przyjemność sprawiły jej żartobliwe komplementy. Kapelusz był rzeczywiście udany, choć drobne szczypanki na rondzie podbitym jedwabną satyną nie wzbudziły jej zachwyty. Za to lamówka z leciutkiej jak obłok gazowej wstążki tak pięknie harmonizowała z kolorem nowego spencerka Judith, że Bessie bez trudu namówiła swoją panienkę do kupna nowego kapelusza.

- Z tego wniosek, że dawniej był ze mnie nudziarz bez krzty polotu. Gdzie ja miałem oczy? - kpił z siebie Dan. - Widziałem tylko klejnot, a teraz doceniam także oprawę.

Dyskretna wzmianka o przeszłości wprawiła Judith w zakłopotanie, pospieszenie więc zmienił temat.

- Mam dla ciebie wiadomość. Prudence chciałaby się z tobą zobaczyć. Błagała, żebym cię zaprosił do nas na późny obiad.

- Wydawało mi się, że goście ją męczą. - Judith posłużyła się półprawdą, szukając pretekstu, żeby wymówić się od wizyty. W gruncie rzeczy miała ważniejsze powody, żeby unikać odwiedzin na Mount Street.

- Biedna Prudence została dziś całkiem sama. Elizabeth i Perry pojechali do panny Grantham, a Sebastian jest na ważnym posiedzeniu. Spotyka się z podwładnymi.

- Dan, powinienes z nią zostać.

- Kiedy usłyszała, że wybieramy się do księgarni, nalegała, bym poszedł. Miała nadzieję, że zdołam cię przekonać do wspólnego obiadowania. Bardzo proszę, chodź do nas! Wspomniałem ci wczoraj, że Prudence jest przygnębiona. Najmilszą rozrywką jest dla niej ciekawa konwersacja.

Po chwili zastanowienia Judith doszła do wniosku, że nic jej nie sprawi takiej przyjemności jak wizyta u Wentworthów. Najchętniej od razu poszłaby tam z Danem.

- Masz inne zobowiązania? - spytał zaniepokojony. - Jesteś potrzebna pani Aveton?

Judith szybko podjęła decyzję.

- Wątpię, aby za mną tęskniła - odparła z ironicznym uśmiechem. - Wie, że ilekroć odwiedzam księgarnię Hatcharda, tracę poczucie czasu, spodziewa się mnie więc dopiero za kilka godzin.

Dan rozpromienił się i z radosnym uśmiechem podał jej ramię.

- W takim razie porywam cię, moja droga - oznajmił. - Idziemy piechotą czy mam sprowadzić dorożkę?

- W taki piękny wiosenny dzień wolę pospacerować.

Po niewczasie zdała sobie sprawę, że to nie był najlepszy pomysł. Szli ramię w ramię zatłoczonymi ulicami jednej z najruchliwszych dzielnic Londynu. Lada chwila mogli się natknąć na kogoś znajomego. Pocieszała się myślą, że o tej porze

eleganckie towarzystwo przewraca się na drugi bok, odsypiając wieczorne i nocne zabawy. W dobrym tonie było pokazywać się w mieście dopiero po piątej. Mimo to gdy minęli Piccadilly, zaproponowała, żeby skręcili w lewo.

- Jeśli pójdziemy nieuczęszczanymi zaułkami, szybciej dotrzemy na Mount Street.

Dan nie protestował. Wziął ją pod rękę i równym krokiem ruszyli w głąb Berkeley Street.

- Naprawdę zależy ci na pośpiechu? - Patrzył tak czule, że zrobiło jej się lekko na sercu. - Dla mnie to wielka radość, że z nikim nie muszę dzielić się twoim towarzystwem.

Judith odwróciła wzrok i ze zdziwieniem spostrzegła, że przechodnie spoglądają na nich z przyjaznym rozbawieniem. Zarumieniła się ze wstydu. Pewnie uważają ich za parę. Odsunęła się natychmiast.

- Co się stało? - zapytał.

- Lepiej weźmy dorożkę... Wybacz, Dan. Popełniłam błąd. Nie powinnam się z tobą spotykać.

- Dlaczego? - zapytał, idąc obok niej.

- Ponieważ... jestem zaręczona. Nie wypada, żebyśmy spacerowali sam na sam.

- Towarzyszy nam Bessie. Idzie parę kroków za nami.

- To nieważne - odparła. - Zmieniłam zdanie. Muszę wrócić do domu.

Przystanął i spojrział na nią z powagą.

- Judith, unikaliśmy dotąd rozmów o przeszłości, ale, moim zdaniem, najwyższy czas, żebyśmy sobie wszystko wyjaśnili.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył w kierunku Mount Street. Judith stała nieruchomo jak posąg, zawrócił więc i podał jej ramię.

- Moja droga, doskonale wiesz, że mam rację. Nie możemy w nieskończoność unikać tego tematu.

## Rozdział ósmy

- Chyba masz rację - szepnęła Judith. - Potrzebujemy takiej rozmowy. Niech to będzie ostateczne pożegnanie z widmami przeszłości.

Najcięższym brzemieniem było dla niej przekonanie, że przejrzała intencje Dana. Wiedziała, co od niego usłyszy. Niewątpliwie zamierzał wyznać, że już od dawna jej nie kocha. Do tej pory łudziła się niekiedy, że w głębi serca żywi dla niej uczucia gorętsze niż przyjaźń. Daremnie! Zapewne był zbity z tropu, gdy krygowała się jak podłotek, oblewała rumieńcem albo paplała o przyzwoitości niczym stateczna wdowa.

Weszła za Danem do holu londyńskiej siedziby Wentworthów i pozwoliła się zaprowadzić do biblioteki. Dan wskazał jej fotel, a gdy usiadła, zaczął chodzić z kąta w kąt. Domyśliła się, że nie wie, jak zacząć rozmowę.

- Co chciałeś mi powiedzieć? - spytała w końcu.

- Tak dużo, że życia nie starczy, żeby to wszystko wyrazić słowami. Droga moja, nie chcę przysparzać ci zmartwień, ale...

- Powiedz krótko w czym rzecz - odparła smutno. - Nie mamy tyle czasu, ile ci potrzeba. Za dwa tygodnie wychodzę za mąż.

Podszedł do fotela, ukląkł obok i wziął ją za rękę. - Spójrz mi w oczy - poprosił. - Wiem, że nie jesteś szczęśliwa. Ilekroć wspominasz o ślubie, wydajesz się równie przygnębiona jak sześć lat temu podczas naszego rozstania. Judith uwolniła dłonie i odwróciła głowę.

- To nic. Czuję się tylko zmęczona. Mówiono mi, że takie zmiany nastroju to normalna rzecz u panien, szykujących się do ślubu. W przygotowania trzeba włożyć tyle wysiłku...

Dan uciszył Judith, dotykając palcem jej ust.

- Najdroższa, zapomniałaś, z kim rozmawiasz? Potrafię odgadnąć ukryty sens każdego z twoich spojrzeń i gestów. Byliśmy sobie dawniej wyjątkowo bliscy.

- Byliśmy wtedy bardzo młodzi - szepnęła. - Kiedy wspominam tamte chwile, wydaje mi się, że kierowała nami dziecięca naiwność.

- Wtedy tak nie sądziłaś.

- Owszem, ale minęło wiele lat. Dziś inaczej patrzę na te sprawy. We wczesnej młodości uczucia są wyjątkowo silne. To nie jest właściwy moment na podejmowanie ważnych życiowych decyzji.

- Ty już postanowiłaś, jak ma wyglądać twoja przyszłość - odparł z prostotą Dan - i przy okazji złamałaś mi serce. Najdroższa Judith, przez te wszystkie lata codziennie wyobrażałem sobie, że trzymam cię za rękę. Wędrując po najdalszych krańcach ziemi, stale miałem poczucie twojej obecności.

- Wiesz, dlaczego musiałam...

- Przyjąłem do wiadomości podane przez ciebie przyczyny naszego rozstania, choć mnie nie przekonały. - Dan podniósł się z klęczek i zaczął niespokojnie krążyć po bibliotece.

Judith milczała uparcie.

- Dopiero po niewczasie zrozumiałem, że nasza zażyłość prowadziła donikąd. Cóż mógł ci ofiarować zwykły parweniusz bez majątku?

- Możesz się wybić - szepnęła.

- Dzięki protekcji? Wykluczone! Sam muszę dowieść, ile jestem wart. Nie chcę do końca życia polegać na Sebastianie, będąc u niego na łaskawym chlebie. Nie nadaję się na rezydenta. Ty również nie chciałybyś stale korzystać ze szczodro-bliwości przyjaciół.

- Może to i lepiej, że tak się sprawy ułożyły - odparła z pozoru niefrasobliwie. - Zaprowadź mnie do Prudence.

- Jeszcze nie teraz. Przez wzgląd na dawną przyjaźń poświęć mi chwilę.

Chciałbym po raz kolejny zapytać, czy jesteś szczęśliwa?

- Raczej... zadowolona - odparła półgłosem, unikając jego wzroku.

Dan ostrożnie dotknął ramienia Judith.

- Powiedz mi prawdę! Kochasz tego człowieka z całego serca? Tak jak mnie przed laty? Jeśli tak, to nie powiem więcej ani słowa na ten temat.

Rozdrażniona odtrąciła jego dłoń.

- Nie masz prawa o to pytać! - krzyknęła rozpaczliwie.

- Istotnie, lecz nalegam, żebyś odpowiedziała. Miła moja, nalegam! Przemyśl swoją decyzję, nim będzie za późno.

- Dość! - Uniosła dłoń, żeby go uciszyć. - Obiecałeś się nie wtrącać. Dlaczego miałabym cię słuchać? Czego ode mnie chcesz?

- Zależy mi na twoim szczęściu. Nie spiesz się, daj sobie czas do namysłu.

- Nie mogę. - Judith wstała. - Nie odwołam ślubu.

Daremnie łudziła się nadzieją, że Dan wykorzysta sposobność i oznajmi, że nadal ją kocha, lecz nie doczekała się upragnionego wyznania.

Zmienił się bardziej, niż sądziła. Młody romantyk przekonany, że liczy się tylko miłość, dojrzał i przyjął do wiadomości zasady socjety, w której się obracał, choć nie zamierzał się do nich stosować. Wbrew obyczajom swych rówieśników ani myślał zenić się z posażną panną. Jasno i wyraźnie dał wszystkim do zrozumienia, że zostanie kimś bez niczyjej pomocy.

Judith była inna. Kiedy miała dziewiętnaście lat, z pogardą myślała o małżeństwie z rozsądku. Wtedy liczyła się tylko miłość. Oboje z Danem żywili dla siebie uczucia, które wykraczały daleko poza wzajemne zainteresowanie i doskonałe porozumienie. W tych cudownych dniach, przenikniętych bezmiernym uwielbieniem, ich życie opromieniał blask, za którym daremnie potem tęsknili. Każde spojrzenie Dana, każde jego dotknięcie czyniło świat Judith doskonalszym.

- Dan! - zawołała nagle, ogarnięta rozpaczą, i odruchowo wyciągnęła do niego rękę.

Pragnęła, żeby wziął ją w ramiona. Gotowa była oddać mu siebie i wszystko, co posiada. Zakochana dziewczyna nie może sobie pozwolić na luksus przesadnej dumy, kiedy stawką w grze jest szczęście.

Dan zamarł w bezruchu. Judith nie mogła wiedzieć, że walczył ze sobą, by zwalczyć pokusę. Gdyby uległ, złamałby daną Sebastianowi obietnicę, mimo woli narażając Judith na wielkie niebezpieczeństwo.

- Masz rację - powiedział zdławionym głosem. - Nie będę wracał do tego tematu. Z goryczą pomyślał, że może jej ofiarować tylko płomiennie uczucie. Miała dobre serce i zapewne przyjąłaby go z litości, a przecież duma mu na to nie pozwalała. Na razie mógł tylko czuwać z daleka nad ukochaną istotą, przedkładając jej spokój i szczęście nad własne.

- Prudence czeka. Chodźmy do niej - powiedział cicho.

Ramiona Judith opadły. Utwierdziła się w przekonaniu, że dzisiejsze spotkanie było pomyłką. Dan chciał tylko, żeby odłożyła ślub i dała sobie więcej czasu do namysłu. Na co miała czekać? Nawet gdyby zyskała nowego wielbiciela, z pewnością nie zazna przy nim upragnionego szczęścia. Mówiono jej, że pierwsza miłość to chwilowe zauroczenie, ale z nią było inaczej. Dan stał się tym jedynym. Miała pewność, że nie przestanie go kochać po kres swoich dni.

Dan popatrzył na jej zbolaną twarz i omal się nie załamał.

- Daruj, że sprawiłem ci przykrość - powiedział. - Miałaś rację. Nie trzeba wracać do przeszłości, skoro nie jest w naszej mocy ją zmienić.

Judith najchętniej zostałaby sama ze swoim nieszczęściem. Towarzystwo Dana stało się dla niej wyrefinowaną torturą. Nie mogła jednak w odosobnieniu rozpamiętywać swojej klęski, bo przyrzekła spotkać się z Prudence. Musiała natychmiast zmienić temat, żeby nie poddać się rozpacz.

- Admirał Nelson odpisał na twój list?

- Nie - odparł krótko Dan. - Szczerze mówiąc, nie liczyłem na odpowiedź.

Dawno przestałem wierzyć w cuda.

- I łudzić się nadzieją? - dodała z irytacją Judith. Nieszczęśliwa i zrozpaczona, w końcu straciła cierpliwość i postanowiła wygarnąć mu, co sądzi o takim podejściu do życia. - Wiesz co? Zawiodłam się na tobie. Powinieneś walczyć o swoje i tak długo starać się o posłuchanie, aż je wreszcie uzyskasz. Jedź do Merton. Spróbuj zobaczyć się z admirałem. Co masz do stracenia? - napadła na niego. Smutne oczy znowu rozbłysły. Zdumiała się, widząc, że na twarz Dana powraca uśmiech.

- Oddycham z ulgą, bo widzę, że nie tracisz werwy - wyjaśnił, spoglądając na nią z czułością.

- A ty?

- Już ci mówiłem, że od lat usiłuję zainteresować rozmaite ważne figury swoimi projektami...

- Próbuj nadal. Bądź mężczyzną, nie daj się tak łatwo zniechęcić. Obiecuj mi, że zwrócisz się wprost do admirała Nelsona. Musisz do niego pojechać. - Judith, skupiona na problemach Dana, znowu się ożywiła.

- Poddam się! - zawołał błagalnie i udał, że cofa się jak przed nacierającym oddziałem. - Przyrzekam, że będę ci posłuszny. Zresztą, skoro pragnę coś w życiu osiągnąć, nie mam innego wyjścia, jak tylko pójść za twoją radą.

Poweselał, widząc, że Judith znowu się uśmiecha. Przypominała teraz dziewczynę, którą znał w latach pierwszej młodości.

Judith niepotrzebnie go namawiała, bo sam wcześniej zdecydował, że pojedzie do Merton. Być może słynny admirał nie zechce udzielić mu posłuchania, lecz należało przynajmniej spróbować, bo czas naglił.

Gdy Dan zaproponował, aby Judith przesunęła na później datę ślubu, miał cichą nadzieję, że wkrótce jego projekty zostaną docenione, a wtedy nie będzie za późno na urzeczywistnienie najszybszych pragnień.

Był przekonany, że jeśli zdoła przedstawić admiralicji opracowane wcześniej projekty, na swoim polu zapewne nie będzie miał sobie równych. Powtarzał sobie, że wielu innym ludziom utalentowanym w rozmaitych dziedzinach powiodło się, choć zaczęli od zera. Chętnie wspominał zawrotne kariery wybitnych projektantów oraz architektów, którzy na początku pracowali jako prości terminatorzy.

Skoro im się udało, on także musi postawić na swoim. Uważał, że to jedynie kwestia czasu. Niespodziewanie okazało się jednak, że czekając cierpliwie na uznanie i majątek, traci jedyną sposobność, by zyskać osobiste szczęście. Błagał niebiosa, żeby Judith zgodziła się przynajmniej odłożyć ślub. Miał cichą nadzieję, że nadal coś dla niej znaczy. W przeciwnym razie byłaby wobec niego uprzejma i obojętna, a tymczasem łajała go z ogniem w oczach, gdy sądziła, że on nie chce posłuchać jej rady.

Nie chciał na razie mówić zbyt wiele, żeby nie rozbudzać fałszywych nadziei. To byłoby wobec nich obojga nazbyt okrutne. Ucałował jej dłoń.

- Pozostaniemy przyjaciółmi? - zapytał.

W tym momencie do biblioteki wszedł Sebastian. Jako człowiek dobrze wychowany, nie dał po sobie poznać, jak bardzo zdumiał się, zastając ich sam na sam.

- Zapewne to Danowi zawdzięczamy, że raczyłaś nas wreszcie odwiedzić - powiedział z uśmiechem. - Spadasz mi jak z nieba. Ratunek przyszedł w samą porę, moja droga. Prudence będzie zachwycona.

Wyszli razem do holu i po szerokich schodach wspięli się na piętro, gdzie Prudence miała własny salonik. Leżała na szezlongu, machinalnie kartkując tom, który najwyraźniej ją znudził.

Jak zwykle była zadbana i starannie uczesana. Włosy miała przepasane wstążką, która idealnie pasowała do haftowanego peniuaru z turkusowego muślinu.

- Ślicznie wyglądasz, moja droga! - zawołała Judith. - Dobrze się czujesz?

- Jestem gruba jak beczka - odparła zde gustowana Prudence. - Ciekawe, kiedy znów ujrzę własne stopy.

- Już niedługo. - Sebastian pochylił się i ucałował żonę. - Kochanie moje, obie z Judith z pewnością macie sobie wiele do powiedzenia. Nie obrazisz się, jeśli porwę Dana na kilka minut?

- Macie jakieś sekrety? - Prudence obrzuciła go pytającym spojrzeniem. - Poznamy je?

- Wszystko w swoim czasie. - Sebastian skinął na Dana i obaj pospiesznie opuścili salonik.

- Mam męża okrutnika. - Prudence uśmiechnęła się do Judith. - Nie zważa na to, że opowieść pełna tajemnic byłaby dla mnie znakomitą rozrywką. Na szczęście mogę się teraz cieszyć twoim towarzystwem, nie będę więc narzekać.

- To dla ciebie trudne tygodnie - powiedziała serdecznie Judith. - Mogę ci pomóc?

- Poduszka, którą podłożono mi pod plecy, zsunęła się nieco. Popraw ją, proszę.

Judith objęła Prudence ramieniem i umieściła poduszkę na właściwym miejscu. Z bliska spostrzegła krople na skórze przyjaciółki.

- Gorąco dzisiaj. Mam ci przetrzeć twarz?

- Owszem, jeśli możesz - odparła cicho Prudence. - Jestem taka znużona i okropnie drażliwa, moja droga. Dziwię się, że Sebastian ze mną wytrzyma.

- Doskonale cię rozumie. - Judith nalęła wody do miednicy i zmoczyła ręcznik. - Sama wiesz, że jesteś prawdziwym światłem jego życia.

- Mój blask ostatnimi czasy nieco przygasł - zauważyła kąpiąc Prudence, która w błogosławionym stanie nie straciła poczucia humoru. Westchnęła, gdy Judith chłodnym ręcznikiem przetarła jej czoło. - Posiedzisz przy mnie?

- Naturalnie, skoro sobie życzysz - odparła Judith, przemywając ostrożnie twarz i szyję przyjaciółki.

- Bardzo proszę. Jesteś taka spokojna i zrównoważona. Nie roztkliwiasz się nade mną, nie zamartwiasz się i nie zadajesz głupich pytań. Nie znoszę tej nerwowej krzątaniny.

- To zrozumiałe - przyznała Judith. - Gdy marnie się czujemy, nie ma nic gorszego od przesadnie troskliwej opieki.

- Rzecz jasna, mnie nic nie dolega. Po prostu oczekuję dziecka. - Prudence uśmiechnęła się ironicznie. - Jest dużo rzeczy, którymi powinnam się zająć. Irytuje mnie, że tyle czasu spędzam na szeszlongu, oddając się jałowym rozmyślaniom.

- W takim razie przestań zaprzętać sobie głowę sprawami, na które nie masz wpływu - odrzekła Judith zniecierpliwiona jej marudzeniem. - Co więcej, wyobraź sobie, że możesz mi pomóc, nie wstając z posłania. Wystarczy, że będziesz leżeć i słuchać.

Prudence westchnęła przeciągle.

- Nie łudzę się, że poprosisz mnie o radę. Obie z Elizabeth obiecałyśmy przecież nie komentować twoich zaręczyn.

- Nie w tym rzecz. Zapewniam, że w tej kwestii nie mam żadnych wątpliwości. Chodzi o inną sprawę...

- Znów jakaś tajemnica?

- Owszem, w pewnym sensie - przyznała nieco zakłopotana Judith. -

Chciałabym, żebyś posłuchała fragmentu mojej książki i zechciała wyrazić swój sąd.

- Mówisz o powieści? - Prudence otworzyła szeroko oczy i natychmiast usiadła prosto. - Wreszcie na serio zabrałaś się do pisania? To wspaniała nowina, kochanie! Od dawna cię do tego namawialiśmy. Przyniosłaś rękopis?

Judith roześmiała się i dostała rumieńców.

- Owszem. Rzecz jasna, nie jestem do tego stopnia zachwycona swoim dziełem, żeby stale nosić je przy sobie. Dan chciał przeczytać kilka rozdziałów i dlatego wczoraj przyniosłam mu rękopis. Oczywiście nie rozmawiałam o swoim pisaniu z...

- Z nikim innym? - wpadła jej w słowo Prudence. - Bez obaw, kochanie. Twoja tajemnica nie wyjdzie poza krąg najbliższych przyjaciół. Muszę wyznać, że pochlebiłaś mi tym wyznaniem i prośbą o wyrażenie opinii.

- Być może cała ta pisanina jest stratą czasu - zastrzegła się Judith i nagle spoważniała. - Nie potrafię ocenić własnego tekstu. Danowi się podobał, ale nie wykluczam, że jego pochwały wynikają jedynie z uprzejmości.

Prudence zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Nie masz racji. Moim zdaniem, gdyby rzecz nie przypadła mu do gustu, powiedziałby o tym szczerze i otwarcie, nawet gdyby przeczuwał, że nie spodobała ci się jego uwaga. Zbyt wiele masz zdrowego rozsądku, żeby oczekiwać próżnych zachwytności zamiast szczerzej krytyki.

- Cieszę się, że tak uważasz. Istotnie nie jestem łasa na pochlebstwa. Wolę, żeby mi wskazano słabe punkty. Dla debiutantki to wielka pomoc.

- Ależ ty wcale nie jesteś debiutantką! Piszesz, odkąd jesteś w stanie utrzymać w ręku pióro.

- Owszem, lecz to były młodzieńcze wprawki...

- A humoreski, wzbudzające salwy śmiechu? Czy powieść jest równie zabawna?

- Może sama zechcesz to ocenić? Jeśli czujesz się na siłach wysłuchać paru rozdziałów, chętnie przeczytam ci je na głos.

- Kochana Judith, niebiosy mi ciebie zsyłają! Z radością zostanę krytykiem literackim. Cóż mnie teraz obchodzą inne sprawy? Dzięki tobie odżywiam, kochanie moje. Błagam, czytaj!

- Żadnych pochlebstw! - skarciła ją surowo Judith. - Spodziewam się, że będziesz mi pomocna, a zarazem równie bezwzględna jak Perry, który mówi prosto z mostu, co mu leży na wątrobie.

- Obiecuję. Sebastian poświadczy, że potrafię być wymagająca. Najbliżsi mają do mnie świętą cierpliwość.

Prudence opadła na poduszki. Minę miała tak zabawną, że Judith wybuchnęła śmiechem.

- Droga autorko, więcej powagi. Nie dam się obłaskawić - strofowała ją przyjaciółka.

Judith usłuchała i sięgnęła do woreczka po rękopis. Kartkowała go przez chwilę, szukając rozdziału, który wydawał jej się szczególnie udany. Zaczęła czytać, umiejętnie modulując głos.

Prudence słuchała w skupieniu, powstrzymując się od uwag. Wkrótce Judith usłyszała tłumiony chichot. Zachęcona reakcją słuchaczki, kontynuowała lekturę, aż dobiegł ją głośny śmiech.

- Nie licz na to, że kiedykolwiek zaproszę cię na bal, ty mała spryciaro. Przez cały czas siedzisz w kącie jak trusia i udajesz niewiniątko, a tymczasem widzisz nas wszystkich jak na dłoni i bez trudu zaglądasz do naszych umysłów i serc.

- Nie opisałam tu ciebie ani nikogo z przyjaciół - broniła się Judith. - Nie jestem chyba w swoich sądach nazbyt okrutna. Nie chciałam nikogo stawiać pod pręgierzem. Chodzi o to, że czasami mam wrażenie, jakbyśmy... Mówię o



wytwornym towarzystwie. Nasze życie przypomina pianę zebraną na powierzchni prawdziwego życia. Gdyby zniknęła, praktycznie nic by się nie zmieniło.

- Nie wolno ci tak mówić. - Prudence spoważniała. - Naszym zadaniem jest dążenie do doskonałości, która objawia się niekiedy dość nieoczekiwanie. Weźmy, na przykład, księcia regenta. Jest ekscentrykiem, nie zna umiaru, na domiar złego to bigamista i fałszywy przyjaciel. Jednak ma swoje osiągnięcia i rozliczne atuty. Od dziesiątków lat nie było w rodzinie królewskiej osoby równie zainteresowanej kulturą i obdarzonej tak wyrafinowanym gustem.

- Owszem, ale...

- W tej dziedzinie świeci przykładem i ma dobry wpływ na wyższe sfery. Rozejrzyj się po tym domu, popatrz na inne siedziby. W Anglii zapanowała moda na wytworność i dobry smak. Rzemiosło osiągnęło nieznanę dotąd wyższość. Ważną dziedziną sztuki stał się wystrój wnętrz. Stroje są wysublimowane, po prostu zachwycające. Ale to nie wszystko. Cała nasza egzystencja nabrała blasku... Nie wiem, jak to nazwać. Może sztuką życia? Przyznasz zapewne, że nie brak mu urody.

- Owszem, ale czy to wystarczy, żeby nadać sens mijającym dniom?

- Skądże! - Prudence spojrzała jej prosto w oczy. - Jak myślisz? Dlaczego jestem taka marudna? Z powodu ciąży? Nieprawda. Znam dobrze ten stan i cieszę się, że mogę rodzić Sebastianowi nasze pociechy. Przez cały czas towarzyszy mi jednak świadomość, że wokół nas jest tyle ludzkiej krzywdy. Zainicjowałam pewne działania, które mają doprowadzić do poprawy warunków pracy w fabrykach włókienniczych na północy, a zwłaszcza tam, gdzie zatrudnia się dzieci. Teraz czuję się bezużyteczna.

- Po połogu wrócisz do tej działalności. Ja również chciałabym pomagać bliźnim.

- I dlatego... Wybacz, że jestem taka obcesowa, ale zastanawiałam się, czemu postanowiłaś wyjść za pastora.

- Mam nadzieję, że będę mogła wiele zdziałać - odparła przyjaźnie Judith. - Wiem, że nie lubisz Charlesa Truscotta, ale przyznaj, że słabo go znasz. Swoim życiowym celem uczynił niesienie pomocy ubogim parafianom.

Zajęci rozmową mężczyźni, siedzący w bibliotece piętro niżej, nie podzielali tej opinii.

- Masz nowe wiadomości? - spytał niecierpliwie Dan. Ledwie udało mu się zaczekać, aż znajdą się poza zasięgiem uszu ciekawskiej służby.

- Tak. Dowiedzieliśmy się kilku rzeczy. Spotkałem się z moim agentem w kawiarni, bo uznałem, że to najlepsze rozwiązanie. - Sebastian rzucił Danowi ostrzegawcze spojrzenie. - Mam nadzieję, że wszystko, co tutaj usłyszysz, zachowasz dla siebie.

- Naturalnie. Powiedz mi wreszcie, czego się dowiedziałeś.

- Truscott ponownie odwiedził parafię St Giles. Spędził dzień w jednym z tamtejszych domów. Wyszedł, żeby poprowadzić ceremonię pogrzebową.

- Przecież to nie jego teren. Ma parafię w innej dzielnicy.

- Owszem. Sytuacja była nietypowa, ale trudno uznać, żeby postąpił niewłaściwie. Zastanowiło mnie natomiast, że wśród żałobników znalazł się mężczyzna doskonale znany naszemu człowiekowi. Nazywa się Dick Margrave.

- Ty również o nim słyszałeś?

- Owszem, bo zyskał sobie złą sławę. To znany fałszerz. O włos uniknął stryczka. Miał zostać deportowany do kolonii karnej, ale zniknął.

- Nasz wielebny obraca się w dziwnym towarzystwie - zauważył Dan.

- To nie wszystko. Truscott postawił kołnierz płaszcz, ukrywając twarz, ale podczas modłów nad grobem musiał ją odsłonić. Wyglądał na mocno pobitego.

- Porachunki przestępców. Szkoda, że się nawzajem nie pozabijali. Byłoby o paru łotrów mniej.

- Wyciągasz pochopne wnioski, Dan.

- Gdyby Truscott został napadnięty, to zamiast przesiadywać w tej speluncie i grzebać przestępców, jak najszybciej zawiadomiłby o incydencie odpowiednie władze.

- To prawda, że jego postępowanie wydaje się osobliwe. Mój człowiek na próżno usiłował sprawdzić, kim byli dwaj zmarli. Na grobach biedoty brak nazwisk.

- Mógł wypytać żałobników.

- Mylisz się. Margrave miał oko na całą trójkę. Jest bardzo nieufny wobec obcych. Poza tym pewnie rozpoznałby naszego człowieka. To charakterystyczna postać.

- Zastanawiam się, na co czekamy. Skoro Margrave to łotr spod ciemnej gwiazdy, trzeba go złapać i oddać w ręce stróżów prawa.

- W ten sposób stracilibyśmy jedyną szansę zdemaskowania Truscotta. Nie należy spieszyć się z aresztowaniem fałszerza. Trzeba poczekać, aż potwierdzą się nasze domysły. - Sebastian zamilkł na chwilę. - Gdy Truscott opuścił żałobników, udał się do domu w Seven Dials.

Dan przyjrzał się uważnie swojemu rozmówcy.

- Ten klecha wydaje się podejrzany, co? - spytał prosto z mostu. - Opowiem ci ciekawą historię.

Przedstawił krótko spotkanie, które nastąpiło tego dnia na Piccadilly. Opisał dokładnie mizerną dziewczynę, która zaczepiła Judith i wręczyła jej zagadkową wiadomość.

- Przyznasz chyba, Sebastianie, że sprawa jest podejrzana. Dziwne wydaje się przede wszystkim, że Truscott rozmawiał o Judith z tymi biedakami, prawda? Wspieranie ubogich to jego zajęcie. Poza tym dlaczego w takiej formie przekazał wiadomość o swoim powrocie? Nie mógł sam napisać listu? Po co wysługiwał się półanalfabetą? Muszę przyznać, że mnie się to wszystko nie podoba.

Sebastiana ostatnie wieści jeszcze bardziej zaniepokoiły, lecz wolał się z tym nie zdradzać. Tajny agent prawdopodobnie wpadł na trop grubszej afery, a przeszłość Margrave'a budziła poważny niepokój. Sebastian od dawna wiedział, że to znany fałszerz, ale zaniepokoił się nie na żarty, gdy uświadomiono mu, że

długa lista przestępstw dokonanych przez tego łotra obejmuje również wymuszenia, napady z bronią w rękę, a zapewne i morderstwa.

Co łączyło go z Truscottem? Kim jest dziewczyna, która rozmawiała z Judith na ulicy i przekazała jej wiadomość?

- Muszę przyznać, że sam jestem poważnie zaniepokojony - odparł z namysłem i długo przyglądał się wytrąconemu z równowagi Danowi. Nie chciał przysparzać mu dodatkowych powodów do zmartwienia i po chwili zastanowienia dodał: - Nie można wykluczyć, że jesteśmy nadmiernie podejrzliwi. Jeśli Truscott został napadnięty, z pewnością chce odczekać kilka dni, żeby nie straszyć Judith widokiem mocno pokierszowanej aparycji.

- Daruj, Sebastianie, ale nie przekonują mnie twoje wyjaśnienia. Jestem pewny, że najpierw pobił się z tamtymi obwiesiami, a potem zniknął w swojej kryjówce, żeby przeczekać trudne chwile. Moim zdaniem, sam napisał tę dziwną wiadomość.

- Nie wykluczam, że masz rację - przyznał Sebastian pojednawczym tonem. - Nawet gdyby tak było, nie widzę w tym znamion przestępstwa. Proponuję, żebyśmy przerwali dyskusję i wrócili do naszych pań.

- Ale co dalej? Nie zamierzasz nic zrobić? - Dan zerwał się na równe nogi. - To mi się w głowie nie mieści! Judith jest w poważnym niebezpieczeństwie...

- Na razie nic jej nie grozi. Jeśli nasze podejrzania są uzasadnione, Truscottowi będzie zależało, aby ślub odbył się w ustalonym terminie. Nie robi niczego, co mogłoby stanowić pretekst do odłożenia ceremonii. Niebezpieczeństwo groziłoby Judith, gdyby zerwała zaręczyny. Rozumiesz, do czego zmierzam?

- Chcesz mi dać do zrozumienia, że nie powinienem jej odwozić od ślubu? - Dan poczerwieniał ze złości.

- Owszem. Nalegam, żebyś tego nie robił - odparł rzeczowo Sebastian. - Nie chcę cię straszyć, ale jeśli nie mylimy się co do Truscotta, ten człowiek z pewnością nie pozwoli, by cenna zdobycz wymknęła mu się z rąk. Sam byłeś świadkiem, jak łatwo jest obcej osobie podejść do Judith i wciągnąć ją w rozmowę. Chodzi po Londynie praktycznie bez opieki. W razie czego sama Bessie nic nie zdołała.

Dan nagle pobladł i nerwowo przełknął ślinę.

- Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, że Truscott planuje porwanie!

- Nie wiemy, ale pewne ryzyko istnieje, trzeba więc się zabezpieczyć.

- W takim razie musimy ją natychmiast ostrzec.

- Ani mi się waź! - rzucił ostro Sebastian. - Czy Judith nadal zdecydowana jest poślubić Truscotta?

Zasępiiony Dan w milczeniu kiwnął głową.

- To dobrze - ciągnął Sebastian. - Na razie to solenne postanowienie jest dla niej najpewniejszą gwarancją bezpieczeństwa. Natomiast gdyby pastor zaczął podejrzewać, że nabrała wątpliwości, nie ręczę za konsekwencje.

Z przykrością mówił o tym Danowi, bo wiedział, co się dzieje w jego sercu. Lata mijały, a ten chłopak nadal świata nie widział poza swą pierwszą miłością. Mimo

zapewnień Prudence Sebastian nie był pewny, czy Judith jest równie stała w uczuciach.

- Chyba się mylisz, najdroższa - tłumaczył żonie. - Pytałaś ją?

- Ależ skąd! - odparła, tuląc do policzka jego dłoń. - Po co? Wystarczy popatrzeć na nich, kiedy są razem.

- Jesteś niepoprawną romantyczką. - Sebastian całował jej włosy. - Jeśli to prawda, Dan powinien się natychmiast oświadczyć. Póki Judith nie wyszła za mąż...

- On tego nie zrobi.

- Dlaczego? - Sebastian był szczerze zdumiony.

- Naprawdę nie rozumiesz? Chodzi o jej majątek, kochanie. Znasz Dana. Harda dusza. Tyle razy proponowałaś, że zabezpieczysz mu przyszłość, i za każdym razem spotkałaś się z odmową.

Sebastian zmarszczył brwi i sposepniał.

- Racja. Jesteśmy zgodni we wszystkich sprawach prócz tej jednej. Co za uparciuch. W tym wypadku powinien jednak być rozsądniejszy. Chodzi przecież o szczęście dwojga ludzi.

- Nie udało mi się go przekonać. - Prudence wyraźnie posmutniała.

Chmurna mina żony była dla Sebastiana najsilniejszym bodźcem do działania. Postanowił zbadać tę sprawę, choć początkowo uważał, że powinien zachować stosowny dystans. W miarę jak się w nią zagłębiał, inne przesłanki utwierdzały go w przekonaniu, że Truscott to mocno podejrzane indywiduum. Podziwiał kobiecą intuicję. Prudence i Elizabeth od razu wyczuły, że pastor nie jest człowiekiem wartym zaufania. Sebastian był zdecydowany zdekonspirować tego krętacza, ale się z tym nie zdradził. Gdy wszedł do pokoju żony, twarz miał pogodną, jakby nie ciążyły mu na sercu żadne troski.

Ucieszył się na jej widok, bo od razu poznał, że jest rozbawiona. Obdarzyła go czarującym uśmiechem, a w oczach migotały figlarne iskierki.

- Jak samopoczucie? Chyba lepsze? - spytał żartobliwie. - Co znowu wymyśliłaś?

- Nie ja, tylko Judith. Czy dasz wiarę, że pod niewinną powierzchownością i pozorami stateczności kryje się przewrotna ironia i wyjątkowe poczucie humoru?

- Mnie to nie dziwi. Dan również nie dał się zwieść. - Sebastian zerknął na rozrzucone karty rękopisu i udał, że drży ze strachu. - Obawiam się, drogi chłopcze, że zostaliśmy opisani. Ta młoda dama sprawiła, że jesteśmy teraz przyszpileni do tych stronice jako interesujące okazy rodzaju ludzkiego.

Judith spokojnie układała rozrzucone kartki papieru.

- Jak możesz tak mówić? - strofowała łagodnie Sebastiana.

- Doskonale wiesz, że prawda jest inna.

- A co? Nie uważasz nas za ciekawe okazy? - Sebastian obruszył się kpiąco i popatrzył na Dana. - Jestem zdruzgotany.

- Dostyc, najdroższy. Zabraniam kpic z Judith. Nie zdajesz sobie sprawy, że ja tu ciężko pracuję. Jestem teraz krytykiem literackim.

- Zawsze miałaś do tego smykałkę - dowcipkował rozbawiony Dan. - Ze wszystkich, których znam, jesteś najsurowsza. Co więcej, sprzeciwiasz się obiegowym sądom. Moim zdaniem, całkiem się pograżyłaś, gdy na wieczorku u lady Denton przedstawiłaś swoje poglądy na twórczość Aleksandra Pope'a.

- Razi mnie jego górnolotny styl. Poproszono, żebym wyraziła swoją opinię, więc powiedziałam, co myślę. Miałam kłamać?

- Uchowaj Boże! - Sebastian usiadł obok niej na szezlongu.

- Zejdiesz do jadalni na obiad, najdroższa?

- Wielkie nieba! Na pewno wszyscy umieracie z głodu. Za dziesięć minut przyłączę się do was. Zadzwoń na Dutton, kochany. Niech tu przyjdzie. Sebastian spełnił jej prośbę, a następnie wyprowadził Dana i Judith z pokoju. Gdy szli korytarzem, wziął ją pod rękę.

- Co myślisz o Prudence, moja droga? Dzisiaj samopoczucie chyba jej dopisuje. Jak sądzisz, Dan?

Judith spojrzała na ukochanego. Dech zaparło jej w piersiach, gdy pochwyciła dobre, łagodne spojrzenie błękitnych oczu.

- Czy mogło być inaczej? - odparł przyciszonym głosem. - Nasza Judith posiada niewątpliwe atuty, które trudno nazwać. .. - Poczuł na sobie wzrok Sebastiana i zaraz umilkł.

Tego dnia towarzystwu zebranemu przy stole dopisywał humor. Kucharz Sebastiana, który od wielu tygodni różnymi przysmakami usiłował pobudzić apetyt jaśnie pani, miał niełatwe zadanie. Był świadomy, że na kobietę w odmiennym stanie sam widok potraw działa niekiedy odstraszająco, przyrządzał więc dania wyjątkowo lekkie, pożywne i świeże.

Misy z wymyślnymi sałatkami otaczały lśniąca szynkę i tace z plastrami wędzonej kaczki. Były też apetyczne medaliony z kurczaka, delikatne kluseczki, niewielkie pulpety rybne, a na deser lekki jak mgła pomarańczowy suflet oraz galaretki owocowe.

Sebastian uśmiechnął się lekko. Zwykle jadał o tej porze zimne mięso i owoce. Dziś odpowiednio wcześniej oznajmił Prudence, że jest okropnie głodny, czym ją ucieszył. Zaraz uśmiechnęła się do niego po raz pierwszy od wielu dni. Nie protestowała, gdy zadysponował obfity posiłek, a podczas obiadu jadła z apetytem.

Po obiedzie Sebastian odprowadził Judith na bok. Miał w głowie pewien plan, który wymagał dopracowania.

- Prudence rozkwita przy tobie, moja droga - rzekł do Judith. - Dziś jest całkiem odmieniona. To dla mnie wielka radość, kiedy widzę, że znów jest sobą.

- Moim zdaniem, nie masz powodów do obaw - odparła z uśmiechem. - Podczas obiadu miała znakomity apetyt. - Pierwszy raz od kilku tygodni - odparł smutno.

- Martwię się o nią, choć nie daję tego po sobie poznać.

Judith spojrzała na niego z jawnym niepokojem.

- Twierdzi, że nie jest chora.  
- Owszem, lecz okropnie się nudzi. Łaknie mądrej rozrywki i ciekawej rozmowy. Dzięki tobie mogła się dziś nacieszyć jednym i drugim - odparł Sebastian.  
- Nie powinno się tłumaczyć jej żywotności. Zwykle wprost kipi energią i sypie pomysłami jak z rękawa. Ostatnie tygodnie były dla niej bardzo trudne - tłumaczyła Judith.  
- Moja droga, jestem tego świadomy. Bardzo proszę, zostań u nas kilka dni. Rzecz jasna, nie mam prawa nalegać, żebyś przyjęła zaproszenie. Wkrótce twój ślub. Powinnaś osobiście wszystkiego dopilnować, ale będę wdzięczny, jeśli zastanowisz się nad moją propozycją.  
- Chętnie spędziłabym u was trochę czasu - odparła zasmucona - ale jutro wraca Charles. Na pewno nas odwiedzi, żeby się przywitać, powinnam więc czekać na niego w domu.  
- Naturalnie. Wybacz, że okazałem się taki samolubny, przedkładając swoje troski nad twoje potrzeby.  
Sebastian zmienił temat. Nie zamierzał forsować pomysłu i ponawiać zaproszenia, bo wiedział, że Judith przez wzgląd na przyjaźń dla Prudence znajdzie sposób, żeby spędzić u nich kilka dni. Dzięki temu przez jakiś czas przyjaciele będą ją mieć na oku. Sebastian zdawał sobie sprawę, że sytuacja zmienia się jak w kalejdoskopie. Stawał się coraz bardziej podejrzliwy wobec Truscotta i jego kompanów.

## Rozdział dziewiąty

Truscott podniósł obolałą głowę i rozejrzał się po pokoju. Był sam.  
- Nan! - wrzasnął. Chwycił but i cisnął nim o drzwi. Dziewczyna natychmiast przybiegła.  
- Czego chcesz, Josh? - spytała.  
- Kup mi piwa! Szybko! - Popatrzył na jej twarz i skrzywił się z niesmakiem. - Co z tobą? Na Boga, paskudnie dziś wyglądasz.  
- Bo mnie zbiłeś. - Dotknęła spuchniętego policzka i syknęła z bólu.  
- Niewątpliwie zasłużyłaś sobie na to. - Nie pamiętał, kiedy ją uderzył, ale nie dbał o to. Dobrze zrobił. Kobiety należy trzymać krótko.  
- Wszystko odbyło się tak, jak kazałeś. Tamta dama dała mi pieniądze.  
Truscott obrzucił ją groźnym spojrzeniem, natychmiast więc uciekła.  
Gdy sączył piwo, z wolna rozjaśniało mu się w głowie. Pogratulował sobie znakomitego pomysłu. Dobrze uczynił, każąc Nan zwrócić się do Judith z prośbą o wsparcie. Miał teraz dość pieniędzy na opędzenie najpilniejszych wydatków. Co więcej, niedawna wyprawa utrzymania dostarczyła mu cennych wiadomości, które za jakiś czas mogły się okazać na wagę złota.

- Przynieś lustro! - polecił Nan.

Oglądając z bliska swoje obrażenia, stwierdził, że większość ładnie się goi. Tylko jedna szrama na policzku okazała się tak głęboka, że z pewnością blizna pozostanie mu na całe życie. Fioletowe siniaki wokół ust i nosa zaczynały blednąć. Truscott miał nadzieję, że następnego dnia będzie wyglądał znacznie lepiej. Wymyślił już stosowne usprawiedliwienie.

Nieco uspokojony zaczął się zastanawiać nad przyszłością. Musiał usunąć z drogi matkę i Margrave'a, żeby cieszyć się w spokoju zdobytym majątkiem. Powinien także zadbać o reputację. Zapowiadał się na gwiazdę jednego sezonu. Jeśli nie chce, żeby jego sława przygasła, musi piąć się w górę i w swej profesji osiągnąć szczyt powodzenia. Było nim głoszenie kazań w królewskiej kaplicy pałacu St James.

Po mistrzowsku przekazywałby koronowanym i panującym słowo boże. Niech otyły książe regent tenorowym głosem komentuje do woli jego słowa i gesty, choćby nawet podczas nabożeństwa. Mniejsza z tym. Najważniejsze, żeby wraz z najbliższymi przebywał w królewskiej kaplicy, gdzie prawd wiary będzie nauczać Charles Truscott.

Czuł, że ma w sobie niezwykłą moc, która pozwala mu zapanować nad każdą publicznością. Uśmiechnął się do siebie, bo przemknęło mu przez myśl, że w tym wypadku należałoby raczej mówić o kongregacji wiernych, ale odprawiając nabożeństwo, czuł się jak aktor na scenie. Zmarkotniał, gdy przed oczami stanęła mu znowu postać fałszerza. Nie miał co marzyć o kaznodziejskich sukcesach na królewskim dworze, póki definitywnie go nie usunie.

Zastanawiał się, jak unieszkodliwić drania, gdy spostrzegł, że przy łóżku stoi Nan i nerwowo mnie w rękach chusteczkę.

- Czego chcesz? - spytał zniecierpliwiony.

- Potrzebuję pieniędzy, Josh.

- Dostałaś na jedzenie i trunki. Nic więcej nam nie potrzeba.

- A nasze dziecko, Josh? Nie mam z czego zapłacić kobiecie, która wzięła małą na wychowanie.

- To nie moja sprawa. Kazałem ci pozbyć się brzucha.

- Racja, ale kiedy się zorientowałam, było już za późno. Stara pani Gisburn nie chciała mnie tknąć...

- Nic dziwnego! Bała się, że u niej wykitujesz.

- O ja nieszczęśliwa! Wolałabym nie żyć! - Nan zalała się łzami.

- Przestań się mazać. - Truscott rzucił kochance monetę i zmierzył ją pogardliwym spojrzeniem. Gdy bracia przywieźli ją ze wsi, była pulchna i rumiana. Dorodna dziewczyna mogła się podobać. Bracia byli tego świadomi i mieli nadzieję, że sporo zarobią, kupcząc wdziękami siostry. Truscott był jej pierwszym mężczyzną. Teraz uważał, że to nie był dobry interes. Po porodzie Nan wychudła i zmizerniała, jakby uszło z niej życie. Stała się bierna, smutna i apatyczna. Czas na zmianę, pomyślał Truscott. Hożych dziewcząt nie brakowało. Powinien się szybko zakrzętnąć.

Utwierdził się w tym przekonaniu, gdy znów wspomniała o dziecku.

- Josh, pozwól mi sprowadzić tu małą. Nie wierzę tej babie z Lambeth. Koszta wychowania są niewielkie. Dziecko ma zaledwie kilka tygodni. Chętnie sama się nią zajmę. Obiecuję, że będzie cichutko.

- Sprowadź tu małą, to ci ją uciszę.

Nan od razu pojęła zawołaną groźbę i cofnęła się przerażona.

- Przecież to jest twoja krew! Jak możesz być taki okrutny? Nie masz serca?

Chciałam, żeby tu ze mną zamieszkała, bo kiedy ciebie nie ma, jestem sama jak palec. Od paru dni nawet bracia do mnie nie zagląдают.

- Pewnie mają własne kłopoty - odparł z udawaną niefrasobliwością.

- Dałeś im robotę, prawda?

- Nic z tego nie wyszło - mruknął. - Idź do Lambeth, jeśli chcesz.

Odczekał, aż drzwi zamkną się za kochanką, i obejrzał wyjściowy strój. Z zadowoleniem stwierdził, że Nan wyczyściła gąbką wszystkie plamy, które powstały w czasie jego przymusowego pobytu w zatęchłych i brudnych spelunkach. Wcześniej przezornie zdjął koloratkę oraz inne oznaki duchownego stanu. Podczas odwiedzin w Seven Dials nie afiszował się ze swoją profesją i Nan nie miała pojęcia, że jest utrzymanką pastora.

Zakonotował sobie w głowie, że nim odwiedzi Judith, powinien zażyć kąpieli i zmienić ubranie, chociaż nie sądził, by narzeczona przejęła się jego niedbałym strojem i ogólnym zaniedbaniem. Prawdopodobnie wcale nie zwróciłyby na to uwagi. Nie potrafił nigdy zgadnąć, o czym myśli. Wymykała mu się, jakby żyła w swoim własnym świecie, który był dla niego niedostępny. Obiecał sobie, że to się zmieni. Po ślubie harda panna wróci do rzeczywistości.

Podniesiony na duchu tą myślą zaczął się zastanawiać, jak unieszkodliwić Margrave'a. Doszedł do wniosku, że jedyny sposób to uciszyć go na zawsze.

Postanowił, że sam się tym zajmie. Sprawa była zbyt poważna, by wysługiwać się innymi.

Układał właśnie plan działania, gdy do pokoju weszła Nan. Oczy miała czerwone od płaczu.

- Nie rycz, głupia! - ofuknął ją gniewnie. - Jestem głodny. Zrób mi coś do jedzenia.

Po raz pierwszy odkąd się poznali, Nan go nie posłuchała. Zamiast biec do kuchni, powiedziała błagalnym tonem:

- Wysłuchaj mnie, Josh! Nasza córeczka źle wygląda. Podejrzewam, że ten babsztyl ją głodzi. Poza tym nie ufam pani Daggett.

- Przecież znalazła ci mamkę.

- Owszem, ale ta kobieta karmi kilkoro dzieci. Wątpię, żeby miała dość pokarmu dla wszystkich. Nie zastałam dwojga z maleństw, które widziałam przed tygodniem.

- Daggett nie może opiekować się nimi całe lata. Dla każdego szuka odpowiedniej rodziny.

- Wcale... nie jestem tego pewna. Jej sąsiadka twierdzi, że nimi handluje.



-I co z tego? Kto kupi, ten wychowa i będzie miał z berbecia pożytek.

- Nie jestem pewna, czy wszystkie są sprzedawane. W zeszłym tygodniu z rzeki wyłowiono dwoje małych dzieci.

- Niemowlęta umierają z przyczyn naturalnych - odparł zniecierpliwiony Truscott. - Tej Daggett nie stać na opłacanie pogrzebów, więc radzi sobie, jak potrafi. - Wcale się nie zdziwił nowiną, która tak wstrząsnęła Nan. Jeśli opiekunowie nie płacili za wychowanie dzieciaka, pani Daggett w sposób prosty i skuteczny pozbywała się kłopotu. Wiedział o tym i nie bez ukrytych intencji wysłał do niej Nan z bękartem.

Rozżłoszczony spojrział spode łba na łkającą dziewczynę.

- Słyszałaś, że zgłodniałem? - burknął. - Bierz się do roboty albo skończysz na ulicy.

Korciło go, żeby natychmiast spełnić tę groźbę, ale zdrowy rozsądek podpowiadał, że należy trochę odczekać. Gdyby wyrzucił Nan na bruk, zaczęłyby szukać braci. Lepiej niech nie włóczy się po okolicy, wypytyując o tych półgłówków. Nie sądził, aby chwalili się znajomym, że mają zlecenie na mokrą robotę, lecz ostrożności nigdy za wiele. Nie należy kusić losu.

Następnego ranka opuścił dom, z niezłomnym postanowieniem, że wkrótce rozstanie się z obecną utrzymanką. Po ślubie z Judith nie zamierzał rezygnować z mieszkania w Seven Dials, ale chciał tam sprowadzić nową kochankę, między innymi dlatego, że pokrewieństwo Nan z zamordowanymi mężczyznami w przyszłości mogło okazać się kłopotliwe. Obawiał się, że wkrótce dziewczyna zacznie go o nich wypytywać. Poza tym nic nie zostało z jej dawnej urody. Skóra i kości! A on lubi pulchne dziewczęta.

Podjął decyzję i od razu poczuł się raźniej. Wstąpił na plebanię, żeby się ogarnąć. Wkrótce odświeżony zajechał dorożką przed dom pani Aveton. Nim przestąpił próg, usłyszał jej wrzask dochodzący zza zamkniętych drzwi salonu.

Gdy zaanonsowany przez lokaja wszedł do środka, pani Aveton umilkła na moment jakby dla zaczerpnięcia oddechu. Judith stała przed nią milcząca i zarumieniona.

Truscott usłyszał dramatyczne westchnienie narzeczonej.

- Charles, masz na twarzy szramy i siniaki. Co się stało? - zapytała przestraszona. Odruchowo podniósł rękę i dotknął ledwo podgojonych zadrapań.

- Smutne zdarzenie, moja droga. Z powodu gorączki matka nikogo nie poznawała. W malignie wzięła mnie za strażnika i walczyła zawzięcie, sądząc, że chcę zabrać ją do przytułku dla obłąkanych. Trzeba było kilku ludzi, żeby ją poskromić.

- To musiało być dla ciebie okropne doświadczenie. Jak ona się czuje?

- Słabnie z każdym dniem. - Truscott pochylił głowę i ukrył twarz w dłoniach.

- Tak mi przykro, Charles. - Judith podeszła bliżej. - Jest nadzieja na wyzdrowienie?

- Żadnej. To jedynie kwestia czasu. Obawiam się, że niedługo będę musiał tam wrócić i czuwać do końca - odparł wielebny, czując na sobie badawcze

spojrzenie pani Aveton, która nie wyraziła dotąd ani sympatii, ani żalu. Gdy przeniósł na nią wzrok, przybrała sceptyczny wyraz twarzy.

- Judith, zostaw nas samych - rzuciła opryskliwie. - Chcę porozmawiać na osobności z panem Truscottem.

Odczekała, aż drzwi zamkną się za pasierbicą, i odwróciła się do wielebnego.

- Co pan knuje, łaskawco? - spytała gniewnie. - Tylko proszę mi nie opowiadać bajek. Gdzie pan spędził kilka ostatnich dni?

- Judith zapewne wspomniała, jakie sprawy zatrzymały mnie poza miastem.

- Kompletna bzdura! Ospa wietrzna! Też coś! Nawet jeśli to prawda, że pańska matka choruje, trudno uwierzyć, że ma pan dość chrześcijańskich uczuć, by ją pielęgnować w chorobie.

- Proszę mi wyjawić, co panią niepokoi.

- Martwi mnie, że lekceważy pan ważne sprawy! Jest pan głupcem! Jak można zostawiać Judith samą? Pod pańską nieobecność spotyka się z Wentworthami, których ma za najlepszych przyjaciół. Stale kręci się przy niej ten przekłety golec. W końcu pan ją straci.

- Wykluczone! - syknął, pochylając się nad panią Aveton z tak groźnym wyrazem twarzy, że cofnęła się odruchowo. - To pani jest idiotką - dodał przyciszonym głosem. - Stale popełnia pani te same błędy. Dlaczego pani wciąż napada na Judith? O co poszło tym razem? O Wentworthów?

- Nie! - Pani Aveton poczerwieniała ze złości. - Ta podła niewdzięcznica miała czelność poinformować mnie, że jestem nazbyt rozrzutna i stanowczo za dużo wydaję na przygotowania do jej ślubu i wesela.

- Naprawdę? - spytał drwiąco Truscott. - Z pewnością nie miała na myśli swojej wyprawy. Sama pani wspomniała, że jej wydatki były nader skromne. Domyślałam się, że zaniepokoił ją dopiero rachunek przysłany z magazynu mód, w którym pani się ubiera.

- Zamówiłam eleganckie suknie dla siebie i córek. To spory wydatek, ale musimy odpowiednio wyglądać, bo w przeciwnym razie grozi nam kompromitacja - broniła się pani Aveton.

- A koszta rosną, gdy przy okazji zamawia się garderobę na cały następny sezon. Proszę nie zaprzeczać. Doskonale to rozumiem.

Spojrzała na niego nieufnie.

- Proszę zatem przyjąć do wiadomości - ciągnął Truscott - że rachunki za stroje nie zostaną zapłacone z dochodów Judith. Sama ureguluje pani należności z części jej majątku, którą otrzyma po ślubie na mocy naszej umowy.

Omal nie parsknął śmiechem, widząc, że osłupiała i nie potrafi wykrztusić słowa. Ochłonawszy nieco, wybuchnęła potokiem wymowy.

- Nie zapłacę żadnych rachunków! - zakończyła gniewnie.

- Skoro tak, straci pani kredyt. Żadna londyńska krawcowa ani modystka nic pani nie sprzeda.

- Nie zna pan Judith. Ona na to nie pozwoli - oznajmiła pani Aveton. - Nie cierpi długów...

- Proszę nie zapominać, że za tydzień w kwestiach finansowych nie będzie miała nic do powiedzenia - odparł z naciskiem. - Niech pani nie próbuje mnie zwieść. Doskonale znam się na takich sztuczkach. Usiłowała pani jak najwięcej wycisnąć z majątku pasierbicy, ale ja na to nie pozwolę.

Pani Aveton milczała, ale jej spojrzenie było wymowniejsze od słów. Miał w niej odtąd zaprzysięgłego wroga, choć najwyraźniej usiłowała skrywać swoje uczucia do czasu, aż dostanie obiecaną należność.

Truscott przejrzał jej grę. Chciało mu się śmiać, bo wiedział, że ta megiera nie dostanie ani pensa. Słusznie ostrzegwał, że rachunki pozostaną niezapłacone. Był zadowolony z dzisiejszej utarczki; nadarzyła się sposobność, żeby przywołać starą jędzę do porządku. Co ważniejsze, z powodu kłótni o fatalaszki zapomniała o pytaniach, które mu wcześniej zadała.

- Wspomniała pani, że Judith sporo czasu spędza u Wentworthów. - Truscott zmienił temat.

- Moim zdaniem, zbyt często tam przesiaduje. Musi pan zabronić jej tych wizyt. Zresztą nie powinna tyle bywać. Takie rozrywki są niestosowne dla żony pastora... choć Judith nie została jeszcze panu poślubiona. - Pani Aveton wypuściła zatrutą strzałę.

Nim zdążył odpowiedzieć, lokaj zaanonsował lorda Wentwortha. Oblicze pani domu wypogodziło się w mgnieniu oka. Żaden z arystokratów należących do wielce poważanej rodziny nie przekroczył dotąd jej progu. Omal nie zemdląła z radości, gdy uświadomiła sobie, że przed domem stoi teraz powóz ozdobiony rodowym herbem. Cała w uśmiechach, pobiegła przywitać wysoko urodzonego gościa.

- Milordzie, co za miła niespodzianka!

Sebastian skłonił się uprzejmie pani Aveton oraz Truscottowi, obdarzając ich najpiękniejszym ze swoich uśmiechów.

- Rad jestem, że zastałem tutaj oboje państwa - oznajmił. - Przybywam, aby w imieniu żony prosić o wyświadczenie pewnej przysługi. Mojej pani bardzo na tym zależy.

Pani Aveton poprosiła uniżenie, aby raczył usiąść. Zadzwoiła na służbę i kazała podać napoje oraz przekąski.

- Jak się miewa pańska szanowna małżonka? - spytała z fałszywą słodyczą. - Zapewniam waszą lordowską mość, że jesteśmy mu niezwykle oddani. Co możemy dla pana uczynić, milordzie?

- Jak wspomniałem, mam prośbę. - Sebastian przyjął z jej rąk kieliszek wina. - Pozwoli pani, że wyjaśnię, w czym rzecz. Mój brat Peregrine wraz z żoną pojechał w odwiedziny do ciotki, a nasz przybrany syn przebywa obecnie poza Londynem.

Zerknął ukradkiem na rozmówców. Miał nadzieję, że ta wiadomość skłoni ich do ustępstw.

- Problem w tym, że Prudence jest teraz bardzo markotna - wyjaśnił zatroskany. - To zrozumiałe, że nie może bywać...

- Naturalnie. W jej stanie to ponad siły. Nasza droga lady Wentworth musi na siebie uważać. - Pani Aveton ogromnie pochlebiali, że jego lordowską mość omawia z nią domowe sprawy. Ten wyniosły arystokrata niezmiernie rzadko dopuszczał innych do podobnej konfidencji.

- Widzę, że pani doskonale mnie rozumie. - Sebastian rozpromienił się i dodał, pochylony ku swej rozmówczyni. - Mam nadzieję, że zechce pani wyrazić zgodę, aby Judith spędziła u nas parę dni. Moja żona ogromnie ją lubi. Śmiało mogę powiedzieć, że przepada za jej towarzystwem.

Pani Aveton była zbита z tropu.

- Milordzie, w innych okolicznościach najchętniej spełniłabym pańskie życzenie, ale teraz, gdy absorbują nas przygotowania do ślubu Judith... Czas nagli.

Obawiam się, że będę musiała odmówić. - Spojrzała na Truscotta i umilkła.

Umysł kaznodziei pracował na najwyższych obrotach. Po pierwszych słowach Wentwortha domyślił się, jaki jest cel niespodziewanej wizyty. Wkrótce doszedł do wniosku, że takie rozwiązanie byłoby mu na rękę.

Miał zaledwie kilka dni, żeby definitywnie pozbyć się Margrave'a oraz jego współników. Gdyby ci obwiesie wyczuli pismo nosem, mogliby zwrócić się do Judith, żeby mu bruździć. U Wentworthów byłaby najzupełniej bezpieczna, ponieważ tamci jej nie wytropią.

- Łaskawa pani, jestem odmiennego zdania - powiedział uprzejmie i dodał tonem serdecznej zachęty: - Proszę raz jeszcze rozważyć prośbę jego lordowskiej mości. Moim zdaniem, to wspiana okazja, żeby nasza droga Judith trochę odpoczęła. Widzimy oboje, że sprawia wrażenie mocno znużonej. Wśród najmiłszych przyjaciół szybko odzyska werwę. Powinniśmy dziękować jego lordowskiej mości, że był łaskaw ją do siebie zaprosić.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Serdeczne dzięki za życzliwość i zrozumienie - odparł Sebastian, ukrywając, że jest zdumiony i mocno zaniepokojony. Co knuje ten klecha? Wyraźnie ucieszył się, że Judith może na kilka dni opuścić domostwo pani Aveton.

- Radzę zapytać o zdanie moją śliczną narzeczoną - dodał Truscott protekcyjnym tonem. - Sądzę, że będzie zachwycona pańskim pomysłem, milordzie. Czy łaskawa pani zechce po nią posłać?

Macocho Judith natychmiast usłuchała, co również zdumiało Sebastiana. Liczył się z tym, że czeka go trudne zadanie, a tymczasem poszło jak z płatka. Zapewne przesądziła o tym wzmianka o wyjeździe Dana.

Judith przyjęła zaproszenie z nieukrywaną radością.

- Chętnie was odwiedzę... o ile uzyskam pozwolenie. - Spojrzała na macochę i Truscotta, którzy pokiwali głowami.

- Kiedy byłoby najwygodniej...

- Powóz czeka przed domem. Najlepiej jedźmy od razu. Po co zwlekać, prawda?

- Sebastian wybuchnął śmiechem. - Wybacz, moja droga, że tak cię popędzam, ale Prudence czeka. Dotrzymasz jej towarzystwa, a pokojówka spakuje twoje rzeczy i przyjedzie z nimi po południu.

- Widzę, że jego lordowską mość pomyślał o wszystkim. Możesz się z nim zabrać, najdroższa. Przekaż jej lordowskiej mości ukłony ode mnie. - Truscott promieniał.

- Nie omieszkam - przytaknęła Judith, czując przyływ szczerzej sympatii. Coraz bardziej lubiła tego człowieka. Cierpiał z powodu choroby w rodzinie, ale to mu nie przeszkadzało myśleć o jej rozrywkach. - Dasz mi znać, co z twoją matką? Gdybyś mi pozwolił, natychmiast...

- Mowy nie ma, najdroższa. Już o tym rozmawialiśmy. Wyłożyłem ci swoje racje. Choroba jest zaraźliwa. Nie możemy zatrzymywać jego lordowskiej mości. Wielce jestem rad, że pod moją nieobecność będziesz przebywać wśród przyjaciół.

- Ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek. Judith nagrodziła go olśniewającym uśmiechem.

- Urocze dziewczę - powiedział z westchnieniem, gdy pobiegła włożyć płaszcz. - Nie jestem jej godny.

Sebastian był tego samego zdania, ale zachował je dla siebie. Z udawanym zainteresowaniem wypytywał o stan matki Truscotta.

Zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z wyjątkowym spryciarzem, który swobodnie dywagował na temat objawów wietrznej ospy. Wszelkie informacje miał w małym palcu, lecz ani słowem nie napomknął, gdzie przebywa chora dama i dlatego wcześniej nie przedstawił jej Judith. Sebastian wiedział, z jakim indywiduum ma do czynienia, nie oczekiwał więc wyjaśnień i słuchał z kamienną twarzą.

Judith uśmiechnęła się mimo woli, gdy Sebastian pomagał jej wsiąść do powozu. Z mieszanymi uczuciami wysłuchiwała nowiny o wyjeździe Dana. Miała nadzieję, że udał się do Merton, aby porozmawiać z lordem Nelsonem.

Zadawała sobie pytanie, jak by postąpiła, gdyby wiedziała, że zastanie go na Mount Street. Czy zdecydowałyby się na dłuższe odwiedziny u Prudence? Nie potrafiła rozwikłać tych dylematów. Zdawała sobie sprawę z ogromu zagrożenia. Głupie serce nadal wyrывało się ku Danowi. Powinna dziękować niebiosom, że nie jest nią zainteresowany, lecz myśl o utraconej miłości wciąż przysparzała jej smutku. Na szczęście Dan wyjechał, a zatem pokusa zniknęła. Trzeba się z tego cieszyć. Mimo to było jej ciężko na duszy.

Sebastian zauważył, że popadła w zamyślenie.

- Wybaczysz mi? - zapytał.

- Co takiego?

- Porwałem cię, nie pytając o pozwolenie. Odpowiedz mi szczerze, moja droga, czy istotnie masz ochotę spędzić u nas kilka dni?

- Oczywiście! - przytaknęła natychmiast. - Sebastianie, widzisz, że mam powody, żeby lepiej myśleć o Charlesie. Byłeś świadkiem, jak nalegał, bym przyjechała do Prudence. To miło z jego strony. Mógł przecież mnożyć przeszkody.

- Istotnie. Pamiętaj, droga Judith, że dla nas wszystkich najważniejsze jest twoje szczęście, choć podejrzewam, że Prudence i Elizabeth boczają się na twoje

zamażpójście, ponieważ nie chcą z nikim dzielić się ukochaną towarzyszką, choćby to był twój zacny pastor - tłumaczył Sebastian. Miał nadzieję, że Judith przyjmie jego argumentację i nie będzie się dziwiła, gdy obie damy zaczną znowu wybrzydzać na jej oblubieńca.

Skwapliwa zgoda Truscotta na dłuższą wizytę narzeczonej w ich domu wzmogła jego podejrzliwość. Ten nikczemnik coś knuje. Ale co? Sebastian widział się niedawno z tajnym agentem, lecz nie uzyskał od niego konkretnych informacji, był więc zdany na własne domysły.

Kątem oka obserwował Judith. Wyrwała się z domu macochy i natychmiast zmieniła nie do poznania. Z twarzy zniknął wyraz surowej powagi, a ogromne wyraziste oczy rozjaśnił błysk radości, gdy wypytywała o jego synów.

- Kipią energią. Nic ich nie zmoże - odparł z przekąsem. - Chcą maksymalnie wykorzystać pobyt w Londynie i domagają się wciąż nowych atrakcji. Wkrótce odwiedzą muzeum osobliwości madame Tussaud. Te krwiożercze istoty nie mogą się doczekać okropności, które spodziewają się tam ujrzeć.

- Z pewnością będzie to pouczająca wyprawa - odparła, sznurując usta jak podstarzała guwernantka, ale oczy jej się śmiały. - Powinieneś się cieszyć, że są spragnieni wiedzy.

Gdy powóz stanął przed domem Wentworthów, nadal dobiegały z niego wybuchy śmiechu. Judith była wesoła i ożywiona, a Sebastian gratulował sobie znakomitego pomysłu. Okrzyk radości, który wydała Prudence na widok Judith, stanowił dla niego upragnioną nagrodę.

- Kochanie, jednak udało ci się ją przywieźć. Bałam się, że nic z tego nie wyjdzie. Marzyłam o twoich odwiedzinach, Judith. Nie masz mi tego za złe?

Judith, uradowana serdecznym powitaniem, zaprzeczyła, kręcąc głową.

- Jestem szczęśliwa, że mogłam do was przyjechać.

Gdy Sebastian opuszczał pokoje żony, panie gawędziły w najlepsze. Cieszył się, że przynajmniej przez kilka dni Judith będzie całkiem bezpieczna, ale z niepokojem myślał o jej przyszłości.

Poszedł do gabinetu i uważnie przejrzał poranną pocztę. Same zaproszenia na uroczystości i bale. Żadnych wieści od tajnego agenta.

Usiadł za biurkiem i w skupieniu analizował każdy szczegół niedawnej rozmowy w domu pani Aveton. Utwierdził się w przekonaniu, że ci dwoje są w zмовie. Truscott niewątpliwie miał też własny plan. Wydawało się Sebastianowi, że odetchnął z ulgą, gdy padła propozycja złożenia przez Judith kilkudniowej wizyty na Mount Street. Reakcja wielebnego była zagadkowa. Jak ją wyjaśnić? I czemu przypisać? Sebastian nie potrafił odpowiedzieć na te pytania. Truscott unikał towarzystwa narzeczonej, jakby podejrzewał, że gdy poznają się bliżej, panna zniechęci się do niego i zerwie zaręczyny.

Bez wątpienia był urodzonym aktorem, lecz nawet osobnik o jego talencie do odgrywania różnych ról odczuwał niewygodę, gdy nazbyt długo nosił maskę łagodnej życzliwości i powagi właściwej duchownemu. Musiał się stale pilnować, żeby nie zrazić do siebie Judith. Niewątpliwie chodziło mu głównie o

jej majątek. Szczęście było w zasięgu ręki, gdyby więc w ostatniej chwili zerwała zaręczyny, nie cofnąłby się przed żadną podłością, byle dopiąć swego. Sebastian był spokojny, że Prudence nie będzie odwozić Judith od ślubu z Truscottem, bo przez wzgląd na duchową równowagę przyjaciółki obiecała uszanować jej decyzję. Elizabeth nadal miała na ten temat dużo do powiedzenia, a Perry dzielnie jej sekundował. Na szczęście oboje wyjechali.

Jak zachowa się Dan, zakochany w Judith po uszy? Żywiolowy sprzeciw młodzieńca przeciwko jej zamążpójściu stanowił nie lada zagrożenie. Gdyby w desperacji otwarcie powiedział, co czuje, i oświadczył się powtórnie, sytuacja mogła wymknąć się spod kontroli.

Sebastian uznał, że trzeba raz jeszcze ostrzec przybranego syna przed niebezpiecznymi porywami serca, ale musiał z tym poczekać do jego powrotu, który nastąpi dopiero wieczorem.

Sebastian usłyszał tupot i wołanie, dobiegające z sieni. Gdy wyszedł z salonu, lokaj właśnie informował Dana, że jej lordowską mość zeszła na dół i odpoczywa w salonie, a towarzyszą jej lord Wentworth i panna Aveton.

- Judith nas odwiedziła? - Dan natychmiast się rozchmurzył. - Idę do nich!

- Mój chłopcze, chodź tu na słówko. - Sebastian wskazał drzwi, prowadzące do biblioteki.

- Czy to pilne? - Dan rzucił lokajowi szpicrutę i płaszcz do konnej jazdy. - Jak ci się udało zwabić do nas Judith? O tej porze? Wieczorami zwykle...

- Spędzi tutaj parę dni. Nic się nie zmieniło, Dan. Raz jeszcze proszę, żebyś nie namawiał jej do zerwania zaręczyn.

Dan był wzburzony.

- Ma poślubić tego łotra? W takim razie co u nas robi? Wkrótce ślub...

- Jestem tego świadomy - przerwał Sebastian i zamilkł na chwilę, szukając odpowiednich słów. - Musimy zdobyć się na cierpliwość. Widziałem się dzisiaj z Truscottem. Był zaniepokojony. Wierz mi, coś wisi w powietrzu.

- Domyślił się, że jest śledzony?

- Nie sądzę. Na razie brak wieści od naszego agenta, lecz to mistrz w swoim fachu.

- A zatem w czym rzecz?

-Trudno powiedzieć. Odniosłem wrażenie, że Truscott odetchnął z ulgą, kiedy zaprosiłem do nas Judith.

- Dziwna sprawa. Przecież wie, że jesteśmy rywalami.

- Sądzi, że cię tu nie ma. Tak sobie wytłumaczył wzmiankę o twoim wyjeździe. - Sebastian uśmiechnął się lekko.

Dan obrzucił go badawczym spojrzeniem.

- Jak doszło do tego, że Judith nas odwiedziła? Chyba nie było ci łatwo przekonać starą harpię, żeby ją puściła.

- Prudence potrzebowała bratniej duszy.

- I to wystarczyło, żebyś natychmiast pospieszył do domu tej podłej megiiery?

- Jak wiesz, życzenie mojej pani jest dla mnie rozkazem -odparł rezolutnie Sebastian.

- Racja, mimo to podejrzewam, że nie jesteś ze mną szczery. -Dan przyglądał mu się podejrzliwie. - Chowasz coś w zanadru.

- Wielkie nieba! Ależ ty się zrobiłeś nieufny! I słusznie. Powiedzmy, że mam nadzieję w ciągu paru dni doprowadzić do końca tę sprawę. Chciałbym, żeby Judith przebywała u nas, gdy nadejdzie decydujący moment. Tutaj jest bezpieczna.

- Sądzisz, że grozi jej poważne niebezpieczeństwo? - Dan pobladał tak bardzo, że można było policzyć wszystkie piegi na jego twarzy.

- Zaniepokoiło mnie, że nasza przyjaciółka chodzi po mieście praktycznie bez opieki. Na ulicy każdy może do niej podejść.

- Chodzi o żebraków i złodziei?

- Nie. Miałem na myśli inne zagrożenia. - Sebastian postanowił wyłożyć karty na stół. - Przekonałeś mnie. Jestem pewny, że mamy do czynienia z mocno zawikłaną aferą. Lepiej nie ryzykować. Na razie gwarancją bezpieczeństwa Judith są zareczyny z Truscottem. Pod żadnym pozorem nie powinna ich zrywać. To byłoby dla niej równoznaczne z ogromnym zagrożeniem.

- Chętnie skreśliłbym kark temu łotrowi -oznajmił mściwie Dan.

- Ja również, ale wszystko w swoim czasie. Odnoszę wrażenie, że pewien człowiek chętnie cię wyręczy, jeśli nadarzy mu się sposobność. Czy obiecujesz trzymać się moich wskazówek?

- Owszem, chociaż to nie będzie łatwe. - Dan wstał. - Mogę się teraz z nią zobaczyć?

- Naturalnie. - Sebastian poklepał go po ramieniu. - Wiem, że to dla ciebie bardzo trudna sytuacja, lecz niewątpliwie przez wzgląd na ukochaną gotów jesteś do znacznie większych wyrzeczeń.

- Zrobię dla niej wszystko - rzekł wzruszony Dan, unikając jego spojrzenia.

- W takim razie chodźmy do naszych pań. Zapewne czekają niecierpliwie na relację z twojej wyprawy.

- Nie przynoszę pomyślnych nowin. - Dan szedł obok Sebastiana przez hol.

- Nie szkodzi. I tak zechcą usłyszeć twoją relację. Sebastian wkroczył do salonu, radośnie witany przez żonę.

Judith milczała, ale jej spojrzenie powiedziało Danowi więcej niż tysiąc słów.

## Rozdział dziesiąty

Prudence udała, że nie widzi znaczących spojrzeń, jakie wymienili Judith i Dan. Popatrzyła na przybranego syna i poklepała lekko poduszkę kanapy.



- Chodź tu i siądź przy mnie - powiedziała. - Sebastian zaanektował cię dla siebie, a my tu czekamy na ważne nowiny. Chcesz nas zaintrygować? Jak ci poszło w Merton?

Judith nieco ochłonęła i z miłym uśmiechem zachęciła Dana, żeby opowiedział o wyprawie. Była dumna i szczęśliwa, bo wziął sobie do serca jej radę, a nawet zdobył się na to, żeby wtajemniczyć przybranych rodziców w swoje plany.

Dan przyjrzał się uśmiechniętym twarzom, które go otaczały.

- Znowu kłapa - odparł żartobliwie. - Admirala nie było w domu.

- Tak mi przykro, drogi chłopcze. Przeżyłeś kolejne rozczarowanie. Kawał drogi przejechałeś na darmo - uzalała się Prudence.

- Jestem innego zdania. Skoro przetałem szlak do drzwi Nelsona, tak łatwo się mnie nie pozbędzie. Zostawiłem bilet wizytowy. W przyszłym tygodniu, gdy jego lordowska mość wróci z Portsmouth, znowu pojedę. - Dan uśmiechnął się do Judith. Był trochę rozczarowany, ale nie pokazał tego po sobie.

- Dzielny chłopak! Cieszę się, że nie zamierzasz rezygnować. - Sebastian z uznaniem kiwnął głową.

- Nigdy się nie poddam! - odparł Dan i odwrócił wzrok, czując na sobie ostrzegawcze spojrzenie Sebastiana, który uznał, że te słowa mogą być różnie rozumiane. Winowajca przypomniał sobie o obietnicy i zamilkł.

- A czym ty zajmowałaś się pod moją nieobecność? Już wiem, że z pomocą męża porwałaś Judith, a także popadałaś w hipochondrię, wmawiając bliźnim, że jesteś słabego zdrowia. Muszę przyznać, że wyglądasz kwitnąco.

- To zasługa Judith. Jej towarzystwo jest dla mnie remedium na wszystkie dolegliwości - wyznała Prudence. - Milo jest porozmawiać z rozumną kobietą. W tym domu jestem otoczona hordą tępowych osobników płci męskiej. - Roześmiała się, spoglądając kokieteryjnie na Sebastiana.

- Czarownica! Chcesz mi dać do zrozumienia, że nie jestem przesadnie lotny? Mam siedzieć cicho i z pokorą znosić twoje kaprysy? - Ujął dłoń żony i czule ją pocałował. - Wykluczone, kochanie. Dobrze wiem, co próbujesz na mnie wymóc. Umowa to umowa. Miałaś się położyć, kiedy Dan wróci do domu, a więc do łóżka, żoneczko. - Mimo protestów wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

W salonie zapadła cisza. Po chwili Judith i Dan zaczęli mówić jednocześnie. Zamilkli oboje i wybuchnęli śmiechem.

- Najpierw ty - poprosiła Judith.

- Chciałem powiedzieć, że bardzo się ucieszyłem z twoich odwiedzin. Prudence od razu poweselała.

- Masz w tym swój udział. Pokłada w tobie wielkie nadzieje. Domyślam się, że wbrew temu, co mówiłeś, ogarnęło cię rozczarowanie, gdy nie zastałeś admirala w domu.

- To prawda, ale nie przywiązuję do tego wagi. Przysiągłem sobie, że nie dam się zbyć. Muszę znaleźć dobrą posadę i zyskać uznanie. Nie ma sensu zajmować się projektowaniem, skoro rysunki trafiają do szuflady. Szkoda czasu na tworzenie

rzeczy, których nikt ode mnie nie kupuje. Najwyższy czas, abym zaczął pracować na zamówienie.

- Znakomite podejście do sprawy. - Judith klasnęła w ręce. - Masz przecież grubą teczkę wypchaną projektami. Jeśli nie zainteresują lorda Nelsona, poszukasz innego kontrahenta.

Zgodnie z jej przewidywaniami, Dan zaczął rozprawiać na ulubiony temat. Judith nie rozumiała technicznych szczegółów tego wywodu, ale gdy opisywał najnowszy wynalazek, z przyjemnością obserwowała rozradowaną twarz i złotorudą czuprynę.

Był jej drogi jak nikt na świecie. Kochała go za wszystko. Uwielbiała błękit oczu, piegi na nosie i ruchliwe dłonie, którymi gestykulował z zapalem, próbując jej uzmysłowić zawile szczegóły projektów.

Dan zorientował się, że Judith patrzy na jego ręce i wybuchnął śmiechem.

- Zwiąż je, a zabraknie mi słów - powiedział żartobliwie.

- Czyżby? W to nie uwierzę.

- Pewnie zmęczyłem cię swoją gadaniną. Powiedz teraz, co u ciebie.

- Wszystko po staremu - odparła wymijająco.

- Jesteś zadowolona, że przyjechałaś do nas z wizytą?

- Naturalnie. - Judith znowu się uśmiechnęła. - Wszyscy są tutaj szczęśliwi. Aha, przygotuj się, że wkrótce czeka cię wizyta w gabinecie osobliwości madame Tussaud. To postanowione, że masz towarzyszyć Sebastianowi i chłopcom w tej wyprawie.

- Obiło mi się o uszy. Gdzie to jest? Strand? Ten kierunek, prawda?

- Owszem. Nieźle się orientujesz.

- Chłopcy wspomnieli o figurach woskowych. Gabinet został otwarty niedawno. Szczerze mówiąc, dla mnie to strata czasu.

- Madame Tussaud odniosła w Paryżu wielki sukces. Miała wystawę w Palais Royal. Od wuja nauczyła się sztuki modelowania w wosku i poszła w jego ślady. Wiesz, że jest Szwajcarką?

- A teraz osiadła w Londynie. Niech sobie jeździ po Europie, póki traktat pokojowy to umożliwi, ale jej woskowe figury wcale mnie nie pociągają. A ty masz ochotę je zobaczyć?

- Nie zostałam zaproszona na tę wyprawę, która ma się odbyć wyłącznie w męskim gronie. - Judith wybuchnęła śmiechem. - Nie wątpię, że wy, chłopcy, będziecie się doskonale bawić.

Wkrótce pożegnała go i poszła do gościnnego pokoju. Spędzili we dwoje uroczą godzinę. Dan zachowywał się jak dobry przyjaciel, i nic poza tym. Na schodach poczuła, że płoną jej policzki. Czego się spodziewała? Cudownego wskrzeszenia dawnej miłości? Niczym nie zdradził, że coś do niej czuje. A gdyby nawet tak było, czy zalecałby się do cudzej narzeczonej? Nie pozwala mu na to poczucie honoru.

Zachowała się jak ostatnia idiotka. Budowała zamki na lodzie. Wyobrażała sobie, że Dan przywiezie z Merton pochlebną opinię admirała Nelsona i podpisany

przez niego kontrakt na budowę okrętów dla brytyjskiej floty. W głębi serca zastanawiała się, jaki wpływ na temperaturę uczuć Dana wywarło jej niespodziewane wzbogacenie się. Gdyby miał widoki na stałe zatrudnienie i godziwy zarobek, pewnie inaczej patrzyłby na tę sprawę. Wyprawa do Merton przyniosła kolejne rozczarowanie, znaleźli się więc w punkcie wyjścia. Po namyśle doszła do wniosku, że błędnie ocenia jego zachowanie. Gdy nie zastał Nelsona, zamiast popaść w przygnębienie, zapytał, kiedy admirał powróci, i spokojnie zapowiedział kolejną wizytę. Zamierzał dobijać się tak długo, aż wielki człowiek udzieli mu posłuchania.

Nie była to postawa desperata, który ze względu na brak własnych środków utrzymania bezpowrotnie traci ukochaną, planującą lada dzień wyjść za mąż. Judith powinna wreszcie przyjąć do wiadomości, że nie jest Danowi tak bliska jak przed laty. Musiała przełknąć gorzką pigułkę, daremnie jednak próbowała przejść nad tym faktem do porządku dziennego. Oczami wyobraźni nadal widziała twarz Dana.

Położyła się do łóżka, przymknęła oczy i śniła na jawie. Życiowe sprawy nie ułożyły się po jej myśli, ale mogła uciec w świat fantazji. Wyobraziła sobie, że Dan prosi ją o rękę.

Doskonale wiedziała, jaka byłaby odpowiedź. Poważa Charlesa Truscotta, ale to Dan jest mężczyzną jej życia. Bez namysłu padłaby w ramiona ukochanego, nie bacząc na oficjalne zaręczyny, rychły ślub, rozczarowanie narzeczonego i nieunikniony wybuch wściekłości pani Aveton. Tyle by ją kosztowało prawdziwe szczęście. Nie uważała wcale, że to wygórowana cena.

Gdy następnego ranka otworzyła oczy, potoki słonecznego światła wpadały do jej pokoju. Bessie odsunęła zasłony i przyniosła śniadanie do łóżka, co było wyjątkowym luksusem.

- Którą suknię panienka dziś włoży? - Bessie trzymała po jednej w każdej ręce. - Jeśli te paniencie nie odpowiadają, przyniosę inne. Zapakowałam ich sporo.

- Na Boga! Po co się trudziłaś, Bessie? Mam tu spędzić zaledwie parę dni.

Podejrzewam, że wrzuciłaś do kufra całą moją wyprawę.

- Myślałam, że panienka chce ładnie wyglądać - odparła z chytrą miną Bessie. - Wszystko może się zdarzyć.

Judith spojrzała na nią z ukosa, ale pokojówka wyglądała jak uosobienie niewinności.

- Doskonale wiesz, że jestem tutaj, żeby dotrzymać towarzystwa jej lordowskiej mości, która nie może wychodzić do miasta...

- Ale panienka może wyjść.

- Nie mów głupstw, Bessie. - Spojrzała przelotnie na obie sukienki. - Włożę niebieską.

Bessie nie kryła zadowolenia.

- Nie patrz tak na mnie - zirytowała się Judith. - Zastanawiam się, co też ci przyszło do głowy, żeby mnie tak stroić.

Wcale nie mówiła prawdy, bo intencje Bessie były jasne jak słońce. Chodziło o to, żeby panicz Dan oświadczył się natychmiast.

W nowej sukni było jej naprawdę do twarzy. Jasny błękit znakomicie harmonizował ze stonowaną kolorystyką włosów i cery. Krój cechowała szlachetna prostota. Mocno podwyższoną talię podkreślały wstążki, idealnie dobrane kolorem do tkaniny i związane na kokardę pod kształtnym biustem Judith. Fałdy spódnicy układały się miękko, a dół był obszyty falbaną.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze, gratulując sobie w duchu, że oparła się namowom krawcowej, która zachęcała ją do kupna sukni z bufiastymi rękawami. Wybrana przez nią kreacja była o wiele skromniejsza, a bufki przy ramionach niewielkie. Wąskie rękawy sięgały nadgarstków.

Uśmiechnęła się tajemniczo. Rzadko bywała tak modnie ubrana, ale ta poranna kreacja nie wydawała się przesadnie strojna i z powodzeniem mogła być noszona w domu. Judith opuściła pokój i ruszyła korytarzem w stronę schodów. Nagle poczuła, że mała łapka wślizguje się w jej dłoń, więc odskoczyła i wydała stłumiony okrzyk, udając przerażenie.

- Crispin? To ty? Aleś mnie przestraszył! Wydawało mi się, że zostałam pochwycona przez krwiożerczego potwora.

Najmłodszy syn Sebastiana wybuchnął śmiechem.

- A nieprawda - odparł przekornie. - Od razu wiedziałas, że to ja.

- Ciekawe skąd? Przecież cię nie widziałam. Zaszedłeś mnie od tyłu, skradając się bezszelestnie jak czerwonoskóry.

- Naprawdę? - upewnił się z powagą Crispin. - Bo wiesz... ćwiczyłem ostatnio skradanie.

- To się czuje - przyznała Judith.

- Chciałem przyjść do ciebie wcześniej, ale mama powiedziała, żeby ci nie przeszkadzać, bo musisz się wyspać - wyjaśnił chłopiec. - Wszyscy byliśmy cicho jak myszki. Żadnych psot. W ogóle się nas nie słyszało, prawda?

- Było cicho jak makiem zasiał - przyznała Judith.

- No właśnie. - Crispin odetchnął z ulgą. - Chciałem cię zapytać... Pójdiesz z nami do gabinetu figur woskowych?

- Innym razem, kochanie. Tata i Dan was tam zabiorą, a ja zostanę z twoją mamą. Crispin usiadł na najwyższym stopniu schodów.

- Szkoda - rzekł rozczarowany. - Zawsze opowiadasz takie ciekawe historie.

- Umówmy się, że postarasz się zapamiętać wszystko, co widziałeś. Potem opowiesz mi, co i jak, a ja dodam swoje historie

Crispinowi bardzo spodobał się ten pomysł. Wzięli się za ręce i zeszli po schodach. Gdy znaleźli się na samym dole, w drzwiach biblioteki stanął Dan. Na widok Judith, prowadzącej małego chłopca, ogarnęło go wzruszenie. Gdyby sześć lat temu wzięli ślub, mieliby teraz własne pociechy. Dzieci uwielbiały Judith, która świetnie czuła się w ich towarzystwie i bez najmniejszej trudności wkraczała do ich niezwykłego świata.

Skarcił się za te rozmyślania. Dla jej dobra nie mógł ujawnić, co naprawdę czuje. Powinna uwierzyć, że ma dla niej wiele życzliwości, ale miłosne uniesienia dawno przeminęły. Uprzejmie zapytał, czy dobrze spała.

- Znakomicie wypoczęłam. Dziękuję. - Uśmiechnęła się promiennie, ale Dan pozostał poważny. - Jak przygotowania do wyprawy w męskim gronie? - zapytała

- Obawiam się, że musimy zmienić plany - odparł rzeczowo. - Prudence marnie się czuje. Sebastian wezwał lekarza. Wiele zależy od jego opinii...

- Nie pójdziemy do gabinetu figur woskowych? - spytał zaniepokojony Crispin, wyginając usta w podkówkę, jakby miał się rozplakać.

- A czemu nie? - Sebastian podszedł do nich, chwycił najmłodszego synka i wyrzucił wysoko w powietrze. - Muszę tylko przekonać Judith, żeby się z wami wybrała. Co ty na to?

Crispin aż pisnął z radości.

- Tak będzie najlepiej! - krzyknął zachwycony i popędził co sił w małych pulchnych nóżkach, aby zanieść braciom radosną nowinę.

- Rodzony syn Ignie do przyszywanej ciotki bardziej niż do swego rodzica - poskarżył się Sebastian z udawaną rozpaczą. - Judith, odpowiesz mi za to! Gdy uśmiechnęła się wyrozumiale, spowaźniał i dodał zatroskany:

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko tej wyprawie. Mógłbym posłać z Danem guwernera albo lokaja, ale wtedy nie byłoby tak wesoło, a wycieczka bardziej przypominałaby lekcję niż rodzinne święto.

- Uważasz, że nie będę próbowała niczego ich nauczyć? - spytała kpiąco. - Jesteś w błędzie, drogi Sebastianie. Przekonasz się po powrocie, że umysły chłopców oraz tego dżentelmena zostaną nafaszerowane mnóstwem informacji.

- Będę ci za to niesłuchanie zobowiązany - odparł, z galanterią ściskając jej dłoń.

- Co z Prudence? - spytała, poważniejąc. - Czy bardzo źle się czuje?

- Jest zmęczona. Wczoraj uparła się, że musi poczekać na Dana, i teraz brak jej sił. Na wszelki wypadek wezwałem lekarza. Ostrożności nigdy za wiele. - Sebastian spochmurniał. - Powiedziała mi, że znosi tę ciążę o wiele gorzej niż poprzednie. Wątpię, żebyśmy zdecydowali się na kolejne dziecko. Ani Prudence, ani ja nie chcemy więcej przez to przechodzić. Czwórka nam wystarczy.

Sebastian pożegnał się i odszedł.

Judith wyczuła, że milczący Dan jest mocno poruszony. Nic dziwnego. Prudence jako pierwsza wyciągnęła do niego rękę. Od lat łączyła ich serdeczna zażyłość i przyjaźń.

- Nie martw się - powiedziała cicho. - Musimy wziąć poprawkę na zrozumiałą troskliwość Sebastiana. Prudence jest silną i mądrą kobietą. Ostatnie tygodnie ciąży są zwykle bardzo nużące dla przyszłych mam.

- Zapewne masz rację - odparł z wymuszonym uśmiechem. - Wybacz, ale trudno mi zachować spokój, gdy słyszę, że Prudence gorzej się czuje.

- To zrozumiałe. - Szukała odpowiednich słów, żeby go pocieszyć, ale w tym momencie przybiegli trzej chłopcy uradowani czekającą ich wyprawą. - Łaskawa pani gotowa do wyjścia? - zapytał szarmancko Thomas.

- Dajcie mi dwie minuty. Zaraz wracam.

Dotrzymała słowa i wkrótce niewielka grupka wycieczkowiczów zmierzała do powozu, który, gdy pasażerowie zajęli miejsca, z turkotem kół ruszył brukowaną ulicą ku Strandowi.

U wejścia do gabinetu figur woskowych sama madame Tussaud witała gości, którzy postanowili zwiedzić jej wystawę. Judith z ciekawością obserwowała niezbyt elegancką damę w niemodnym czepku z wysoką główką i szeroką, śnieżnobiałą falbanką, otaczającą twarz. Kto by pomyślał, że ta niepozorna osóbką jest właścicielką znakomicie prosperującego przedsiębiorstwa!

Madame Tussaud mówiła po angielsku z lekkim obcym akcentem. Wręczyła im przewodniki i zachęciła, żeby do woli krążyli wśród szeregów woskowych postaci.

Wystawa zrobiła na Judith duże wrażenie. Figury wykonane z wosku do złudzenia przypominały żywych ludzi. Od gości odróżniały je tylko stroje z minionych epok, odtworzone z niebywałym pietyzmem. Judith z podziwem myślała o wielkiej pracy, którą należało wykonać przed ich uszyciem, żeby wyglądały jak autentyki. Madame Tussaud miała zapewne skłonność do historycznych dociekań.

Wśród figur było wiele postaci królów i królowych Anglii oraz Francji. Nie brakowało wielkich bohaterów obu państw. Chłopcy wypatrywali słynnych żołnierzy.

- Popatrz! Tutaj stoi generał Wolfe. - Thomasowi oczy zabłysły, gdy stanął przed figurą, wyobrażającą jego idola. - Tata mi o nim opowiadał. - Pokonał Francuzów w Kanadzie na równinach Quebecu.

- Ale tam zginął, więc nic mu nie przyszło z tego zwycięstwa - zauważył Henry. - Zyskał wielką sławę - argumentował jego brat. - Mięczak z ciebie. Idę o zakład, że nie wejdiesz do komnaty strachu.

Henry zachnął się i oznajmił, że i owszem, pójdzie, bo ma na to wielką ochotę.

- Crispin też idzie - dodał z zapalem.

- Wykluczone! Mowy nie ma! - oznajmiła stanowczo Judith. - Miałam nadzieję, że zechce mi dotrzymać towarzystwa. Zachowałam dla niego najciekawsze opowieści.

Obawiała się, że sceny egzekucji, przedstawione w komnacie strachu, będą nawiedzać chłopca w sennych koszmarach. Chętnie przekonałaby Henrygo, żeby także z nią został, ale zdrowy rozsądek podpowiadał, że lepiej nie poruszać tego tematu. Była świadoma naturalnej rywalizacji między Henrym a jego starszym bratem.

- Może najpierw posłuchamy twojej opowieści, a potem zajrzemy do komnaty strachu - zaproponował z nadzieją Thomas.

- O nie! Ta jest przeznaczona wyłącznie dla Crispina. -Ujęła dłoń chłopca i ścisnęła ją mocno. - To będzie nasz sekret.

Obietnica sprawiła, że Crispin bez żalu pożegnał odchodzących braci.

- Dobrze, że Judith została. Damy raczej nie gustują w pośmiertnych maskach i wisielcach - powiedział Thomas

- Za to ciebie interesują makabreski, prawda? - Dan mrugnął do niego porozumiewawczo. - Ciekawe, czy w środku będziesz równie odważny. Bez zbędnych ceregieli wszedł z chłopcami do komnaty strachu.

Judith pociągnęła Crispina ku figurze Kanuta Wielkiego. Usiedli na ławeczce.

- Porozmawiamy sobie o tym królu. Ciekawa jestem twego zdania na jego temat

- powiedziała. - Kanut Wielki był niezwykle mądrym władcą. Jego dworzanie sądzili, że jest w stanie uczynić wszystko, na co mu przyjdzie ochota. Zabrał ich więc nad morze, bo chciał udowodnić, że się mylą.

- Jak to zrobił?

- Kazał im postawić tron w wodzie i usiadł na nim wśród napierających fal.

- I co dalej?

- Spróbuj zgadnąć. - Judith zerwała się na równe nogi i władczym gestem wyciągnęła ramię. - Oczywiście nakazał morzu, aby się cofnęło.

- To głupie. Mógł sobie rozkazywać do woli, a fale i tak chlapały mu na buty oraz szaty.

- Owszem. Kanut Wielki doskonale wiedział, że tak będzie. W ten sposób udowodnił dworzanom, że nie jest wszechpotężny i nie ma władzy nad siłami natury.

- Czy z powodu swojej głupoty zostali ścięci?

- Ależ skąd! Nasz król był zacnym człowiekiem i sprawiedliwie rządził Anglią. Stąd jego przydomek: Kanut Wielki.

- Opowiem o nim papie. Znasz więcej takich historii?

- Jedna z nich na pewno cię rozbawi. Sprawdźmy, czy jest tutaj władca, którego dotyczy. - Judith odnalazła figurę przedstawiającą króla Alfreda. - Spójrz na stojącego przy piecu mężczyznę. Jak myślisz, co robi?

- Chyba gotuje.

- Niezupełnie. To król Alfred Wielki, któremu polecono dopilnować piekących się ciastek.

- Zmyślasz! Królowie nie zajmują się takimi rzeczami.

- Ten ukrywał się w przebraniu parobka, żeby nie schwytali go wrogowie. Stał przy piecu i rozmyślał, jak ich przechytryć. Dlatego zapomniał o ciastkach, które spaliły się na węgiel. Stara wieśniaczka, u której był na służbie, okropnie się zezłościła.

- Co zrobiła? - Crispin zachichotał.

- Obiła biedaka.

- A on po odzyskaniu korony natychmiast kazał uciąć jej głowę, prawda, Judith?

- Wielkie nieba! Jesteś równie krwiożerczy jak twoi starsi bracia, drogi chłopcze. Ścinanie głów poddanym nie wydaje mi się dobrym pomysłem. Wyobraź sobie, że jesteś królem. Czy chciałbyś władać rzeszą bezgłowej ludności?

Crispin wyobraził sobie, jak by to wyglądało, i parsknął śmiechem. Chichotał jeszcze, gdy jego bracia wyszli z komnaty strachu. Miny mieli nietęgę i sprawiali wrażenie mocno poruszonych. Obaj milczeli. Judith uniosła brwi i pytająco spojrzęła na Dana, który mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Moim zdaniem, wszyscy mamy dosyć okropności - powiedział. - Pora coś przekąsić. Chłopcy, co powiecie na lody u Guntera?

Propozycja została przyjęta okrzykami zachwyty. Judith i Dan poprowadzili wesołą dzieciarnię do wyjścia. Idąc ulicą, minęli starszych państwa, którzy uśmiechnęli się z rozrzewnieniem.

- Jaka piękna para! - zachwyciła się głośno miła dama. - Wyglądają niezwykle młodo jak na rodziców takich dużych dzieci.

Judith splonęła rumieńcem, a Dan mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Nic sobie z tego nie rób - szepnął. - Zdaniem tej damy, po prostu trudno uwierzyć, żeby taka młodzianka osóbką była stateczną mamą trzech chłopców.

- Tak, rozumiem. W tych okolicznościach łatwo o błąd. Poza tym nie jestem pierwszej młodości...

- Przestań udawać zgrzybiałą staruszkę. Pamiętaj, że Prudence jest od ciebie niewiele starsza, a przecież ani ci w głowie traktować ją niczym seniorkę rodu.

- Naturalnie! - przytaknęła skwapliwie.

Niech sobie myśli, że poczuła się dotknięta, bo wzięto ją za starszą, niż była w rzeczywistości. Rzecz jasna, nie to ją zaniepokoiło. Poczuli się wytrącona z równowagi, bo w oczach starszej pani wyglądali z Danem jak małżeństwo.

Zerknęła na niego ukradkiem, ale nie dostrzegła oznak niepokoju czy wzruszenia. Lekko uśmiechnięty, pomagał chłopcom wsiąść do powozu.

W lodziarni Guntera słodkie kule zniknęły błyskawicznie. Gdy Dan szykował się do zamówienia kolejnych porcji, Judith dała mu kuksańca.

- Wystarczy - szepnęła. - Chłopcy mieli dość atrakcji jak na jeden dzień.

Dostaniemy burę, jeśli po powrocie do domu od nadmiaru łakoci będą bolały ich żołądki.

Dan wybuchnął śmiechem.

- Z własnego dzieciństwa nie przypominam sobie takich kłopotów.

- Co nie znaczy, że innym też są oszczędzone. Chyba nie chcesz, żeby Crispinowi zrobiło się niedobrze. Zapewne miałyby to fatalne skutki dla jego wyjściowych spodenek.

- Jak zwykle masz rację - odparł Dan, wzruszając ramionami. - W takim razie odwieźmy nasze kochane potworki do domu i oddajmy je stęsknionym rodzicom.

Gdy zmęczona, ale szczęśliwa gromadka skręciła w Mount Street, Dan zmarszczył brwi na widok powozu, stojącego przed wejściem. - Brandon przyjechał z wizytą - rzekł zdumiony. - Rzadko bywa u nas o tej porze.



Wyskoczył z powozu, ledwie stangret zatrzymał konie.

Judith domyśliła się, że chodzi mu o Prudence. Czyżby jej się pogorszyło? Stan brzemiennej damy był zapewne niepokojący, skoro wezwano rodzinę. Judith z ciężkim sercem szła za Danem. Oglądała się na chłopców, powłóczących nogami ze zmęczenia

Dan stał już w drzwiach salonu i przywoływał ją niecierpliwym gestem. Po jego minie poznała, że niepotrzebnie się martwili. Wkrótce sama zobaczyła, że gościem nie był hrabia Brandon, tylko jego żona Amelia. Sebastian, jak zwykle uprzejmy i pełen uwagi, bawił ją rozmową. Judith weszła do środka. Tuż za nią wlekli się chłopcy. Popatrzyła na Dana i po minie poznała, że kamień spadł mu z serca.

- Amelio, panny Aveton i Dana nie muszę ci przedstawiać. Zbliżcie się, chłopcy. Skinął na synów, którzy podeszli i ukłonili się ciotce.

- Widzę, że rosna jak na drożdżach. Niedługo będziesz tu miał prawdziwy regiment dorodnych młodzieńców.

Sebastian taktownie udał, że nie słyszy tej uwagi.

- Amelia przyjechała zapytać o zdrowie Prudence. Z radością mogłem jej zakomunikować, że, zdaniem lekarza, wszystko przebiega prawidłowo, nie mamy więc powodów do obaw.

- Pójdę do niej. - Hrabina sięgnęła po szal i woreczek. - Kobieta w odmiennym stanie nie powinna ulegać kaprysom i fanaberiom ani wylegiwać się w pościeli. Zamierzam udzielić jej kilku dobrych rad i spodziewam się, że przyjmie je z wdzięcznością.

- Przykro mi, moja droga, ale odwiedziny są wykluczone - odparł stanowczo Sebastian. - Prudence nie może teraz przyjmować gości. Wspomnę jej potem, że byłaś u nas i pytałaś, jak się czuje.

- A to ciekawe! - Hrabina obrzuciła go badawczym spojrzeniem. - W takim razie zastanawiam się, co tutaj robi ta młoda dama. Od pani Aveton, jej macochy, słyszałam, że ma podobno dotrzymywać towarzystwa twojej żonie i bawić ją rozmową.

- Owszem. Wczoraj spędziły razem dużo czasu i jutro zapewne również tak będzie. Dziś Judith zgodziła się łaskawie pójść z naszymi chłopcami na wystawę. Jestem wdzięczny, że była uprzejma mnie odciążyć.

- Trzeba było wysłać z chłopcami guwernera albo lokaja, skoro ten młody dżentelmen nie jest w stanie poradzić sobie z nimi bez cudzej pomocy.

- Brałem pod uwagę taką możliwość, ale postanowiłem zrobić inaczej. Martwisz mnie, Amelio. Cóż to za ogólniki? Dziwne sformułowanie: ten młody dżentelmen? Skąd wahanie w twoim głosie? Zapomniałaś jego imienia? Przecież to Dan, mój przybrany syn. Czy masz kłopoty z pamięcią?

Na twarzy zirytowanej hrabiny Amelii pojawiły się brzydkie czerwone plamy. Nie mogła dłużej ignorować Dana. Wbrew swym uprzedzeniom zmuszona była przywitać go lekkim skinieniem głowy. Odpowiedział na gest nienagannym ukłonem.

Judith była poważnie zaniepokojona. Od razu odgadła, jakie są prawdziwe powody odwiedzin Amelii. Pani Aveton pod żadnym pretekstem nie mogła wprosić się na Mount Street, ubłagała więc przyjaciółkę, żeby się tam rozejrzała, a następnie zdała jej szczegółową relację. Obie miały nadzieję, że ten zwiad dostarczy im tematu do plotek.

Prudence i Amelia nie darzyły się sympatią. Judith była świadoma, że hrabina dopiero teraz, w dziewiątym miesiącu niełatwej ciąży szwagierki zainteresowała się jej samopoczuciem. Przedtem ani razu nie pofatygowała się na Mount Street. Wniosek był oczywisty: przyjechała na przeszpiegi. Zamierzała donieść pani Aveton, co się dzieje u Wentworthów i jak spędza czas jej pasierbica.

Amelia zapewne nie posiadała się z radości, gdy Judith weszła z Danem do salonu. Wieść o ich wspólnej wyprawie do gabinetu figur woskowych także stanowiła dla obu plotkarek smakowity kąsek. Judith doskonale wiedziała, że nie było w niej żadnych dwuznacznych podtekstów, a jednak dręczyło ją poczucie winy. Błysk tryumfu w zmrużonych oczach Amelii nie poprawił jej humoru. Półgłosem wypowiedziała jakąś wymówkę i zamierzała opuścić salon, gdy drzwi otworzyły się szeroko i lokaj zaanonsował:

- Panna Grantham!

Leciwa dama z godnością przynależną jej podeszłemu wiekowi zbliżyła się do Sebastiana, a jej władczy sposób bycia sprawił, że hrabina została usunięta w cień.

- Jak się miewasz, drogi chłopcze? - zagadnęła pana domu, podając mu dłoń, którą ucałował z szacunkiem.

- Znakomicie, jak łaskawa pani sama dostrzega. - Szeroko uśmiechnięty Sebastian podsunął miłemu gościowi krzesło. - Co do pani, w ogóle nie muszę pytać. Biję od pani energia. Każde z nas mogłoby pozazdrościć takiej witalności.

- Och, pozory mylą, drogi chłopcze. Wcale nie jest ze mną tak dobrze, ale pociągnę jeszcze parę latek - odparła panna Grantham, sadowiac się wygodnie. Rozejrzała się po salonie.

- W pani wieku należy bardziej na siebie uważać - oznajmiła cierpko Amelia. - Doszły mnie wieści, w które nie chcę wierzyć. Mówiono, jakoby wybierała się pani do Turcji. Przecież to dziki kraj! Mam nadzieję, że powtórzono mi plotki, które pani teraz zdementuje. To niezbyt rozsądne...

- Dzięki za rady, Amelio, ale obejdę się bez nich. Jeśli zechcę poznać twoje zdanie, sama o nie zapytam. Wieści są prawdziwe. Za tydzień wyruszam.

- Proszę z nas nie kpić, panno Grantham - wdzięczyła się fałszywie Amelia. - Żarty to urocza rozrywka, ale nie wolno natrzęsać się z przyjaciół.

- Nie mam zwyczaju żartować. Nie byłam także świadoma, że jesteśmy zaprzyjaźnione. - Starsza pani zmierzyła hrabinę lodowatym spojrzeniem. - Dla ciebie taka podróż istotnie byłaby koszmarem. Jesteś w marnej formie. Obrastasz tłuszczem, Amelio. Jeśli nadal będziesz tak się obżerać, wkrótce zabraknie ci sił, żeby wstać z fotela.

Judith usłyszała stłumiony chichot i obrzuciła karcącym spojrzeniem stojącego za nią Dana. Uznała, że pora wtrącić swoje trzy grosze, żeby nie przedłużyć tej okropnej sceny.

- Chłopcy, opowiedzcie panie Grantham i waszej cici o gabinecie figur woskowych - zwróciła się do Thomasa. Spostrzegła, że zaniepokojeni chłopcy zbili się w gromadkę za krzesłem ojca. Zwykle tak się zachowywali podczas wizyt zgryźliwej ciotki.

Panna Grantham nie zamierzała tego tolerować. Stanowczym gestem skinęła na Thomasa.

- Podejź bliżej, dogi chłopcze - poleciała. - Judith wspomniała o figurach woskowych. Czego się dowiedziałeś podczas dzisiejszej wycieczki do galerii madame Tussaud? - spytała ostrym tonem, ale dla zachęty mrugnęła porozumiewawczo do Thomasa.

- Figury wyglądają tam jak żywi ludzie, panno Grantham. Oglądaliśmy wizerunki królów Anglii i Francji.

- Wylicz ich!

Thomas podał listę władców, a panna Grantham z uznaniem kiwnęła głową.

- Co ci się najbardziej podobało?

Thomas zerknął na Judith, która uśmiechnęła się, dodając mu otuchy.

- Komnata strachu, łaskawa pani. Poszedłem tam z Danem i Henrym.

Widzieliśmy, jak Charlotte Corday zabija Marata podczas kąpieli - odparł z lubością. Można by pomyśleć, że ma znowu przed oczami tę okropną scenę.

- Ohyda! - wybuchnęła hrabina, spoglądając na niego z przyganą. - Nie rozumiem, Sebastianie, jak możesz pozwalać, żeby twoich synów epatowano podobnymi okropnościami. Od takich widoków może im się pomieszać w głowach.

- Crispin nie wchodził do komnaty strachu - wtrąciła Judith.

-I ty mnie zdumiewasz, młoda damo, chociaż pani Aveton wspomniała mi, że ustawicznie ją zaskakujesz. Co ci strzeliło do głowy, żeby włóczyć się po mieście? Jak mogłaś zachować się w sposób tak nieodpowiedzialny?

Powstrzymam się od uwag na temat dżentelmena, który ci towarzyszył.

Niektórym młodzieńcom brak wyczucia, co przystoi, a co nie.

Judith spostrzegła, że twarz Sebastiana pociemniała z gniewu. Według zasad dobrego tonu nie mógł skarcić gościa pod swoim dachem, ale ponad wszelką wątpliwość był rozgniewany. Otworzył usta, chcąc odpowiedzieć, ale panna Grantham go uprzedziła.

- Bzdury! - rzuciła opryskliwie. - Nadużywasz mojej cierpliwości, Amelio, wygadując takie bzdury. Chłopiec odbył ciekawą lekcję historii. Czego, twoim zdaniem, należy uczyć Thomasa? Uważasz, że nie powinien znać prawdy? Przeszłość rzadko bywa świetlana i wzniosła. Kto twierdzi inaczej, chowa głowę w piasek.

Tego już było za wiele dla jej przeciwniczki. Zerwała się na równe nogi, lodowatym tonem pożegnała towarzystwo i wyszła. Sebastian odprowadził ją do powozu.

- Nigdy w życiu nie doznałam podobnego upokorzenia - złościła się Amelia. - Rzecz jasna, powiem o tym Brandonowi. Jak możecie tolerować w swoim domu tę despotyczną, impertynencką staruchę? Myśli, że podeszły wiek usprawiedliwia wszelkie wykroczenia przeciwko zasadom dobrego tonu. Sebastian uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Sama jesteś sobie winna. Niepotrzebnie udzielałaś jej rad - upomniał łagodnie, lecz rozgniewana Amelia oznajmiła z przekąsem:

- Chodziło mi jedynie o bezpieczeństwo panny Grantham. Zapewniam cię, że od tej chwili nie zamierzam się o nią martwić. Powinna trafić do przytułku dla obłąkanych. Wariatów należy trzymać w Bedlam. Tam jest ich miejsce. Wsiadła do powozu i natychmiast rozkazała stangretowi ruszać.

Gdy Sebastian wrócił do salonu, nie spostrzegł u panny Grantham żadnych oznak skruchy.

- Amelia pojechała wreszcie? - Pogodny głos świadczył o tym, że starsza pani jest w dobrym humorze. - Bogu niech będą dzięki! Ta kobieta ma dziwnie skwaszony wyraz twarzy. To mi działa na nerwy. Przy niej nawet święty dostałby szału.

- Spojrzała z ukosa na pana domu. - Mam nadzieję, że nie każesz mi jej przeproszać za dzisiejsze zachowanie.

- Wiem, że podobne sugestie byłyby daremne, droga cioteczko. Taka myśl w ogóle nie powstała mi w głowie. - Korzystając ze szczególnych praw, jakie dawało mu bliskie powinowactwo, usiadł obok niej i delikatnie trzepnął ręką jej dłoń. - Niedobra ciocia! Muszę dać ci burę. Uwielbiasz pokpiwać sobie z ludzi, i to w żywe oczy.

- To prawda. - Panna Grantham uśmiechnęła się szelmowsko. - To jedna z nielicznych przyjemności, jakie zostały mi na stare lata. - Zrobiła minę psotnego dziecka.

- Pewnego dnia trafisz na godnego siebie przeciwnika i zostaniesz pokonana w pojedynku na cięte riposty.

- Mój drogi chłopcze, kimkolwiek jest ta cudowna istota, niechże się wreszcie objawi. Nie jestem przecież nieśmiertelna.

Judith z przyjemnością obserwowała synów Sebastiana, którzy wyszli z za ojcowskiego fotela i krok po kroku przesuwali się ku uroczej staruszce.

- A co? Zamierzasz wkrótce umrzeć? - usłyszała ciekawski dziecięcy głosik. To Henry wypowiedział kłopotliwe pytanie. Starszy brat dał mu kuksańca.

- Nie wolno pytać o takie rzeczy - oznajmił teatralnym szeptem. - Nie wypada.

- Bzdura! - oburzyła się panna Grantham. - To bardzo rozsądne pytanie. - Pomarszczoną twarz, przypominającą orzech włoski, rozjaśnił wesoły uśmiech. - Na razie nie zamierzam przenosić się na tamten świat. Powiedziałam tylko, że

nie będę żyć wiecznie. Wielka szkoda! Życie jest pasjonującą przygodą, nie sądzisz?

- No pewnie! - oznajmił Henry i zamyślił się na moment. - Figury z wosku bardzo mi się podobały, ale nie miałem ochoty patrzeć na krew w wannie Marata.

- To nie była krew, tylko farba - oburzył się Thomas. - Wiem, bo spróbowałem. Wyznanie zostało skwitowane przez gości i domowników wybuchem śmiechu. Panna Grantham gratulowała Sebastianowi dociekliwego syna.

- Widzę, że wychowałeś prawdziwego naukowca. Thomasowi za taką postawę należą się wyrazy uznania. Masz właściwe podejście do sprawy, moje dziecko. Nie dawaj przyzwolenia na nic, co innym wydaje się oczywiste. Jeśli chcesz znać prawdę, eksperymentuj i sam doświadczaj wszystkiego.

Wywiązała się ożywiona dyskusja, którą po pewnym czasie zdecydowanie przerwał pan domu.

- Wybacz, droga ciociu, ale najwyższa pora, żeby moi młodzi naukowcy poszli na górę i zjedli kolację - usprawiedliwił się z przepaszającym uśmiechem. Judith postanowiła odprowadzić chłopców, ale obiecała, że niedługo wróci. Dan także wymówił się od towarzyskich obowiązków i wyszedł. Sebastian został sam ze swoim gościem. Uniósł brwi, a jego mina wyrażała nieme pytanie.

- Patrz sobie, patrz! I tak wiesz, o co mi chodzi. Przyjechałam wypytać, jaką tajemnicę tu przede mną ukrywacie.

## Rozdział jedenasty

Sebastian obrzucił pannę Grantham badawczym spojrzeniem.

- Ciocia wie?

- W tym rzecz, że nie wiem nic pewnego, ale mam pewne podejrzenia.

Obserwowałam uważnie twojego brata. Daremnie próbował mydlić mi oczy.

Czytam w jego twarzy jak w otwartej księdze. Sam wiesz, że udawanie nie należy do jego atutów.

Sebastian z uśmiechem skinął głową. Panna Grantham trafnie i zwięźle określiła charakter Perryego.

- Z kolei Elizabeth sprawia wrażenie roztargnionej. Martwi się, to pewne. Drogi chłopcze, co się tutaj dzieje? Chodzi o Prudence? Co przed nami ukrywasz?

- Moja żona ma się nieźle, choć męczy ją przymusowa bezczynność. Chwilami rwie się do działania, co nie wychodzi jej na dobre. Lekarz zalecił dziś odpoczynek, ale, jego zdaniem, ciąża przebiega prawidłowo.

- Ten doktor ma dużo zdrowego rozsądku. Cieszę się, że posłuchałeś mojej rady i zasięgasz jego opinii. Na szczęście oparł się modzie na ograniczanie posiłków brzemieniom kobietom. Ta zgubna tendencja sprawia, że biedaczki tracą siły i

chorują. -Panna Grantham zamierzała wspomnieć, że jej protegowany zawsze myje ręce, nim przystąpi do badania pacjentki lub pacjenta, a także ma osobliwy zwyczaj wrzucania lekarskich narzędzi do wrzątku przed ich użyciem. Miała o tym powiedzieć, ale ugryzła się w język. To nie był odpowiedni czas, aby przypominać Sebastianowi, że wkrótce medyk na dłużej zagości w jego domu.

- Zgadzam się z tobą, droga ciociu. Moim zdaniem, to najlepszy z londyńskich lekarzy. Jestem ci ogromnie wdzięczny, że nam go poleciłaś. A co pan doktor sądzi o twojej podróży do Turcji?

- Nie ma pojęcia, że się tam wybieram - odparła z tryumfem panna Grantham. - Od lat nie konsultowałam się z żadnym lekarzem i teraz nie zamierzam zmieniać obyczajów.

Sebastian z karcącym wyrazem twarzy pokiwał głową, a potem zaczął się śmiać.

- Wbrew temu, co powiedziałaś moim chłopcom, zaczynam podejrzewać, że mimo wszystko jesteś nieśmiertelna.

- Nie zmieniaj tematu, spryciarzu. Zadałam ci pytanie i czekam na odpowiedź.

- Są pewne trudności - przyznał Sebastian, znowu poważniejąc. - Prudence i Elizabeth martwią się o Judith.

- Słyszałam, że wasza przyjaciółka ma wkrótce poślubić modnego kaznodzieję.

- To prawda - odparł wymijająco Sebastian, który nie miał ochoty drażnić tego tematu.

- Cóż, trudno uznać ślub za życiową katastrofę, choć znam ludzi, którzy mają w tej kwestii odmienną opinię. Ja sama z pewnością nie wzięłabym sobie pastora za męża. Po co komu taki świętoszek, który na domiar złego jest zwykle pasożytem, żyjącym na koszt innych? O to chodzi? Nasze dziewczęta nie lubią narzeczonego Judith? Nie poznałam go dotąd. Nie słyszałam też jego tyrad.

- Trafiła ciocia w sedno - odparł Sebastian w nadziei, że panna Grantham zadowolili się taką odpowiedzią.

Poczuł na sobie badawcze spojrzenie świdrujących oczu staruszki.

- Nie należysz do mężczyzn, przejmujących się zbyt niewiściami kaprysmi. Spawa jest znacznie poważniejsza, ale nie chcesz ze mną o tym rozmawiać.

- Owszem, ciociu. Z radością otworzyłbym przed tobą serce, ale to byłoby nierozsądne. Mam zbyt mało informacji...

- Czy mogę być pomocna? Sebastian pokręcił głową.

- Musimy cierpliwie czekać na dalszy rozwój wypadków.

- To mi się nie podoba - odparła z naciskiem. - Mimo wszystko nie zamierzam cię więcej niepokoić, wtykając nos w cudze sprawy. Rozumiem, że sam sobie z tym poradzisz.

Sebastian popatrzył na zatroskaną twarz starszej pani. Tknięty nagłym impulsem, chwycił ją za rękę.

- Proszę się nie martwić - powiedział cicho. - Wszystko będzie dobrze. Nie musisz się obawiać ani o Elizabeth, ani o nas wszystkich. Damy sobie radę.

Widział, że usta jej podejrzenie drżą, jakby się miała rozplakać, ale zapanowała nad wzruszeniem i wyprostowała się energicznie.

- Z pewnością - oznajmiła dość szorstko. - Na mnie już pora. Elizabeth i Perry zaciągnęli mnie tutaj i obiecali, że po wizycie odwiozą starą ciotkę do domu. Przekaż Prudence moje pozdrowienia.

- Nie zajrzy ciocia do niej? - spytał zachęcająco. - Ogromnie ciocię lubi. Byłaby niepokieszona, gdybyście nie pogawędziły choć przez chwilę.

- Pochlebca! - skarciła go żartobliwie.

Gdy szli ku schodom, Sebastian asystował jej troskliwie i podał ramię na wypadek, gdyby podczas wspinaczki po schodach zapragnęła się na nim wesprzeć.

Nagrodą za wysiłek był dla niej radosny okrzyk Prudence, która z ożywieniem zachęcała, żeby starsza pani usiadła i porozmawiała z nią chwilę.

Gdy panna Grantham wróciła do holu, z zadowoleniem spojrzała na czekającego tam Sebastiana i natychmiast do niego podeszła.

- Prudence wygląda prześlicznie. Nie masz powodu do obaw - oznajmiła uradowana. - Możesz wszystkie siły poświęcić swojej tajemniczej sprawie, żeby jak najszybciej się z nią uporać. - Starannie naciągnęła rękawiczki. - Sebastianie, będziesz miał oko na wszystko, prawda?

- Naturalnie, proszę cioci.

- Uwważaj na Dana. Bardzo się zmienił w czasie kilkuletniej podróży.

Sebastian podziwiał rozum i przenikliwość wiekowej damy. Dan spędził w jej towarzystwie niewiele czasu i prawie się nie odzywał, a jednak dostrzegła przemiany, które w nim nastąpiły.

- Lepiej nie baw się w Kupidyna - ostrzegła panna Grantham.

- Czy ja wyglądam jak bożek miłości? - Sebastian wybuchnął śmiechem. - Przede wszystkim jestem o wiele mocniejszej postury. Ciocia bardziej go przypomina. A gdzie łuk i strzały?

Odepchnęła go niecierpliwym gestem, ale po minie poznał, że rozbawiło ją to porównanie. Wkrótce nadbiegła Elizabeth, a za nią Perry.

- Dobrze, że jesteście, kochani. Trzeba się pospieszyć. Muszę jeszcze spakować ulubione książki i papiery.

- Proszę nie zapomnieć o ostrym nożu, droga ciociu. Za miesiąc lub dwa zacnie ciocia żąć nim trawę dla swoich jaków i wielbłądów.

- Jaki w Turcji? Litości, młody człowieku! Jesteś niedouczony! Marsz do biblioteki! Dowiedz się, że jaki żyją tylko w Tybecie. - Spojrzała na niego z politowaniem i w asyście dwojga młodych ruszyła do wyjścia.

Sebastian pobiegł na górę. Gdy wszedł do pokoju żony, ta zanosila się od śmiechu.

- Dobrze, że jesteś, kochany. Bardzo żałuję, że ominęła mnie ta pocieszna scena. Judith opowiedziała mi właśnie, jak ciotka utarła nosa Amelii.

- Ty okrutnico! - skarcił ją żartobliwie. - Gdzie twoje chrześcijańskie miłosierdzie?

- Zapominam o nim, gdy rzecz dotyczy Amelii. Kochana panna Grantham. Toż to prawdziwy skarb!

- To bardzo mądra kobieta. Co ważniejsze, jej zdaniem wyglądasz kwitnąco. Pamiętaj o tym i dbaj o siebie. Powinnaś dzisiaj więcej odpoczywać. Zjesz kolację w sypialni?

- Owszem, ale pod warunkiem, że dotrzymasz mi towarzystwa. - Prudence spojrzała na męża rozkochanymi oczami.

- Mam zapomnieć o powinnościach pana domu?

- Judith nie będzie miała ci tego za złe. Oboje z Danem zawsze mają sobie wiele do powiedzenia, nie będą więc się nudzić. Łączy ich przyjaźń. Nas zresztą też. Sebastian ucałował włosy żony i popatrzył na Judith.

- Naprawdę nie będziesz miała nic przeciwko temu, żebym dziś wieczorem został z Prudence?

- Ależ skąd! - zaprzeczyła, trochę mijając się z prawdą. Coraz trudniej było jej rozmawiać z Danem. Miała wrażenie, jakby stopniowo się od niej oddalał. A może bujna wyobraźnia płata jej paskudne figle? Nie potrafiła rozstrzygnąć tego dylematu.

Wycieczka w towarzystwie chłopców była dla wszystkich niezwykle przyjemna. Judith daremnie próbowała sobie przypomnieć gest lub słowa, które mogły sprawić, że Dan odnosił się do niej z osobliwą rezerwą.

Pomyślała ze smutkiem, że te rozważania są bezprzedmiotowe, skoro wkrótce i tak zostanie pozbawiona upragnionego towarzystwa przyjaciół. Hrabina niewątpliwie postara się jak najszybciej przekazać pani Aveton swoje uwagi, a ta każe pasierbicy natychmiast wrócić do domu.

Judith przebierała się do kolacji, walcząc z rosnącym przygnębieniem. Aby ją rozweselić, Bessie wybrała na wieczór niezwykle piękną kreację z bładoróżowego muślinu, ozdobioną na dole szeroką lamówką.

- Bessie, nie wybieram się na bal - przypomniała Judith.

- Wiem, panienko. W takim wypadku przygotowałabym suknię z żółtego brokatu.

- Wielkie nieba! I tę zapakowałaś?

- Ależ skąd, panienko! - obruszyła się Bessie. - Włożyłam do kufra wyłącznie sukienki, nadające się do noszenia w domu. Niech panienka tyle nie dyskutuje, tylko się stroi. Szkoda czasu! Na kolację trzeba zejść punktualnie.

Judith poddała się potulnie upiększającym zabiegom zaordynowanym przez Bessie. Sprzeciwiła się dopiero wtedy, gdy pokojówka oznajmiła, że uczesze ją modnie, upinając włosy na czubku głowy. Kilka loków miało opadać swobodnie dla pokreślenia owalu twarzy.

- Doskonale wiesz, że to strata czasu. Nim dotrę do jadalni, wszystkie szpilki wypadną. Mimo twoich starań siądę do stołu z rozpuszczonymi włosami.

- Niech będzie, jak panienka sobie życzy. Przewiążę tylko włosy jasną wstążką, pasującą do sukni. O tak! Wygląda panienka jak z obrazka, że się tak wyrażę.

- Nie zawracaj mi głowy błahostkami - odparła posępnie Judith. - Zamierzam dziś wcześniej położyć się do łóżka. Nie musisz na mnie czekać. Sama sobie poradzę.



- Przecież zawsze czuwał do powrotu panienki, i tym razem nie pójde spać. -  
Bessie uśmiechnęła się ukradkiem.

Dan czekał na Judith w salonie. Drzwi były uchylone. Szła bezszelestnie po puszystym dywanie, lekka jak obłok w jedwabnych pantofelkach wiązanych na kostkach satynowymi wstążkami. -Dan?

Odwrócił się zbity z tropu i popatrzył na nią z uwielbieniem. Oczy mu zabłysły, lecz po chwili wziął się w garść. Za to Judith nie mogła uciszyć kołaczącego serca. Czyżby spojrzenie Dana wyrażało przed chwilę miłość i bezmierny zachwyty? A może jej się wydawało?

Uśmiechnął się do niej serdecznie, jak przystało na dobrego przyjaciela.

- Ślicznie wyglądasz, moja droga. Miło, że zechciałaś dotrzymać mi towarzystwa. Obawiałem się, że dzisiejsza wycieczka mocno cię zmęczyła.

- O nie! - zaprzeczyła stanowczo. - To była niezwykle udana wyprawa, a chłopcy bawili się znakomicie.

- W takim razie warto pomyśleć o kolejnej. Masz jakieś pomysły? Może obejrzymy pokaz musztry, start balonu, sztuczne ognie albo spektakl cyrkowy? Dzieciaki uwielbiają takie atrakcje.

- Muszę przyznać, że ja również.

- Tak przypuszczałem. W Astley s Royal Amphiteatre pokazywane są również żywe obrazy i przedstawienia teatralne. Ich treść jest pasjonująca. Co powiesz na „Atak Saracenów”? Gdyby ci nie odpowiadał, polecam „Walkę o wolność”. Oba dzieła robią piorunujące wrażenie. Co za efekty sceniczne! Zdumiewająca wystawność! - opowiadał z uśmiechem.

- Nie wątpię, że chłopcy będą zachwyceni taką wycieczką -odparła pogodnie. - Czytałam dokładny opis areny, na której John Astley i jego żona demonstrują jeździeckie umiejętności w czasie pokazów wołyżerki.

- Po namyśle dochodzę do wniosku, że taka lekcja może mieć dla chłopców katastrofalne następstwa. Obawiam się, że po powrocie do Cheshire Thomas i Henry zechcą naśladować obejrzone ewolucje i połamią sobie kości. Na szczęście w Londynie nie mają kucyków, więc akrobatyczne popisy w ich wykonaniu raczej nam nie grożą.

Rozległ się odgłos gongu. Dan podał Judith ramię i poprowadził ją do jadalni. Wielki stół został złożony, żeby mogli usiąść bliżej siebie i swobodnie rozmawiać. Blask świec, umieszczonych w jednym z kandelabrow, lśnił na kunsztownie rzeźbionych srebrach i cennej porcelanie.

Judith z zachwytem rozejrzała się wokół. Urocza jadalnia o ścianach wykładanych boazerią wydała jej się oazą spokoju. Wieczór spędzony z ukochanym miał być niczym cudowny balsam na zbolące serce.

Kucharz Sebastiana, prawdziwy mistrz w swoim fachu, jak zwykle przygotował znakomite potrawy, ale rozmarzona Judith prawie nie czuła ich smaku.

Machinalnie żuła maleńkie paszteciki z homara. Poprosiła o kawałek pieczonego kurczęcia, ale podziękowała za gęś w potrawce, szynkę w sosie z madero, pieczeń baranią i ozorki, które były specjalnością kucharza. Zazdrośnie strzegł

recepty na to wykwentne danie. - Droga Judith, ależ ty nic nie jesz! - skarcił ją Dan. - Jak tak dalej pójdzie, obrażony szef kuchni spakuje manatki i poszuka innego domu, w którym jego kunszt zostanie doceniony. Wcale mu się nie dziwię. Twoje porcje wracają do kuchni prawie nietknięte. Skubiesz te pyszności jak ptaszek

- Wybacz, byłam roztargniona - odparła, wracając do rzeczywistości. - Poprawię się przy deserach. Krem z żółtek i śmietanki jest pyszny. Mam także ochotę spróbować galaretki owocowej. - Nałożyła sobie po trochu obu słodkości. Miała nadzieję, że to wystarczy, aby ponownie wkraść się w łaski króla garnków i patelni.

Dan skinął na lokaja, każąc mu ponownie napełnić kieliszki.

- Nie, dziękuję! - Judith przykryła swój dłoń.

- Daj się namówić. To ci dobrze zrobi. Podobno czerwone wino stanowi panaceum na wszelkie dolegliwości. - Dan wyciągnął ramię, odsunął jej dłoń i dał znak lokajowi. Oboje patrzyli, jak rubinowy trunek spływa do kieliszków.

- Niestety, specyfik ten podawany w nazbyt dużych dawkach powoduje okropne bóle głowy - oznajmiła kpiąco Judith.

- Dwa kieliszki ci nie zaszkodzą.

- Obawiam się tylko, że zacznę paplać jak pensjonarka.

- To będzie miła odmiana. Jesteś dzisiaj bardzo milcząca.

- Naprawdę? Wybacz. Chyba nudzisz się w moim towarzystwie.

- Wiesz, że to nieprawda, moja najdroższa przyjaciółko. Jestem tylko odrobinę zaniepokojony, bo nim się do ciebie odezwałem, przez dziesięć minut milczałaś jak zaklęta

- Przepraszam bardzo. Nie bierz tego do siebie. Po prostu odpoczywam w ciszy tego cudownego wnętrza. Odzyskałam tutaj wewnętrzny spokój.

- Czyżbyś ostatnimi czasy rzadko mogła się nim cieszyć?

- Tak jest w istocie - przyznała. - Nasza domowa codzienność jest dosyć... burzliwa.

Dan usiadł wygodniej i zmierzył Judith badawczym spojrzeniem.

- Moim zdaniem, powinnaś użyć mocniejszych słów. Sam nie wiem, jak mieszkając pod jednym dachem z panią Aveton, mogłaś zachować niezmaconą pogodę ducha. Sądziłem, że dawno uciekłaś z jej domu, wychodząc za męża. Nie odczuwałaś dotąd takiej pokusy?

- Nie - odparła krótko. - Sądzę, że chciałbyś teraz wypić kieliszek porto i zapalić cygaro. Zapowiedziałam Bessie, że wcześniej się położę. Wybacz, ale pójdę już do siebie.

- Wykluczone! Dlaczego przede mną uciekasz? Nie mam ochoty na porto i cygaro. Wolę z tobą porozmawiać. Wróćmy do salonu.

Judith popatrzyła na pozbawione wyrazu twarze lokajów i kamerdynera. Gdyby odmówiła, Dan z pewnością nie dałby za wygraną, a wtedy w obecności służby doszłoby do przykrego sporu. Kiwnęła głową i bez słowa pozwoliła wyprowadzić się z jadalni.

- Jesteś na mnie zła? - spytał kpiąco Dan.

- Ależ skąd - odparła nieszczerze, bo czuła się nieswojo. Popęłniła błąd, wspominając o pani Aveton. Spochmurniała, myśląc o macosze, bo uświadomiła sobie, że najdalej jutro dotrą do niej intrygujące plotki o wspólnej wycieczce Dana i pasierbicy do gabinetu figur woskowych madame Tussaud. Bez przyzwoitki! Obecność trzech małoletnich synów Sebastiana, którymi oboje się opiekowali, zostanie rzecz jasna pominięta milczeniem.

Dan wrócił do poprzedniego tematu, mimo woli przysparzając jej trosk.

- Czekam na twoją decyzję - przypomniał.

- W jakiej kwestii?

- Kolejnej wycieczki. Cyrk, sztuczne ognie czy start balonu? Co wybierasz?

- Obawiam się, że wkrótce będę musiała opuścić ten gościnny dom - odparła zduszonym głosem.

- Dlaczego? Twoja macocha wyraziła zgodę na kilkudniowe odwiedziny.

- Okazała się łaskawa, bo sądziła, że wyjechałeś na dłużej. Nie rozumiesz, Dan? Hrabina przyjechała tutaj na przespiewki. Narobi plotek, a macocha każe mi wrócić do domu.

- Domyślam się, że nie rozmawiałas o tym z Sebastianem.

- W tym wypadku jego interwencja nie przyniesie żadnego skutku. Jeśli macocha każe mi wrócić, nawet on będzie bezsilny. Co więcej, czuję się winna... - Łza spłynęła jej po policzku.

- Niepotrzebnie.

Obojgu wydawało się, że siedzą bez ruchu, lecz niespodziewanie Judith znalazła się w ramionach Dana. Przytuliła twarz do jego piersi okrytej gładką tkaniną surduta. Miała wrażenie, że spełniają się jej najszybsze pragnienia. Oczekiwała, że lada chwila usłyszy miłosne wyznanie. Dan powie, że jego uczucia pozostały niezmiennione, że nadal ją kocha.

Uniosła zalaną łzami twarz, marząc o pocałunku, który rozproszyłby smutne wspomnienie o tęsknocie, rozłące i samotności. Popatrzyła na niego rozkochanym wzrokiem, ale nie doczekała się upragnionej nagrody.

Dan ostrożnie położył dłonie na ramionach Judith i odsunął ją na bezpieczną odległość.

- Bardzo mi przykro, że jesteś dziś taka przygnębiona - wymamrotał nieswoim głosem. - Zaufaj Sebastianowi. On nie pozwoli, żeby cię nam zabrano.

Judith oniemiała. Była jak porażona. Czuła się tak, jakby ją uderzył. Wolałaby takie poniżenie, bo po mocnym ciosie straciłaby przytomność, zamiast znosić katusze. Ból zadany słowem i gorycz odrzucenia przyprawiły ją o cierpienie, którego wcześniej nie potrafiła sobie wyobrazić.

Narzuciła się Danowi, została więc odepchnięta. Okazała mu czułość i ofiarowała serce, ale go nie chciał. Gdy pobladła, pomógł jej usiąść. Była roztrzęsiona, nie spostrzegła więc, że i on drży.

Dan doświadczał podobnych katuszy. Po raz pierwszy w życiu tak się męczył, bo nie mógł wyznać najdroższej istocie, jak bardzo ją kocha. Gdyby powiedział

prawdę, naraziłby Judith na śmiertelne niebezpieczeństwo. Tymczasem musiał skupić się na tym, żeby ją przed nim ochronić.

Bez słowa nalał brandy do szklaneczki.

- Jesteś zdenerwowana - mruknął. - Wypij. To cię powinno uspokoić.

Odsunęła podaną szklaneczkę i wstała, chwiejąc się na nogach. Dan wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać, ale cofnęła się gwałtownie.

-Błagam... Nie dotykaj mnie! - krzyknęła rozpaczliwie, boleśnie raniąc mu serce. Pragnęła jak najszybciej uciec i skryć się w bezpiecznym miejscu, ale wspinaczka po schodach okazała się nie lada wyzwaniem. Judith miała wrażenie, że brnie przez bagno, które wciąga ją z każdym krokiem. Ostatek sił dotarła do swojego pokoju.

Gdy otworzyła drzwi, spragniona nowin Bessie zerwała się na równe nogi.

Spojrzała na poszarzałą twarz Judith i rzuciła się na pomoc.

- Co tam, panienko! Najpierw trzeba usiąść. Wygląda panienka, jakby zobaczyła ducha.

Judith milczała. Dobra metafora, przemknęło jej przez myśl. Istotnie ujrzała widmo przeszłości, do której nie było powrotu. Siedziała na brzegu łóżka, niewidzącym wzrokiem patrząc w głąb pokoju. Straciła nadzieję, a jej przyszłość objawiła się jako groźna ciemna otchłań.

Bessie nie mogła spokojnie patrzeć na rozpacz panienki. Przytuliła ją mocno i kołysała w ramionach, szepcząc czule, jakby pocieszała skrzywdzone dziecko.

- Niech panienka się nie martwi - mamrotała. - Nocą wszystkie troski wydają się nie do pokonania. Rankiem inaczej panienka na nie spojrzysz.

Łagodny głos i wielka serdeczność stały się balsamem dla zranionej duszy.

Judith wybuchnęła płaczem, a gdy się uspokoiła, wyjawiała:

- To nie do zniesienia. Och, Bessie...

Bessie wolała nie pytać, co się stało. I tak wiedziała, że młodzi nie zdołali się porozumieć, choć każde kochało całym sercem. Czuła się bezsilna, bo w tych sprawach nie można nikomu podpowiadać. Mogła tylko pocieszać Judith i zadbać o jej wygody.

- Trzeba się położyć do łóżka - tłumaczyła kojącym głosem. - Potem wypije panienka szklankę mleka z miodem. To dobre na sen. - Podniosła Judith i pomogła jej zdjąć suknię. Następnie posadziła bezwładną i osowiałą panienkę w fotelu i długo szczytkowała jej włosy.

Powolne, łagodne ruchy milczącej teraz Bessie przynosiły ukojenie. Judith przymknęła oczy. Pokojówka odłożyła szczytkę i zaczęła masować skronie swej podopiecznej. Opuszkami palców zataczała niewielkie koła. To był jej ulubiony sposób na dokuczliwe migreny.

- Jak tam, panienko? Lepiej? - zapytała.

Judith w milczeniu kiwnęła głową.

- Proszę wypić gorące mleko. Tylko niech panienka w żadnym razie nie wstaje jutro na śniadanie. Przyniosę jedzenie do łóżka. Jak się dużo dzieje i nerwy

człowieka zżerają, od razu zaczyna chorować. Trzeba o siebie dbać, bo inaczej gdzie te zgryzoty panienkę zaprowadzą?

- Do łóżka - odparła z kpiącym uśmiechem.

- Żarty na bok - gderwała dobrodusznie Bessie. - Nie można pozwolić, żeby lady Wentworth się zamartwiała. Miała ją panienka rozweselić. Nic z tego nie będzie, jeśli zaczniemy łkać i cierpieć jak, nie przymierzając, słynna Sarah Siddons. Judith chwyciła dłoń Bessie i popatrzyła na nią, nie kryjąc szczerzej sympatii.

- Nie gniewaj się, moja droga - poprosiła. - Obiecuję, że nie będę udawać złołej królowej z tragedii.

Bessie z czułością popatrzyła na Judith.

- Wiem. Zawsze panienka dzielnie się trzyma i nie daje po sobie poznać, co czuje. Tylko ja wiem... No, dość gadania. Nic więcej nie powiem.

Zdmuchnęła świecę i wymknęła się z sypialni, zostawiając Judith samą w ciemnościach nocy. Wkrótce znużenie okazało się silniejsze niż gonitwa myśli wywołana zdarzeniami mijającego dnia. Judith zapadła w sen.

Dan siedział w salonie na dole przy dogasającym ogniu. Nie pozwolił lokajowi dorzucić drew ani wymienić ogarków o pełgających płomykach.

Ukrył się w półmroku ze swoim cierpieniem. Poraziła go rozpacz Judith. Nerwy miał napięte jak postronki. Oddałby wszystko, byle oszczędzić jej bólu.

Przekonał się, że w porównaniu z siłą uczucia męska duma nie ma żadnej wartości. Wyrzucał sobie, że był głupcem i wstecznikiem. Przekonał się, że Judith nie dba o swoje pieniądze i kocha go całym sercem. Jakim prawem przedkładał dotąd własne zasady nad ich wspólne szczęście? Teraz był przekonany, że kierowała nim tylko próżność.

Długo ważył argumenty, nim podjął ostateczną decyzję. Postanowił, że nazajutrz wytłumaczy Sebastianowi co i jak. Nie potrafił dłużej udawać, jakoby Judith była mu obojętna. Dotrzymanie obietnicy danej przybranemu ojcu stało się zadaniem ponad siły. Dan znalazł także sposób, żeby uchronić Judith przed zakusami Truscotta. Gdyby potajemnie wzięli ślub, niebezpieczeństwo zostałoby zażegnane.

Zgniótł niedopałek cygara. Nauczył się je palić podczas pobytu w Indiach Zachodnich i wolał od tabaki.

Wiedział, jak należy postąpić, od razu więc nabrał otuchy. Dziwił się, czemu to najprostsze z możliwych rozwiązań nie przyszło mu wcześniej do głowy. Tylko głupiec nie dostrzegłby wynikających z niego pożytków. Gdy chciwy pastor zrozumie, że Judith jest dla niego stracona, poszuka innej dziedziczki.

Dan zastanawiał się, jak będzie teraz wyglądało jego życie. Wielki świat uzna, że ożenił się dla pieniędzy, ale po kilku dniach przestanie się tym zajmować.

Bywalcy salonów uznają, że jest równie sprytny jak inni łowcy posagów, w których żyłach płynie błękitna krew. Takie małżeństwa były przecież na porządku dziennym. Podczas londyńskich sezonów aranżowano ich dziesiątki.

Do dzisiejszego wieczoru Dan, powodowany dumą i poczuciem godności, odrzucał taką możliwość. Najwyższy czas, żeby przestał myśleć o sobie i dla

odmiany zatroszczył się o Judith. Niech ludzie gadają, co im się podoba. Oboje z Judith za nic mieli opinie salonów. Co więcej, Dan był przekonany, że z czasem jego talent zostanie doceniony, a dochody pozwolą utrzymać rodzinę.

Pogrążony w zadumie opuścił salon. Następnego ranka zamierzał wypytać Sebastiana, jak można uzyskać pozwolenie na szybki, cichy ślub. Wkrótce opadły go wątpliwości. Czy Judith zechce oddać mu rękę? Bez przekonania założył, że ukochana przyjmie oświadczyiny. W takim wypadku trzeba się liczyć z tym, że pośpiech wyda jej się niestosowny. Trzeba ją będzie przekonać, że od tego zależy szczęście i bezpieczeństwo ich obojga. Nie mogli sobie pozwolić na luksus oczekiwania. Sebastian wielokrotnie ostrzegał go, z jakim zagrożeniem łączy się dla Judith zerwanie zaręczyn z Charlesem Truscottem.

Dan dostrzegł smugę światła, przedostającą się spod drzwi biblioteki. Domyślił się, że Sebastian czyta albo pracuje, zapukał więc energicznie i wszedł do środka. Przystanął w pół kroku, bo przybrany ojciec miał gościa. Obok niego siedział w fotelu potężnie zbudowany mężczyzna. Dan od razu pomyślał, że natknął się przypadkiem na tajnego agenta, któremu powierzono rozpracowanie Truscotta. Nieznajomy powitał go skinieniem głowy i zamilkł.

- W porządku, Babb. Możecie kontynuować. To mój przybrany syn. Nie mam przed nim żadnych sekretów - powiedział Sebastian i skinął na Dana, dając mu znak, żeby usiadł.

- Jak wspominałem, milordzie, podejrzany znów opuścił plebanię. Dzisiaj odwiedził kolonię w St Giles i całe popołudnie przesiedział z Margrave'em w szynku. Obaj sporo wypili.

- Są teraz przyjaciółmi? - Sebastian zmarszczył brwi.

- Na to wygląda. Pozostałej trójki z nimi nie widziałem.

- Udało wam się podejść bliżej? Słyszeliście coś, Babb?

- Niestety, milordzie. Margrave mnie zna. Jest nieufny jak dziki kot. Nie sposób go podejść. Coś przewącha i cała robota na nic. Wiem, że dla waszej lordowskiej mości to bardzo ważna sprawa, działałem więc ostrożnie i trzymam się na uboczu, żeby tamci dwaj mnie nie wypatrzyli.

- Jakie odniosłeś wrażenie? Co ci podpowiada intuicja? Sprzeczała się?

- Nie. Przez trzy godziny nic tylko śmiechy, żarty i przekomarzanie. Truscott wyszedł pierwszy. Śledziłem go do Seven Dials. Jak zwykle został tam na noc, przyszedłem więc do waszej lordowskiej mości, żeby złożyć raport.

- Słuszna decyzja. Jutro nadal macie go śledzić. Potrzebujecie więcej ludzi?

- Na razie nie, milordzie. Jakby co, dam znać. Odmeldowuję się, a o świcie będę znów na posterunku.

Dan odczekał, aż drzwi zamkną się za agentem.

- Co się dzieje, Sebastianie?

- Trudno powiedzieć, ale mam złe przeczucia. To mi się nie podoba.

- Mnie również. Śledztwo nie przyniosło spodziewanych efektów. Posuwamy się naprzód w żółwym tempie albo kręcimy się w kółko. Trzeba zmienić taktykę, bo

inaczej stanie się najgorsze i Judith poślubi tego nikczemnika, nim poznamy całą prawdę.

- Drogi chłopcze, doradzam ostrożność. Poczekajmy dzień lub dwa...

- Nie mogę - odparł znużonym głosem Dan. - Podjąłem decyzję. Sam się dziwię, że wcześniej na to nie wpadłem. Gdybym ożenił się z Judith natychmiast, powiedzmy jutro, byłaby całkiem bezpieczna.

Sebastian pokręcił głową.

- To nie jest wyjście, Dan. Uprzedzałem cię o wszystkich zagrożeniach. A jeśli pojawią się komplikacje?

- Jakże? Opuścimy dom niepostrzeżenie, na przykład w przebraniu. Godzinę później będziemy małżeństwem. Jak zdobyć pozwolenie na ślub bez dawania na zapowiedzi oraz innych formalności?

- Z tym nie będziesz miał żadnych trudności - zapewnił Sebastian. -

Rozmawiałeś z Judith?

- Jeszcze nie. - Dan zrobił się czerwony. - Nie sądzę, żebym jej był obojętny, choć obawiałem się tego, gdy przystała na ślub z Truscottem. Zyskałem pewność, że nadal darzy mnie uczuciem.

- Zapewne masz rację, ale jak wytłumaczysz ten pośpiech?

- Usłyszy całą prawdę o pastorze.

- Sądzisz, że ci uwierzy? Nie mamy przeciwko niemu żadnych dowodów. Same podejrzenia, poszlaki albo pospolite grzeszki.

- Czy to ważne?! - krzyknął zniecierpliwiony Dan. - Jeśli mnie kocha, zgodzi się wziąć ślub, nie bacząc na termin i okoliczności.

- Radzę ci ponownie wszystko przemyśleć. - Sebastian wstał z fotela i zaczął chodzić po bibliotece. - Jesteś pewny, że wiesz, na co się decydujesz? Pozostaje kwestia majątku Judith.

Dan poczerwieniał jeszcze bardziej.

- Skąd wiesz, że to dla mnie najpoważniejsza przeszkoda? O tym nie rozmawialiśmy

- Nie było takiej potrzeby. Dobrze cię znam, mój synu. Naprawdę potrafisz żyć ze świadomością, że to żona cię utrzymuje? - Sebastian umyślnie postawił sprawę w ten sposób. Jego pytanie cechowała okrutna szczerłość. Próbował zapobiec niemal pewnej katastrofie. Gotów był nawet otwarcie przyznać, że, jego zdaniem, plan Dana nie ma szans powodzenia, bo wynika z młodzieńczej głupoty.

Dan był czerwony jak burak.

- To cios poniżej pasa - odparł z godnością. - Muszę ci wyznać, że wstydę się teraz fałszywej dumy. Zbyt długo nie pozwalała mi zrozumieć, co jest dla mnie najważniejsze. Mam na myśli bezpieczeństwo Judith.

- Twój pomysł to nie najlepszy sposób, żeby ją chronić. Najpierw trzeba aresztować Truscotta.

- Wątpię, czy do tego dojdzie. Boleję nad tym, że sprzeciwiam się twoim wskazówkom, ale podjąłem decyzję.

- Rozumiem. Biskup Henderson wyda ci odpowiednie zezwolenie. Masz tu adres. - Sebastian napisał kilka słów na kartce. - A teraz wybacz, muszę iść do Prudence.

- Mam nadzieję, że nie powiesz jej o moich zamysłach. - Na twarzy Dana malowało się zaniepokojenie.

- Ma się rozumieć! Ty również trzymaj język za zębami. Jedyna rada, jakiej ci udzielię, jest prosta: nikogo nie wtajemniczaj w swoje plany - dodał ponuro Sebastian i wyszedł.

## Rozdział dwunasty

Następnego ranka Dan wstał o świcie. Miał nadzieję, że szybko załatwi formalności, ale uzyskanie pozwolenia na ślub nie było takie proste, jak mu się wydawało.

Biskup nie przyjmował interesantów przed porannym nabożeństwem, a potem w jego przedpokoju czekało wiele osób, które wcześniej poprosiły o audiencję. Dan został przyjęty dopiero wczesnym popołudniem.

Kolejna godzina zeszła biedakowi na słuchaniu kazania, dotyczącego ewentualnej zgody na szybki ślub. Na koniec biskup zapowiedział stanowczo, że nie da swego pozwolenia, jeżeli młodzi są uciekinierami.

- Zapewniam Waszą Ekszelencję, że nasza sytuacja jest całkiem inna. Mimo to nalegam, bo czas nagli. Musimy pobrać się natychmiast.

- Przyznam szczerze, młody człowieku, że gdyby nie twoje rodzinne związki z lordem Wentworthem, odmówiłbym bez wahania. Czy jego lordowską moc wiesz o tej sprawie?

- Owszem, Wasza Ekszelencjo. Wczoraj wieczorem omówiliśmy wszystko. Sam zaproponowałem, żebyśmy udali się do Waszej Ekszelencji.

Te słowa położyły kres utyskiwaniom zatroskanego dostojnika. Wkrótce Dan pędził na Mount Street z bezcennym dokumentem w kieszeni.

Na miejscu czekało go przykre rozczarowanie. Mijały godziny, a Judith stała była czymś zaabsorbowana, nie mógł więc z nią porozmawiać na osobności. W domu było gwarno i wesoło. Tego dnia Perry i Elizabeth postanowili zjeść kolację w rodzinnym gronie. Prudence czuła się silniejsza i zeszła na dół, by przyłączyć się do miłego towarzystwa.

Gdy po kolacji damy odpoczywały w salonie, a panowie udali się do palarni, Dan siedział jak na szpilkach. Milczał, nie włączając się do rozmowy braci Wentworth. Podczas kolacji nie tknął żadnej z serwowanych potraw. Schowany w kieszeni cenny dokument palił go żywym ogniem.

Gdy Perry zaproponował mu kieliszek portu, odmówił, kręcąc głową.



- Chory jesteś czy co? Wielkie nieba, człowieku! W czasie kolacji zjadłeś tyle co nic. Jeśli taki żarłok jak ty stracił apetyt, sprawa musi być poważna. Naszego Dana wyraźnie ciągnie do salonu. Nie uważasz, stary, że zrobił się z niego bawidamek?

Rozdrażniony młodzieniec miał na końcu języka ciętą ripostę, lecz ostrzegawcze spojrzenie Sebastiana sprawiło, że ją sobie darował.

- Dan ma rację - uznał jego przybrany ojciec. - Chodźmy do naszych pań. Robi się późno. Nie chciałbym, żeby Prudence zbyt długo się zasiedziała, bo wtedy traci siły.

Dan spojrział na niego z wdzięcznością, ale jego radość nie trwała długo. Gdy Prudence oznajmiła, że idzie się położyć, Judith pospieszyła za nią na górę. Dan spędził kolejną bezsenłą noc, zastanawiając się, jak sprawić, żeby mogli porozmawiać bez świadków. Miał nadzieję, że nazajutrz znajdzie wreszcie sposób, żeby przedstawić Judith swój plan. Od rana miał wrażenie, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. Tego dnia wypadały urodziny Henry'ego, któremu dawno obiecał dać w prezencie welocyped.

Prudence najpierw protestowała, argumentując, że Henry jest za mały i nie zapanuje nad chybotliwym pojazdem, ale została natychmiast zakrzyczana przez męską większość. Dan i Perry wyruszyli z Henrym i jego braćmi do sklepu z towarami żelaznymi, aby kupić obiecane чудо.

W programie urodzinowej wycieczki znalazło się również zwiedzanie nowej mennicy, w której zainstalowano najnowocześniejsze oświetlenie gazowe oraz wiele maszyn parowych. Gościom pozwolono nawet własnoręcznie tłoczyć monety. Zapadał zmierzch, gdy syci wrażeń powrócili na Mount Street.

Chłopcy podziękowali wylewnie za wspaniałą wycieczkę. Dan odesłał ich na górę, a sam pobiegł przebrać się do kolacji.

Nie mógł dłużej czekać. Przysięgł sobie, że dziś wieczorem rozmówi się z Judith, nawet gdyby miał przy wszystkich błagać o chwilę rozmowy w cztery oczy.

Obawiał się, że macocha każe jej wkrótce wrócić do domu. Już wczoraj spodziewano się u Wentworthów nieprzyjemnego bileciku od pani Aveton. Wszyscy zadawali sobie pytanie, czemu ta podła megiera jeszcze nie wezwała do siebie pasierbicy. Hrabina Amelia zdążyła na pewno poinformować ją o rzekomo nagannym zachowaniu Judith. Dan dziwił się, że jego dawna nieprzyjaciółka zwleka z karą i reprimendą. A może z upływem lat stała się pobłażliwsza i bardziej ufała ludziom?

Mylił się całkowicie, oceniając w ten sposób panią Aveton. Gdy usłyszała o wycieczce, którą Judith odbyła w towarzystwie Dana i chłopców, wpadła w furję. Nie poczyniła jednak żadnych kroków z obawy przed Truscottem, który najwyraźniej życzył sobie, aby jego narzeczona jak najdłużej gościła na Mount Street.

Tego wieczoru dla Dana kolacja znów ciągnęła się w nieskończoność. Czynił heroiczne wysiłki, by uczestniczyć w ogólnej rozmowie, ale efekty były znikome.

Nie uszło jego uwagi, że Judith także rzadko się odzywa. Była blada, ale spokojna. Mówiła głównie do pań i unikała jego spojrzenia.

Tym razem Sebastian zlitował się nad Danem. Gdy panie przeszły do salonu, z humorem zapowiedział Perryemu, że musi szybko wypić swoje porto. Dodał, że Prudence wylażała go wczoraj, bo, jej zdaniem, damy zbyt długo musiały czekać, aż panowie raczą do nich dołączyć.

Gdy opuszczali jadalnię, skinął na Dana.

- Trwasz przy swoim zamiarze? - spytał przyciszonym głosem. Gdy Dan kiwnął głową, padły znaczące słowa. - W takim razie dziś musisz się zdeklarować.

Powiesz mi później, jak ci poszło, zgoda?

We trójkę wkroczyli do salonu, gdzie czekały damy. Dan z trudem ukrywał radosne ożywienie. Natychmiast podszedł do Judith.

- Muszę z tobą porozmawiać na osobności - powiedział cicho.

W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że go nie usłyszała. Gdy Sebastian usadowił resztę towarzystwa w zacisznym kąciku z dala od nich, Dan powtórzył głośniejszą swoją prośbę. Judith zarumieniła się, pokręciła głową i odeszła pod byle pretekstem.

Sebastian wyczuł, co się dzieje, i śmiało wkroczył do akcji.

- Judith, mam do ciebie prośbę. Mogłabyś pójść do sypialni Prudence i przynieść orzeźwiająca miksturę do nacierania skroni? Moja pani zapomniała włożyć flakon do woreczka, a chciałaby się odświeżyć.

Nie zważając na zdumione spojrzenie żony, uśmiechnął się do uczynnej Judith, która natychmiast pomknęła na górę. Ukradkiem dał znak Danowi, żeby pędził za nią. Gdy sytuacja została opanowana, zajął się najbliższymi.

Dan nie potrzebował dodatkowej zachęty. Opuścił salon i dogonił Judith przy schodach.

- Błagam, wysłuchaj mnie! Proszę o kilka minut rozmowy w cztery oczy. - Wziął ją za ramię i pociągnął ku drzwiom jadalni.

- Nie! - krzyknęła z rozpaczą, wyrывая się natychmiast. - Zostaw mnie w spokoju!

- Najpierw musisz mnie wysłuchać.

- A więc zgoda. - Judith uświadomiła sobie, że w holu stoi lokaj.

Gdy drzwi zamknęły się za nimi, stanęła z Danem twarzą w twarz.

- Jak śmiesz cokolwiek na mnie wymuszać? Wyraźnie dałam ci do zrozumienia, że nie chcę z tobą rozmawiać. Mam dość obaw, lęków i ciągłego niepokoju.

Wygląda na to, że każdy wie, co jest dla mnie najlepsze, tylko ja jedna nie potrafię dokonać właściwego wyboru.

Dan na próżno starał się wziąć Judith za rękę, Wyrwała ją natychmiast.

- Nie waż się powoływać na naszą dawną przyjaźń. Mów, co masz do powiedzenia, i pozwól mi odejść.

- Zechcesz usiąść? - Podsunął jej krzesło, ale odwróciła się plecami, sztywna i wyprostowana, jakby kij połknęła. - Niczego mi nie ułatwiasz - rzekł z rezygnacją. - Judith, chciałbym prosić, żebyś za mnie wyszła.

- Jak śmiesz? - krzyknęła. - Co ci przyszło do głowy? Jak możesz oświadczać mi się z litości?

- Uważasz, że byłbym do tego zdolny? Tak nisko mnie cenisz? Poprosiłem o twoją rękę, bo cię kocham!

- Dziwnie to okazujesz. Nie wierzę ci...

- Będziesz musiała. - Wyjął z kieszeni wystawione przez biskupa pozwolenie na ślub. - Judith, jeśli mnie zechcesz, jutro możemy się pobrać.

Uważnie obejrzała dokument.

- Specjalne zezwolenie? Co za tupet! Zdumiewasz mnie! Po co ten pośpiech? Nie przypominam sobie, żebyś po swoim powrocie składał mi dowody niezłomnej miłości. Wręcz przeciwnie. Dawałeś do zrozumienia, że tamto uczucie wygasło.

- Ze względu na bardzo ważne okoliczności nie miałem wyboru. Musiałem tak postąpić - powiedział. - Chodziło... między innymi o twój majątek.

- Nadal go posiadam.

- Poza tym nie wiedziałem, czy choć trochę ci na mnie zależy. Byłaś zaręczona z Truscottem.

- Nie spytałeś, co do ciebie czuję - szepnęła prawie niedosłyszalnie.

- Teraz pytam. Najmilsza moja, błagam, obiecaj, że za niego nie wyjdiesz!

- Ach, więc o to chodzi! - krzyknęła ze złością. - Chcesz dopiąć swego, nie bacząc na przeszkody. Tak się nie godzi, Dan. Tego się po tobie nie spodziewałam.

Kimże ty jesteś, żeby osądzać Charlesa Truscotta? On przynajmniej nie udaje, że darzy mnie uczuciem.

- Mylisz się, Judith. Kocham cię. Naprawdę chcesz zmarnować sobie życie, wiążąc się z tym indywiduum?

- Dość! Nie zamierzam dłużej tego słuchać. Jakim prawem krytykujesz człowieka, którego wybrałam sobie na męża? Charles jest zacny i miły. Postanowiłam za niego wyjść i słowa dotrzymam. Weźmiemy ślub.

Rozplakała się i wybiegła z jadalni.

Dan opadł na krzesło. Miał wrażenie, że stoi nad przepaścią. Zbyt dobrze grał swoją rolę. Judith dała się nabrać. Doszła do wniosku, że przestał ją kochać, i teraz żadne argumenty nie mogły jej skłonić do zmiany zdania. Co gorsza, uznała Dana za pyszałka oraz intryganta.

Ileż by dał, żeby przedstawić jej choć jeden niezbity dowód, że zaręczyła się z nikczemnikiem. Jednak nie dysponował przekonującymi argumentami. Pograżył się w rozpacz, przeklinając łajdaka Truscotta, opieszałego agenta i okrutny los, który zbyt późno sprowadził go do Anglii.

Miał świadomość, że stracił jedyną miłość swego życia. Ogarnięty rozpaczą ukrył twarz w dłoniach.

Długo siedział bez ruchu. Z odrętwienia wyrwał go Sebastian. Zaniepokojony przedłużającą się nieobecnością przybranego syna uznał, że trzeba go poszukać. Współczującym gestem położył mu dłoń na ramieniu.

- I cóż? - zapytał.

- Nie chce mnie. To nie do wiary! Byłem pewny, że nadal mnie kocha.

- Radzę ci nie tracić nadziei, drogi chłopcze. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

- Ostrzegalesz mnie. Jestem tego świadomy. Pochopnymi oświadczynami tylko pogorszyłem sprawę. Judith sądzi, że poprosiłem ją o rękę z litości, a także z powodu niechęci do Truscotta. W ogóle nie chce ze mną rozmawiać. Jak mam ją przekonać? Ostatecznie zdecydowała się wyjść za Truscotta.

- Ślubu jeszcze nie było. Dołączysz do naszych pań?

- Możesz mnie jakoś usprawiedliwić? Nie byłbym teraz w stanie patrzeć spokojnie na Judith.

- Wcale nie musisz. Biedactwo wymówiła się migreną i poszła na górę. Chodź ze mną do salonu. Wśród bliskich łatwiej ci będzie odzyskać równowagę. Judith nie skłamała. Nagły atak migreny sprawił, że musiała położyć się do łóżka. Przyciskała palce do skroni, daremnie próbując złagodzić tępy ból, rozsadzający czaszkę.

Ilekcć przypominała sobie oświadczyzny Dana, robiło jej się ciężko na sercu.

Dwa dni temu odepchnął ją, chociaż nie ukrywała, że bardzo go kocha. Gotowa była rzucić mu się w ramiona, a on nawet nie próbował jej pocałować. Dziś wyraźnie oczekiwał, że zostanie przyjęty, a Judith będzie mu dozgonnie wdzięczna, ponieważ udaremnił jej zamążpójście, którego nie pochwałał.

Na widok pozwolenia z biskupią pieczęcią i podpisem niespodziewanie poczuła odrazę. Przemknęło jej przez myśl, że Dan tak się śpieszy, bo uznał za konieczne położyć rękę na jej majątku. Skoro nie udało mu się na razie zainteresować swoimi projektami admirała Nelsona, postanowił inaczej zabezpieczyć sobie przyszłość. Może stracił nadzieję na zyskowny kontrakt i karierę w marynarce wojennej.

W głębi serca wiedziała, że to bzdura. Dan nie był interesowny i gorąco pragnął sam się wybić, bo wierzył w swój talent.

Dlaczego nie mówił o miłości tego wieczoru, gdy omal nie rzuciła mu się na szyję? Wtedy uwierzyłaby w każde jego słowo. Teraz nie potrafiła mu zaufać, bo nadal czuła ból odrzucenia.

Dwa dni temu pozostał obojętny. Dzisiaj zapewniał, że kocha, lecz o swojej miłości mówił rzeczowo i chłodno. Judith, udręczona duchowym i fizycznym cierpieniem, zacisnęła powieki. Oświadczyynom Dana brakowało pasji. Był zniecierpliwiony jej oporem, lecz ani myślał wziąć ją w ramiona. Nie zamknął jej ust pocałunkami, gdy mnożyła przeszkody.

Zamiast czynem dowieść, jak bardzo ją kocha, przekonywał, że zachowała się niczym ostania idiotka, przyjmując oświadczyzny Charlesa Truscotta. Ta myśl była kroplą goryczy, która przepełniła czarę. Judith wyciągnęła rękę i zadzwoniła na Bessie.

- Bardzo proszę, żebyś jak najszybciej spakowała moje rzeczy.

- Jeszcze dziś, panienko? - Bessie nie kryła zdumienia.

- Dziś albo z samego rana. Jutro wracamy do domu.

- Wydawało mi się, że panienka chce tu zostać nieco dłużej. Po co ten pośpiech? Lady Wentworth na pewno uzna, że to jakieś dziwactwo.

- Nie dyskutuj ze mną, Bessie! Jej lordowska mość nie będzie zdziwiona, bo wie, że wkrótce wychodzę za mąż. Mam teraz na głowie mnóstwo spraw.

Bessie prychnęła, wyrażając swoje niezadowolenie.

- Jutro rano spakuję wszystkie rzeczy panienki.

Gdy pomagała Judith zdjąć suknię, monologowała półgłosem, nie ukrywając, co o tym wszystkim myśli, ale znużona panienka nie zwracała uwagi na jej mamrotanie.

Judith nieodwołalnie postanowiła wrócić do domu pani Aveton. Prudence będzie nieco zawiedziona, ale wizyta przyjaciółki z wiadomych względów miała być krótka, toteż nie ma mowy o zaskoczeniu albo przykrej niespodziance.

Judith żywiła nadzieję, że nim opuści dom Wentworthów, nie będzie musiała znowu stanąć twarzą w twarz z Danem ani się z nim żegnać. Liczyła na to, że następnym razem spotka się z nim jako stateczna mężatka. Ślubna obrączka będzie jedyną skuteczną zaporą dla siły jego perswazji. Wyczuwała intuicyjnie, że nie może sobie pozwolić na kolejną bolesną konfrontację z ukochanym.

Wentworthowie uszanowali jej życzenie. Sebastian przewidział, że miły gość uzna za stosowne opuścić jego dom. Aby oszczędzić Judith przykrości, wysłał Dana w krótką podróż, polecając mu załatwienie kilku ważnych spraw.

Uprzedził także żonę, by nie próbowała zatrzymać Judith, i zamiast się bocyć, okazała wiele życzliwości.

Prudence usłuchała, choć uczyniła to wbrew sobie. Wyciągnęła ramiona do przyjaciółki i długo tuliła ją w objęciach.

- Kochana moja, daruj, że nie będę na twoim ślubie - szepnęła. - Chciałabym, żeby Sebastian poprowadził cię do ołtarza. Zgadzasz się? Pani Aveton także wspomniała o takiej możliwości, gdy mój drogi mąż po ciebie przyjechał.

Judith poczuła, że ogarnia ją panika. Ta sugestia uświadomiła jej, że do ślubu pozostało zaledwie parę dni.

- Będę zaszczycona. Bardzo to zacnie z twojej strony, że o tym pomyślałaś. Nie mam żadnych krewnych.

- Uczynię to z radością. - Sebastian uklonił się z kurtuazją. Musiał skłamać, bo wcale nie miał ochoty prowadzić Judith do ołtarza, przy którym będzie czekał Charles Truscott. Sebastian nadal żywił nadzieję, że uda się zdemaskować nikczemnika. Gnębiły go złe przeczucia, ale nie zdradzał się z tym, żeby nie martwić Judith. Pomógł jej wsiąść do powozu i zatroszczył się o wszelkie wygody.

Wzruszenie ścisnęło ją za gardło, kiedy elegancki wehikuł odjechał sprzed domu na Mount Street. Zawsze cierpiała, rozstając się z przyjaciółmi, tym razem jednak paraliżowała ją świadomość, że kiedy ich znowu ujrzy, będzie stateczną pastorkową, żoną wielebnego Charlesa Truscotta.

Gdy pani Aveton wezwała pasierbicę przed swoje oblicze, nie omieszkała wspomnieć o powinnościach, jakie czekają ją po ślubie. Jako żona kaznodziei,

powinna świecić przykładem. Tutaj macocha pozwoliła sobie wyrazić nadzwyczaj krytyczną opinię na temat zachowania Judith, jej manier i poczucia przyzwoitości.

- Ty krętaczko! Nie znam gorszej kłamczuchy niż ty! - wydzierała się na całe gardło. - Liczyłaś na to, że nie dowiem się o twoim haniebnym zachowaniu?

- Czym się zhańbiłam? Szczerze mówiąc, nic mi o tym nie wiadomo.

- A jak nazwać twoje postępowanie? Moim zdaniem, to hańba! Chyba nie zaprzeczysz, że cały dzień spędziłaś sam na sam z tym... nędzarzem!

- Nie byliśmy sami. Towarzyszyli nam trzej chłopcy. A poza tym taka wyprawa byłaby niestosowna dla mężatki. Pannom należy się większa swoboda.

- Jeśli pan Truscott usłyszy o waszej eskapadzie, wątpię, żeby chciał ci włożyć na palec ślubną obrączkę. Zastanawiam się, jak zareaguje, gdy wyobrazi sobie, że jego narzeczona i jej dawny wielbiciel szeptali po kątach i robili do siebie słodkie oczy.

- Mam nadzieję, że w przeciwieństwie do ciebie nie będzie doszukiwał się w naszej wycieczce podobnych zdrożności, bo zamiast słuchać plotek, myśli o rzeczach szlachetnych i wzniosłych.

- Jak śmiesz odpowiadać mi tak zuchwale, ty podła impertynentko! - Na policzkach pani Aveton wykwitły ciemne rumieńce. Wkrótce spurpurowiał także nos oraz czoło. - Tak mi się odwdzięczasz za to, że cię przygarnęłam i wychowałam jak własną córkę?

- Nie mam wobec ciebie długu wdzięczności. Żałuję tylko, że do tej pory ukrywałam swoje myśli. Po śmierci ojca zmieniłaś moje życie w koszmar. Nigdy nie zapomnę, ile przez ciebie wycierpiałam. Dziękuję niebiosom, że ta męka wkrótce się skończy. Proszę bardzo, możesz wygadywać na mnie niestworzone rzeczy. Ciekawe, czy pan Truscott zechce cię wysłuchać. Dla mnie to bez znaczenia. Niezależnie od tego, czy ślub się odbędzie, czy zostanie odwołany, postanowiłam wyprowadzić się z tego domu.

Pani Aveton dopiero teraz zdała sobie sprawę, że posunęła się za daleko.

- Nie... Nie możesz tak postąpić - wyjąkała.

- Dlaczego? Mam dość pieniędzy, żeby się utrzymać.

Jej odpowiedź została skwitowana gniewnym prychnięciem.

- Bzdura! Młoda kobieta nie może mieszkać całkiem sama. Wybuchłby skandal! Judith uśmiechnęła się drwiąco.

- Sądzisz, że złąknę się plotek? Możesz je rozsiewać do woli. Mnie to obojętne. Skandale szkodzą tym, którzy dbają o opinię salonów. Mnie na niej nie zależy.

To wyznanie ugodziło panią Aveton w samo serce. Czyżby daremnie oczekiwała, że przejmie sporą część majątku pasierbicy? Cenna zdobycz wymykała się jej z rąk. Co gorsza, Truscott będzie wściekły, gdy usłyszy o nowych pomysłach Judith. Pani Aveton przyznała w duchu, że boi się tajemniczego klechy.

- Źle mnie zrozumiałaś - oznajmiła pojednawczym tonem. - Zależy mi wyłącznie na twoim szczęściu.

- Ciekawe od kiedy? - spytała drwiąco Judith. Obróciła się na pięcie i, nie czekając na pozwolenie, wyszła z pokoju.

Po rozmowie z macochą poweselała i śmieiej patrzyła w przyszłość. Pani Aveton, pokonana w rozmowie przez pasierbicę, oklapła jak przekłuty balon. Judith doszła do wniosku, że w ten sam sposób należy postępować ze wszystkimi, którzy ją tyranizują. Po raz pierwszy w życiu miała wrażenie, że jest panią samej siebie. Dawno temu powinna wygarnąć macosze, co o niej sądzi. Bez skrupułów nosiła teraz piękne suknie, które należały do ślubnej wyprawy. Do kolacji przebrała się w najstrojniejszą ze wszystkich kreacji. Nie protestowała, gdy Bessie uczesała ją według ostatniej mody.

Przy stole spokojnie pani Aveton prawiała Judith komplementy, kwitowane niedbałym skinieniem głowy. Córki wpatrywały się w nią z niedowierzaniem, więc skarciła je surowo. Jadły potulnie, nie podnosząc oczu.

- Czy podczas odwiedzin u Wentworthów miałaś wiadomości od wielbnego Truscotta? - spytała uprzejmie pani Aveton.

- Nie. Tutaj również nie pisał?

Pani Aveton z wymuszonym uśmiechem pokręciła głową.

- Niepotrzebnie się o niego martwimy - powiedziała. - Kto ma do czynienia z chorymi, musi być przygotowany na wszelkie niespodzianki. Dobrze o nim świadczy, że wytrwale czuwa u wezgłowania umierającej matki i chce być przy niej, gdy nadejdzie ostatnia godzina. Teraz powinien myśleć wyłącznie o tej biedaczce.

- Owszem. Zamierzałam tam pojechać i czuwać razem z nim, lecz nie chciał o tym słyszeć.

Pani Aveton wcale to nie zdziwiło. Z natury była podejrzliwa i od początku nie ufała współnikowi. Tylko głupiec mógłby uwierzyć w jego opowiastkę. Truscott nie wyglądał na człowieka, marnującego czas na spełnianie miłosiernych uczynków i czuwanie przy konających. Wzruszająca bajeczka o chorobie matki została niewątpliwie wyssana z palca. Uwierzyć w nią mogło jedynie niewi- niątko pokroju Judith. Truscott z pewnością coś knuł i pani Aveton dałaby wiele, żeby poznać prawdę o jego sekretnych przedsięwzięciach. Niezależnie od ich charakteru musiały być nielegalne, skoro zadawał sobie tyle trudu, żeby je zakamuflować. Gdyby pani Aveton jakimś cudem zwiedziała się o tych zamierzeniach, miałyby w ręku potężną broń. Mogłaby wówczas zmusić Truscotta, żeby dotrzymał słowa i oddał, co się jej należało na podstawie niepisanej umowy.

Szanse na to były jednak niewielkie. Kaznodzieja zbywał ją, gdy wypytywała o koleje jego życia w przeszłości. Teraźniejszość nie wydawała się jaśniejsza i bardziej zachęcająca.

Nie przejmowała się zbytnio tymi problemami. Jej chciwość dorównywała pazerności Truscotta, więc mimo rozmaitych przeszkód dobrze się rozumieli. Nawet jeśli dziwiła się chwilami, że wielbny zaniedbuje narzeczoną i wysyła ją ochoczo na Mount Street, choć do ślubu pozostało zaledwie kilka dni, tłumaczyła

sobie, że takie postępowanie niewątpliwie mu się opłaca. Charles Truscott podejmował decyzje z namysłem i starannie ważył racje.

Pani Aveton trafiła w sedno. Truscott realizował właśnie śmiały plan. Przed trzema dniami przybył do domu w Seven Dials, aby przeanalizować rozmaite możliwości działania, które się przed nim otwierały. Po namyśle zdecydował wreszcie, w jaki sposób rozwiąże swoje dylematy.

Najpoważniejszym zagrożeniem był Margrave, jako mózg i siła sprawcza wszelkich intryg. Z nim trzeba się najpierw uporać. Wystarczy uciąć łeb jadowitemu wężowi, a targane konwulsjami cielsko gada przestaje być niebezpieczne. Gdy zabraknie przywódcy, Nellie i jej kompani przycichną na pewien czas. W odpowiedniej chwili łatwo będzie się z nimi rozprawić. Truscott postanowił, że osobiście rozwiąże problemy. Ostatnia próba usunięcia przeciwników cudzymi rękami okazała się błędem. Tamci głupcy nie posłuchali jego wskazówek i proszę, jak to się skończyło. Same kłopoty!

Przede wszystkim należało zbliżyć się do Margrave'a, ugłaskać go i uspić jego czujność. Trudne zadanie. Stary lis był ostrożny i przebiegły. Zamyślony Truscott godzinami wylegiwał się w łóżku. W końcu znalazł odpowiedź. Z ponurym uśmiechem przypomniał sobie rzymską sentencję: *divide et impera* - dziel i rządź. Znakomita sugestia! Postanowił od razu wprowadzić ją w życie. Odrzucił kołdrę i kazał Nan przynieść ubranie.

Oczy miała czerwone, więc domyślił się, że znowu płakała. Poprzedniej nocy wykorzystał ją brutalnie, ale nie zaznał rozkoszy. Nan leżała nieruchomo jak kłoda, zamiast radośnie spełniać wszelkie jego zachcianki.

Miał powyżej uszu jej marudzenia, łez i ustawicznego wypytywania o braci. Trzeba się pozbyć tej płaksy. Zdecydował, że upora się z tym pod koniec tygodnia, bo teraz miał ważniejsze sprawy na głowie.

Narzucił płaszcz i włożył kapelusz z szerokim rondem, zasłaniającym twarz. Wybierał się do St Giles.

Mieszkanie jego matki było puste, ale miał nadzieję, że znajdzie ją w okolicy. Zajrzał do najbliższego szynku. Siedziała tam z kompanami. Jak słusznie przewidywał Truscott, był z nimi Margrave.

- Miło cię widzieć, Charlie. Nie spodziewaliśmy się, że do nas dołączysz. - Margrave uśmiechnął się kpiąco.

- Obiecałem, że przyjdę. Zapomniałeś? - Truscott sięgnął do kieszeni po skórzaną sakiewkę i położył ją na stole. Nellie wyciągnęła rękę z pazurami podobnymi do szponów. Niespodziewanie jęknęła z bólu, bo Margrave zdzielił ją laską po chudych palcach.

- Nie bądź zachłanna, Nellie. Chciwość to paskudna wada. Pieniądze zostają u mnie. Przechowam je dla nas.

- W domu mam więcej. Starczy dla wszystkich - odparł niefrasobliwie Truscott.

- Przemyślałeś sprawę, co? - zakpił Margrave. - Bardzo mądrze. Nie jesteś głupcem. Zawsze tak uważałem.



-I słusznie! Nie tracę czasu na biadolenie, jeśli widzę, że jestem bezsilny. Trzeba brać życie takim, jakie jest.

- Doskonale! Nellie, przyjmij moje gratulacje. Twój syn ma sporo zdrowego rozsądku. - Margrave wysypał zawartość sakiewki na blat stołu. - Skromniutko. Za mało nam przyniosłeś. Z pewnością stać cię na więcej.

- Tylko głupiec nosi przy sobie większe kwoty. Po resztę musisz pofatygować się do mnie.

Margrave roześmiał mu się w twarz.

- Do Seven Dials? Masz mnie za durnia? Prędzej zapukam do bram piekła, niż przyjdę do ciebie sam jeden.

- Opacznie zrozumiałeś moje słowa. Nie trzymam tam pieniędzy.

Najbezpieczniej jest w kościele. Po nabożeństwie w skarbonkach zbierają się spore sumy. Wierni nie szczędzą ofiar.

Margrave rozparł się na krześle i zmierzył Truscotta badawczym spojrzeniem.

- Coś kręcisz, Charlie. Nie ufam ci. Stawałeś na głowie, żeby trzymać nas z daleka od swojego rewiru. Zapowiedziałeś, że nie wolno nam chodzić do parafii. Dlaczego zmieniłeś zdanie?

- Nie mówię o was wszystkich, tylko o tobie - odrzekł zirytowany kaznodzieja. - Nie życzę sobie, żeby Nellie tam przychodziła, ale ty możesz. Z takim wyglądem spokojnie zostaniesz uznany za jednego z parafian.

- Dzięki! Pochlebia mi twoje uznanie, ale nie jestem przekonany. Byłoby najlepiej, gdybyś codziennie przychodził z sakiewką. Przynoś, ile możesz.

- Wykluczone. Brak mi czasu na takie eskapady. W przyszłym tygodniu biorę ślub. Macocha mojej narzeczonej jest oburzona, że tak rzadko ją odwiedzam.

Chyba nie chcesz, żeby te panie zerwały zaręczyny.

Margrave zrobił wielkie oczy, jakby ogarnął go strach.

- Uchowaj Boże! Twoja bogdanka jest dla nas gwarancją przyszłej zamożności, prawda?

- W takim razie zrób, jak mówiłem. Przyjdź do mnie. Przed ślubem już was nie odwiedzę. Potem... zobaczymy. Sam nie wiem, kiedy wpadnę z kolejną ratą.

Powiedziałeś, że niewiele dziś przyniosłem. Masz rację. Na razie dysponuję tylko ofiarami parafian, które przechowuję w zakrystii. Wystarczy na kilka tygodni. Po ślubie podpiszę dokumenty, które pozwolą mi dowolnie rozporządzać pieniędzmi żony, ale nie wiem dokładnie, kiedy to nastąpi. Pewnie będę musiał trochę poczekać, nim wreszcie dostanę swoją forszę. Juryści działają powoli. Im się nie spieszy.

- Mam rozumieć, że teraz oddajesz nam swoje oszczędności odłożone na czarną godzinę. Stary, jakiś ty szlachetny i hojny! Z przykrością stwierdzam, że to do ciebie niepodobne, ale każdy ma w życiu takie chwile. Wygląda na to, że musimy uzbroić się w cierpliwość, nim dzięki twojej pani wszyscy zostaniemy bogaczami.

- Słuszna uwaga - przytaknął Truscott i wstał, zbierając się do wyjścia.

- Jak długo mamy z tego żyć? - Nellie pogardliwym gestem rozrzuciła po blacie drobne monety. - Nie ufaj temu krętaczowi, Dick. Po ślubie już tu nie wróci.

- Moim zdaniem, będzie inaczej, ale dobrze mówisz, Nellie. Mamy żyć powietrzem? Zgoda, przyjacielu. Pójdę z tobą, ale ostrzegam. Jestem uzbrojony. Truscott nie zwracał uwagi na pogrożki. Jego plan nabierał realnych kształtów. Wszystko dobrze się układało. Nie musiał się spieszyć. Idąc z Margrave'em krętymi ulicami, cierpliwie słuchał jego dywagacji na temat wiosennej pogody. Z uśmiechem przyjmował pochwały. Nie protestował również, gdy zachciało się Margrave'owi poprawić mu kapelusz tak, żeby był lekko na bakier.

- Od razu lepiej - ucieszył się stary lis. - Wiesz co, Charlie? Łebski z ciebie chłopak. Musimy się zaprzyjaźnić.

- Też tak myślę. Szkoda tylko, że ta hołota się do ciebie przyczepiła. Jak podzielicie forszę, niewiele dla ciebie zostanie.

- Czytasz w moich myślach. Na razie nie mam wyboru. Pamiętasz? W jedności siła. Dają mi poczucie bezpieczeństwa.

- Jak zawsze nieufny? - Truscott wybuchnął śmiechem. -Przyszło mi do głowy, że my dwaj powinniśmy się dogadać. W przyszłości mógłbyś stać się dla mnie użyteczny. Jak mówiłem, wyglądasz niczym jeden z moich parafian.

- Mamy być współnikami? Rzecz jest warta rozważenia. Może wstąpimy do gospody na jednego?

Zostawili już za sobą mroczne zaułki dzielnic biedoty. Weszli do najbliższej gospody i zgodnie ruszyli ku bocznej salce z poczerniałymi od dymu ścianami. Przez okna zasłonięte okiennicami wpadało niewiele światła.

Usiedli w kącie, gdzie było jeszcze ciemniej. Truscott rozejrzał się wokół.

- Znasz ten lokal? - zapytał.

- Bywam tutaj czasami, także w interesach. Nikt nie zadaje pytań, a gdy pojawia się obcy, można liczyć na ostrzeżenie. W głównej sali przy barze różni przesiadują, ale tutaj jest spokojnie.

Truscott kiwnął głową. Spodobało mu się to miejsce. Mogli spokojnie pogadać. Miał w tym cel.

- Co planujesz? - zapytał fałszerz. - Masz dla mnie robotę? Truscott długo milczał, starannie dobierając słowa. Nie mógł pozwolić, żeby Margrave domyślił się, co go czeka.

- Znasz się na swoim fachu jak mało kto - zaczął półgłosem. - Sądzę, że za jakiś czas trzeba będzie podmienić albo wyretuszować rozmaite dokumenty. Mogę... Możemy sporo na tym zarobić.

- Słuszna uwaga. Myślę, że nie będzie z tym żadnych trudności.

- Poza tym masz gadane. Trzeba zrobić z tego użytek. Głupie baby, które latają na moje nabożeństwa, aż się proszą, żeby odciążyć ich mieszki. Po co im tyle forsy? Niech się z nami podziela. Może je trochę podskubiesz? Najchętniej wykierowałbym cię na pastora.

- O nie! To jest twoja działka. Gadasz jak nakręcony, a ludzie ci za to płacą. Ze mną jest problem. Mam dużo znajomych w podejrzanych dzielnicach. Dlatego wolę trzymać się na uboczu.

- Zrobisz, jak zechcesz, lecz pamiętaj o mojej propozycji. Trzymajmy się teraz razem, a zostaniesz bogaczem. Co ty na to?

- Zastanowię się. - Margrave niczego nie robił pochopnie. - Jedna sprawa nadal mnie niepokoi. Zawsze byłeś potwornym egoistą. Myślałeś tylko o sobie i zawsze chciałeś być pierwszy. Skąd ta zmiana?

- Nie przesadzaj. Wcale się nie zmieniłem. Po prostu nie mam wyboru. Muszę to i owo przyjąć do wiadomości. Wolę, żebyś był po mojej stronie.

- Niesamowity facet z ciebie! Po prostu niesamowity! - Margrave z podziwem spojrział na młodszego kompana. - Dobrze się z tobą pracuje. Chyba ubijemy interes. - Jednym haustem opróżnił kieliszek. - Co z forszą? Idziemy po nią?

- Nie od razu. Muszę na godzinkę czy dwie wpaść do narzeczonej. Przyznaj, że warto poświęcić trochę czasu naszej przyszłej dobrodziejce. Od wielu dni zaniedbuję biedne dziewczątko. Pora jej to wynagrodzić.

Margrave przyjrzał się podejrzliwie Truscortowi.

- Chcesz mnie wystawić do wiatru? Ostrzegam, że...

- Nic z tych rzeczy! Umowa to umowa, prawda? - Truscott się uśmiechnął. - Zajrzyj wieczorem do kościoła. Radzę przyjść na nabożeństwo. Zrozumiesz od razu, co miałem na myśli, proponując ci spółkę. Kiedy zobaczysz te utuczone gęsi, moje parafianki, ręce zaczną cię świerzbić, żeby je podskubać. Idę o zakład, że przestaniesz się wahać.

- Dlaczego mam przyjść wieczorem? Czemu tak ci na tym zależy? - Margrave znowu nabrał podejrzeń.

- Kościół będzie wypełniony po brzegi, więc łatwo skryjesz się w tłumie wiernych. Po nabożeństwie dam ci pieniądze. Zgarniesz wszystkie ofiary. Razem z sakiewką, którą dzisiaj dostałeś, to całkiem ładna sumka.

Margrave się wahał. Truscott słusznie zakładał, że chciwość zwycięży obawę. Margrave nie byłby sobą, gdyby nie dodał na koniec:

- Tylko bez żadnych sztuczek!

Wymownym gestem poklepał kieszeń płaszcza, w której spoczywał nabity pistolet. Truscott pokręcił głową z jawnym politowaniem.

- Więcej zaufania, kolego. Masz mnie za idiotę? Sądzisz, że rzucę się na ciebie, nie bacząc na obecność parafian? Im większy tłum, tym bezpieczniej. Sam mówiłeś, że trzymasz się swoich kompanów, bo ci z nimi raźniej. W kościele pełnym wiernych nic ci nie grozi. Sądziłem, że tak do tego podejdziesz.

Odszedł bez pożegnania. Rozmowę z Margrave'em uznał za pożyteczną.

Sprytnie pomieszał zmyślenie i prawdę. Istotnie od kilku dni zaniedbywał Judith. Pewnie zastanawiała się, co u niego słyhać. Najwyższy czas chwycić za sznurki i znowu manipulować do woli posłuszną kukielką.

Nie musiał się już obawiać, że Nellie albo jej kompani zaczną nachodzić Judith. Gdyby wpadli na taki pomysł, Margrave go udaremni. Pora, żeby dziewczyna

wróciła do domu. Pani Aveton z radością wysłała do lady Wentworth stosowny bilecik.

Truscott był zaskoczony, gdy oznajmiono mu, że panna Judith zakończyła wizytę u przyjaciół i została odwieziona do domu macochy. Czyżby z utęsknieniem czekała na ślub? Miał w tej kwestii sporo wątpliwości, ale uśmiechnął się na myśl o czekających go rozkoszach. Gdy lokaj zaanonsował jego przybycie, natychmiast spoważniał. Wszedł do salonu i od razu wyczuł, że pani Aveton wyraźnie spuściła z tonu. Nie była taka harda jak dawniej.

- Dziękuję niebiosom, że pan wreszcie powrócił - powiedziała na powitanie. - To fatalnie, że tak długo pana u nas nie było.

- Ma pani dla mnie złe nowiny?

Wybuchnęła śmiechem, w którym pobrzmiwała nuta gorzkości.

- Sam pan to oceni. Judith się zmieniła.

- Jak mam to rozumieć? - Truscott był poważnie zaniepokojony słowami pani Aveton, ale patrzył na nią, zachowując kamienną twarz.

- Zrobiła się krnąbrna i samowolna. Straciła poczucie przyzwoitości. Nie wiem, czy przyjaciele tak na nią wpłynęli, czy uświadomiła sobie wreszcie, że jest niezależna finansowo. Pojęcia nie mam. Oniemiałam, kiedy zaczęła mi pyskować. Jej zuchwałość jest porażająca.

- Znowu pani się z nią kłóciła? - zapytał Truscott, obrzucając ją spojrzeniem, które sprawiło, że cofnęła się odruchowo.

- Miałam z nią do pomówienia. Chodziło o ważną sprawę - tłumaczyła się pani Aveton.

- Jest pani kompletną idiotką! Uprzedzałem, że w tym domu ma zapanować spokój. Kiedy pani wreszcie zrozumie, że w takich sprawach ja decyduję? -

Truscott z gniewnym obliczem zrobił krok w stronę pani domu.

- Poślę po Judith - rzuciła pospiesznie. Uciekła w głąb salonu i pociągnęła taśmę dzwonnka.

- Po raz ostatni nakazuję pani ważyć słowa i powściągnąć język. Bóg raczy wiedzieć, jak bardzo nam pani zaszkodziła.

Gdy Judith stanęła w drzwiach, nadal dręczyła go poważna obawa. Podeszła bliżej i zapytała:

- Jakie nowiny? Co z twoją matką, Charlesie?

- Wieści mam smutne, najdroższa. Matka odeszła do Stwórcy. - Opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

- Mój drogi, przyjmij najszczerze kondolencje. Myśl o tym, że czuwałeś przy niej do ostatka. Twoja obecność niewątpliwie była dla niej wielką pociechą. - Judith współczującym gestem dotknęła jego ramienia. Wyprostował się, ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

- Jesteś aniołem dobroci. Tylko ty mi pozostałaś. Poza tobą nie mam nikogo. - Truscott popatrzył jej w oczy, nie zważając na kpiącą minę pani Aveton. - Muszę być silny - dodał półgłosem. - Tyle mam dodatkowych obowiązków. Sama rozumiesz. .. Chodzi o pogrzeb.

- Czy to oznacza... Chcesz odłożyć ślub? Jesteś przecież w żałobie. Teraz niestosownie byłoby myśleć o małżeństwie.

- Najdroższa, podziwiam twoją delikatność uczuć. Zawsze myślisz o innych. Obiecałem jednak konającej matce, że pobierzemy się, choć czas temu nie sprzyja. Na łożu śmierci wyraziła życzenie, aby wszystko odbyło się tak, jak zostało zaplanowane. Cokolwiek uczynimy, nie zdołamy wskrzesić mojej mateczki, ale uszanujmy jej wolę. Nie chciała, żeby śmierć stanęła na drodze do przyszłego szczęścia.

- Czy w ostatnich chwilach życia była przytomna?

- Dzięki Bogu umysł miała jasny. Poznała mnie i udzieliła nam błogosławieństwa. - Truscott uronił łzę. - Mam nadzieję, że czcze konwenanse nie są dla ciebie ważniejsze niż ostatnie życzenie mojej drogiej matki.

- Nie dbam o pozory - odparła cicho Judith. - Wszystko będzie tak, jak jej obiecałeś.

Judith nie mogła sobie darować, że mimo szczerego współczucia dla Charlesa poczuła radość i ulgę, gdy pomyślała, że trzeba odłożyć ślub. Żałoba po śmierci najbliższych zwykle trwała rok. W podobnych okolicznościach ustalano nową datę ślubu, ale tym razem miało być inaczej.

Płomyk nadziei zaświtał dla Judith i zaraz zgasł. Okazała się samolubna. Teraz gdy Charles najbardziej jej potrzebował, myślała tylko o sobie. Chciała mu to wynagrodzić. Czułym gestem, który był u niej rzadkością, ujęła jego dłonie i ścisnęła je mocno.

## Rozdział trzynasty

Truscott omal nie zemdlał, gdy słyszał jej słowa. Kamień spadł mu z serca. Przekonująco zagrał swoją rolę, ale nie przewidział wszystkich konsekwencji własnych słów.

Ta głupia gęś omal nie pokrzyżowała mu planów z powodu idiotycznego przywiązania do uznanych zasad, form towarzyskich i tak zwanej przyzwoitości. Gdyby to od niej zależało, co najmniej na rok przywdziałiby żałobę, co oznaczało odłożenie ślubu o długie miesiące. Truscott nie mógł sobie na to pozwolić. Przełożenie terminu ceremonii choćby o dzień byłoby dla niego fatalne w skutkach. Wiedział, że Margrave nie będzie czekać. Zerknął na panią Aveton, oczekując od niej wsparcia.

- Nasz drogi Charles ma rację - odezwała się natychmiast. - Dał nam już wcześniej przekonujące dowody synowskiego przywiązania.

Truscott podniósł się z trudem i opuścił dom pani Aveton. Musiał przygotować się do spotkania z Margrave'em. Na razie o tym nie myślał, bo nie ochłonął

jeszcze po doznanym wstrząsie, a nerwy miał napięte jak postronki. Zorientował się, że pędzi jak szaleniiec, nakazał więc sobie zwolnić tempo marszu. Oddychał wolno, żeby odzyskać spokój i równowagę ducha. Ułożył znakomity plan, gwarantujący, że raz na zawsze pozbędzie się wścibskiego fałszerza, ale musiał go urzeczywistnić na zimno, punkt po punkcie, z zegarmistrzowską precyzją. Takie przedsięwzięcia wymagają trzeźwego umysłu.

Judith zaszyła się w swoim pokoju i usiadła przy sekretarce. Odkąd wróciła do domu i odbyła nieprzyjemną rozmowę z panią Aveton, miała poczucie oderwania od rzeczywistości. Tylko tworzona w sekrecie powieść wydawała jej się realna.

Gdy Judith, pochylona nad czystą kartą papieru, zapomniała o całym świecie, pokojówka na palcach wymknęła się z pokoju i stanęła w oknie, wychodzącym na ulicę. Sięgnęła po chusteczkę i pomachała nią, spoglądając na mężczyznę, który stał na chodniku pod ścianą kamienicy, a ten odwrócił się natychmiast i odszedł.

Następnego dnia o tej samej porze Bessie znowu była na posterunku. Przed domem pani Aveton czekał powóz. Bessie obserwowała jaśnie panią i jej córki. Kiedy odjechały na modny piknik, który odbywał się w jednym z londyńskich parków o piątej, w porze podwieczorku, uchyliła okno i skinęła na tajemniczego mężczyznę, czekającego w bramie na jej znak. Cichutko zbiegła po schodach, otworzyła drzwi dla służby i wpuściła go do domu. Położyła palec na ustach, nakazując gościowi milczenie, i wskazała, żeby poszedł za nią tylnymi schodami. Bessie stanęła przed drzwiami sypialni Judith i zapukała, ale nie doczekała się odpowiedzi. Machnęła ręką na wszelkie obawy i zachęciła Dana, żeby wszedł do środka, a sama umknęła pośpiesznie.

Judith nie podniosła głowy. Obejrzała się dopiero, gdy stanął za krzesłem i położył rękę jej ramieniu.

- Ty tutaj?! - krzyknęła z niedowierzaniem. - Jesteś szalony! Jak się tu dostałeś?

Lokajom zakazano cię wpuszczać!

- Musiałem się z tobą zobaczyć. Dlaczego mnie unikasz?

- Dan był okropnie blady. Błękitnymi oczami wpatrywał się w jej twarz.

- Nie zadawaj takich pytań - odparła chłodno. - Odejdź stąd natychmiast.

Niebawem przyjedzie moja macocha. Lepiej, żeby cię tu nie zastała.

- Zaraz pójde, ale najpierw musisz mnie wysłuchać. Najdroższa, próbowałem ci uświadomić, jak bardzo cię kocham. Dlaczego nie uwierzyłaś?

- Oceniam ludzi na podstawie czynów, nie słów. Twoje argumenty do mnie nie trafiły. Wyjdiesz od razu czy mam wezwać lokaja?

- Jeżeli tu wtargnie, skręcę mu kark! Judith, musisz mnie wysłuchać, choćby tylko w imię naszej dawnej przyjaźni...

- Zbyt wiele wymagasz, mój drogi. Gdybym się zgodziła, co usłyszę? Kolejną filipikę przeciwko mężczyźnie, którego zamierzam poślubić?

- Nie wspomnę o nim. Będę mówić tylko o tobie.

- Ach tak? O mnie? Osobliwe masz wyobrażenia na temat przyjaźni. Nie zastanawiasz się w ogóle, jak w tych niełatwych dniach zachowuję spokój ducha. Nie życzę sobie, żeby mnie w ten sposób wytrącano z równowagi.

- Nigdy ci się to nie uda, bo wiem, że nie kochasz Truscotta. Skłamałabyś, mówiąc, że jest inaczej.

- Mówiono mi, że miłość nie jest w małżeństwie niezbędna. Twierdzi się nawet, że przychodzi dopiero po ślubie.

- Oboje wiemy, że to nieprawda.

- Zastanawiam się, dlaczego tak cię obchodzą moje uczucia. Co ci do tego? Nie masz prawa... Nie masz prawa mnie wypytywać!

- Dałaś mi je przed laty.

- To już przeszłość, ale ty nie chcesz przyjąć tego do wiadomości, prawda? Prawdziwy przyjaciel uszanowałby moje życzenie.

- Postąpiłbym tak, gdybym miał pewność, że z całego serca pragniesz tego małżeństwa. - Zrobił krok do przodu, chcąc wziąć ją w ramiona, ale wyciągnęła rękę, zatrzymując go stanowczym gestem.

- Nie! - krzyknęła rozpaczliwie. - Proszę, nie dotykaj mnie. Twarz Dana poszarzała. Ramiona mu opadły, gdy Judith wzdrygnęła się gwałtownie.

- Wybacz - powiedział cicho. - Nie będę cię więcej nachodzić. Czy pozwolisz, że złożę ci najlepsze życzenia na nową drogę życia?

Dan poddał się czarnej rozpacz. Wypowiedział zdawkowe życzenia wbrew sobie, ponieważ zdawał sobie sprawę, że Judith nie może być szczęśliwa z mężczyzną, który okazał się łotrem i nikczemnikiem.

Judith sięgnęła po dzwonek i wezwała Bessie.

- Wskaż temu panu drogę do wyjścia - poleciła lodowatym tonem, unikając jej wzroku. - Gdy już sobie pójdzie, natychmiast wracaj na górę. Mam z tobą do pomówienia.

Dana ogarnęła wściekłość. Rozdrażniony poczuciem bezradności stanął z Judith twarzą w twarz.

- Zostaw Bessie w spokoju! Nie wyżywaj się na niej. To wszystko moja wina, jeśli w ogóle można tu mówić o winie. Zapewniam, że nie będę cię więcej nachodzić.

- Obrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia. Na odchodnym dodał: - Nie trudź się, Bessie. Znam drogę.

Przez otwarte drzwi Judith spostrzegła, że Dan zmierza ku głównym schodom, zamiast kierować się w stronę bocznego wejścia. Pobieгла za nim, ostrzegając teatralnym szeptem: - Nie tędy! Na pewno ktoś cię zobaczy!

Dogoniła pędzącego Dana, a nawet położyła mu dłoń na ramieniu, lecz ostrzeżenie było spóźnione, ponieważ w tym samym momencie do holu wkroczyła pani Aveton wraz z córkami i Charlesem Truscottem.

Oburzona macocha wybuchnęła potokiem inwektyw.

- Ty ladacznico! - syknęła ze złością. - Podła wywłoko! Zasłużyłaś na chłostę! Nie zważając na ostrzegawcze spojrzenie Truscotta, zwróciła się ku Danowi.

- Precz! - rozkazała. - Natychmiast opuść mój dom, prostaku, albo każę lokajom wyrzucić cię na bruk!

Wielebny uznał, że pora wtrącić swoje trzy grosze.

- Droga pani, nie warto popadać w przesadę. Ustaliliśmy przecież, że Judith może przyjmować tutaj znajomych, kiedy zechce.

- Ale nie w sypialni! - wrzasnęła pani Aveton. - Co za skandal!

Truscott uświadomił sobie, że gorsząca scena odbywa się w obecności stojących obok niego rozchichotanych dziewcząt.

- Córeczki łaskawej pani z pewnością są nieco znużone po dzisiejszym pikniku. Powinny chyba odpocząć.

Panienki nie przejawiały na to najmniejszej ochoty. Cieszyły się, że Judith została przyłapaną w nadzwyczaj krępującej sytuacji. Były przekonane, że na reprimendzie się nie skończy. Zapowiadało się ciekawe przedstawienie i nie chciały, żeby je ominęło. Chętnie sprzeciwiłyby się pastorowi, ale w rozkazującym spojrzeniu ciemnych oczu czaiła się zawołowana groźba, więc potulnie ruszyły biegiem na górę.

Truscott zwrócił się do pani domu, ruchem głowy wskazując zaciekawionego lokaja, który wybałuszonymi oczami przyglądał się jaśnie państwu.

- To nie jest właściwe miejsce do omawiania takich spraw, łaskawa pani. Radzę przejść do salonu. Czy możemy?

- On nie! - wykrztusiła gniewnie pani Aveton, wskazując Dana.

- Moim zdaniem, ten dżentelmen śmiało może nam towarzyszyć. W pierwszej chwili zapewne go pani nie poznała, ale ja wiem, że to przybrany syn lorda Wentwortha. Mam rację, mój panie?

Dan mruknął coś niezrozumiale, wyrzucając sobie, że przez jego głupotę Judith znalazła się w nader trudnym położeniu.

Przychodząc do tego domu, postąpił jak ostatni głupiec. Narzucał się ukochanej, choć pamiętnego wieczoru na Mount Street wyraźnie dała mu do zrozumienia, co myśli i czuje. Dlaczego nie chciał przyjąć do wiadomości, że jej na nim nie zależy? Zachował się bezczelnie i karygodnie, a przez to zaszargał jej reputację.

- Czy pani domu zechce nam zaproponować małą przekąskę lub kieliszek wina? - spytał Truscott.

Dla pani Aveton była to kropla przepełniająca czarę goryczy.

- W takiej chwili mamy pić wino albo raczyć się przekąskami, mój panie? A gdzie poczucie przyzwoitości? Ta dziewczyna powinna zostać ukarana. Sama jest sobie winna. Niech pan nie przejmuję się moimi uczuciami, pastorze. Rozumiem, że zerwanie jest nieuchronne i definitywne, i nie zdziwię się, jeśli uzna pan za stosowne opuścić mój dom.

- Ani mi to w głowie - odparł z przyjaznym uśmiechem, choć spojrzenie czarnych oczu pozostało zimne i czujne. - Za niespełna tydzień Judith zostanie moją żoną. Teraz do mnie, nie do pani należy ocena jej postępowania. Żaden uczynek czy słowo narzeczonej nie zmieni mojego zdania na jej temat. Ufam jej bezgranicznie. Judith natychmiast podniosła głowę i spojrzała na niego ze



zdumieniem. Inny mężczyzna na jego miejscu podejrzewałby ją o najgorsze bezeceństwa.

- Porozmawiajmy na osobności, pastorze - szepnęła. Dan zerwał się na równe nogi.

- Proszę wybaczyć. Na mnie już pora. - Skłonił się i wyszedł. Zdawał sobie sprawę, że Judith jest dla niego stracona na zawsze.

Na ulicy rozejrzał się wokół niewidzącym wzrokiem, a potem ruszył przed siebie, nie mając pojęcia, dokąd idzie i gdzie się znajduje. Mógłby teraz wędrować po powierzchni dziewiczego lądu i nie zwróciłby na to uwagi.

Myślami był przy Judith. Świata za nią nie widział, a jednak zaszkodził jej bardziej od najgorszego wroga. Potwierdziło się powiedzenie, że dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane. Z jego powodu panna Aveton została publicznie upokorzona, niesłusznie oskarżona i obrzucona wyzwiskami, a on musiał na to patrzeć bezradnie, ponieważ nie mógł stanąć w jej obronie.

Przypuszczał, że najbliżsi właśnie odbywają nad nią sąd.

Te obawy okazały się płonne. Truscott zorientował się, że narzeczona jest na skraju wytrzymałości, a nerwy ma napięte jak postronki. Jeden fałszywy ruch i może ją stracić. Jeśli pani Aveton nadal będzie obrzucać pasierbicę wyzwiskami, ta może się załamać. Gotowa nawet zerwać zaręczyny, uznając, że nie jest godna być żoną pastora.

Podszedł do Judith i ujął jej dłonie.

- Twoja mateczka z pewnością zgodzi się, abyśmy porozmawiali bez świadków, najdroższa. - Ponad głowę Judith rzucił pani Aveton ostrzegawcze spojrzenie, a gdy wyszła, zwrócił się do narzeczonej: - Najmilsza moja, współczuję ci z powodu tej nieprzyjemnej scysji - rzekł uspokajająco. - Zechcesz usiąść? - Postanowił zaryzykować łagodny żart. - No, no, przestań zerkać na mnie jak skarcona pensjonarka.

- Czuję się winna - przyznała cicho. - Zastanawiam się, co o mnie pomyślałeś.

- Nie zmieniłem zdania. Nadal uważam, że jesteś dobra i szczerą. Zawsze będę o tym przekonany.

- Powinam się przed tobą wytłumaczyć. Nie miałam pojęcia, że Dan tu przyszedł...

- Żadnych wyjaśnień, najdroższa. Nie są mi potrzebne. Zapomnijmy o tym incydencie. Nie będziemy więcej o tym mówić.

- Zacny z ciebie człowiek. - Bliska łez umknęła z salonu. Utwierdziła się w przekonaniu, że jest zaręczona z wielkodusznym mężczyzną. Nie kochała go, lecz darzyła szczerą podziwem.

Truscott nalał sobie kieliszek wina. Z zadowoleniem pomyślał, że bez trudu przyszło mu omotać Judith. Udając współczucie, dopiął swego, nie czyniąc szkody. Teraz miał Judith w garści. Był przekonany, że głupiutka panna darzy go szczerą sympatią.

Pozwolił sobie na uśmiech. Był przekonany, że dobrze ją poznał. Mało prawdopodobne, aby gziła się z jego rywalem na panińskim łóżku. Może

doszło do kłótni? Tak czy inaczej to bez znaczenia. Ciekawe, jak gach przemknął do pokoju Judith. Truscott znalazł odpowiedź. Bessie wpuściła do domu swego faworyta. Zaraz po ślubie, lecz nie wcześniej, trzeba odprawić tę dziewczkę. Humor mu się poprawił. Najwyższa pora, żeby po serii niepowodzeń szczęście wreszcie się do niego uśmiechnęło.

Wczoraj wieczorem daremnie czekał na Margrave'a. Czuwał do północy albo i dłużej. Czyżby upatrzona zwierzyzna coś zwąchała? Truscott przeanalizował rozmowę z Margrave'em i doszedł do wniosku, że nie powiedział niczego, co mogłoby wzbudzić nieufność wroga.

Tak czy inaczej czas naglił. Trzeba zakończyć tę sprawę. Klnąc paskudnie, wyruszył do St Giles. W szynku, gdzie ostatnio przesiadywali, nie zastał Margrave'a, poszedł więc do gospody. Odetchnął z ulgą, gdy zauważył go w rogu sali. Była z nim ślicznotka, rzucająca zalotne spojrzenia. Truscott uklonił się z kurtuazją.

- Masz pietra, Charlie? - spytał drwiąco Margrave.

- Ależ skąd! - Truscott usiadł przy stoliku i skinął na kelnera.

- Mogę zaproponować kolejkę łaskawej pani i jej towarzyszowi?

- Prawdziwy dżentelmen, co, Jenny? A nie mówiłem, że ci się spodoba?

- Jeszcze jak! - Dziewczyzna pisnęła i pochyliła się, żeby Truscott mógł nacieszyć się widokiem imponującego biustu.

- Lubię jaśnie panów.

- Pani zdrowie! - Wielebny uniósł kieliszek, przepijając do dziewczyny. Ma swoje atuty. Warto się nią zainteresować... rzecz jasna, o ile nie jest flamą Margrave'a.

- Jenny to moja siostrzenica - skłamał fałszerz. Zamierzał pchnąć hożą dzierlatkę w objęcia Truscotta, aby zyskać gwarancję bezpieczeństwa. Niech go obserwuje na wypadek, gdyby coś knuł.

- Ta kochana dziecina przyjechała dziś do Londynu. - Margrave łągał jak z nut. - Nie zna tu nikogo.

- Ani pracy, ani mieszkania. Nie mogę w nieskończoność siedzieć wujowi na głowie - wyznała dziewczyna, tak silnie napierając pulchnym udem na udo Truscotta, że krew mu się burzyła.

Udał, że rozważa z powagą jej słowa.

- Wiem, jak temu zaradzić - odparł po chwili milczenia. - Mam urocze mieszkanie w Seven Dials. Tak się składa, że potrzebuję gospodyni. Umiesz prowadzić dom, moja droga?

- Jak mało kto! - odparła z frywolnym uśmiechem. - Nie zawiodę pana.

- Jestem tego pewny - odparł Truscott, wsuwając pod stołem rękę pod spódnicę dziewczyny, która ani drgnęła. - W takim razie spotkamy się jutro... około południa? - Podał jej adres.

- A teraz, Jenny, zostaw nas samych - odprawił ją Margrave. - Mamy do omówienia kilka spraw. - Gdy odeszła, popatrzył na swego kompana. - Dziś w nocy? - zapytał.

- Odłóżmy to do niedzieli. Trzeba odprawić nabożeństwo. Muszę przygotować kazanie.

- Kończy nam się forsa.

- Trzeba było wczoraj wieczorem przyjść do mnie. Czekałem...

- Nie dało rady - zbył go Margrave. Nie zamierzał wyjawić, że uczestniczył w wieczornym nabożeństwie. Zdawał sobie sprawę z tego, że ma do czynienia z nikczemnikiem, i lękał się podstępu.

Po obejrzeniu kościoła i wysłuchaniu nabożeństwa odzyskał względny spokój, bo przekonał się, że nic mu nie grozi, jeśli spotka się z Truscottem w świętym przybytku pełnym wiernych. Dopiero później wpadł na pomysł, żeby podsunąć mu Jenny. Niech go dyskretnie pilnuje. Wiedział, że Charles nie oprze się jej wdziękom, bo miał słabość do kobiet. Margrave gardził tą przywarą. Wiedział, że mężczyzna ulegający żądom wystawia się na niebezpieczeństwo, a kobiety to nieprzewidywalne istoty.

Snuł rozważania z pogodną miną, która nie zdradzała, o czym myśli.

- A więc postanowione? W niedzielę? - upewnił się po chwili milczenia.

- Na pewno. - Truscott pożegnał się natychmiast. Spieszno mu było do Seven Dials. Musiał jeszcze dzisiaj pozbyć się Nan. Od pewnego czasu działała mu na nerwy.

Zdumiał się, bo zamiast potulnie usłuchać i wyjść, uparła się, że zostanie. Nawet biciem nic nie wskórał.

- Nie pójde! - krzyczała, zalewając się łzami. - Nie możesz mnie odprawić! Z czego mam żyć i utrzymać dziecko?

- Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć - burknął rozzłoszczony. - Kazałem ci pozbyć się bachora.

- A ja nie posłuchałam! Przecież to twoja córka! Nie możesz nas odepchnąć!

Głuchy na wszelkie błagania odebrał jej klucze i wypchnął za drzwi. Tchórzliwa kretynka, pomyślał. Gdyby sam został tak okrutnie potraktowany, pomściłby zniewagę celnym ciosem noża.

Gdy zapłakana Nan odeszła, zamknął dom, wezwał fiakra i wrócił do swojej parafii.

Truscott nie wstał, gdy pani Aveton weszła do salonu. -I cóż? - rzuciła opryskliwie, bo wciąż była na niego wściekła.

- Znakomicie! Ale nie dzięki tobie, idiotko! Nie potrafisz trzymać języka za zębami, nawet jeśli od tego zależy twoja przyszłość!

- Wypraszam sobie taki ton, mój panie! Co z tobą? Gustujesz w nieświeżym towarze? Weźmiesz Judith, choć jest lekko... zużyta?

- Zachowaj swoje kłamstwa dla kretynów gotowych w nie uwierzyć.

- Jakiś ty szlachetny! - Cmoknęła gniewnie. - Judith nic o tobie nie wie...

- Ty również, jak mi się zdaje. Myślisz, że biorę twoją pasierbicę dla jej dziewczęcej skromności?

- Ależ skąd! - Pani Aveton obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

- W takim razie rusz głową! Niewiele brakowało, żebyś obróciła nasz plan w ruinę.

- A co ja takiego zrobiłam? Jesteś przebiegły, klecho, ale nie rozumiesz podstawowych rzeczy. Co pomyślałaby Judith, gdybym na nią nie naskoczyła? Od razu zaczęłaby coś podejrzewać. Chcesz, aby się domyśliła, że zawarliśmy układ? - Zerknęła na niego z ukosa. Tą ostatnią uwagą najwyraźniej trafiła mu do przekonania.

- Na razie do głowy jej to nie przyszło, uważaj więc, żeby nie nabrała wątpliwości. Pamiętaj, że nie przypominam tępych półgłówków z twojego otoczenia. - Truscott zamilkł na chwilę. - Muszę przyznać, że wyświadczyłaś mi przysługę. W oczach Judith jestem teraz uosobieniem wszelkich cnót. Pani Aveton zamierzała nadal mówić pochlebnie o samej sobie, lecz wielebny gestem nakazał jej, aby zamilkła.

- Dość, kobieto. Twój wybuchowy temperament stanowi dla nas poważne zagrożenie. Nie życzę sobie więcej podobnych scen. Judith musi zostać ukarana. Do dnia ślubu nie opuści swojej sypialni. Posiłki ma jadać na górze. Proszę się do niej nie odzywać.

- Nie będziesz mi rozkazywać w moim własnym domu! - zachnęła się pani Aveton.

- Mylisz się, daję słowo! - odparł złowieszczym tonem. Wystraszona, cofnęła się i zapewniła potulnie:

- Zrobię, jak chcesz.

- Szczerze ci radzę. Powinnaś także mieć oko na pokojówkę.

- Chodzi o Bessie? Co ona ma z tym wspólnego? Truscott popatrzył na nią z jawnym politowaniem.

- Zastanawiałaś się, jak Ashburn niezauważony wszedł do twojego domu? Rumieńce pani Aveton pociemniały. Zerwała się na równe nogi i pociągnęła za taśmę dzwonka tak mocno, że omal jej nie urwała.

- Odprawię ją natychmiast! - krzyknęła.

- Ależ skąd! Niczego się nie nauczyłaś, głupia babo! W odpowiednim czasie sam zajmę się Bessie - rzekł gniewnie Truscott i wyszedł bez pożegnania.

Bessie nie była świadoma, że w salonie ważą się jej losy. Stała przed swoją panią, słuchając wyjątkowo przykrej reprimendy.

- Jak mogłaś posunąć się do oszustwa? - zapytała surowo Judith. - Bardzo mnie rozczarowałaś, Bessie.

- Wcale nie żałuję, panienko. - Dziewczyna ani myślała się ukorzyć. - Może mnie panienka odprawić bez referencji, ale nie wyprę się, że współczuję biednemu panu Danowi, i dlatego chciałam mu pomóc.

- Mimo woli zaszkodziłaś nam obojgu. Prawdę mówiąc, teraz sytuacja jest dużo gorsza niż przedtem. Na domiar złego przez ciebie spotkało mnie tyle przykrości...

Twarz Bessie skurczyła się z żalu.

- Nie chciałam panienki zasmucić, ale...

- Dość! Żadnych usprawiedliwień. Nie zamierzam ich słuchać. Możesz odejść. Chcę być sama.

Judith była opanowana i rzeczowa. Miała wrażenie, jakby przestała cokolwiek odczuwać. Wiele się dziś nacierpiała, ale teraz zobojętniała na wszystko. Być może osiągnęła taki stan, w którym umysł nie przyjmuje żadnych doznań. Nie miała ochoty z nikim rozmawiać, ale obawiała się, że pani Aveton uzna za stosowne udzielić jej nagany. Mniejsza z tym. Niech peroruje do woli. Judith była zdecydowana puścić mimo uszu wszelkie inwektywy. Złe słowa rozbijają się o niewidzialny mur obojętności jak fale o skałę.

Do wieczora siedziała w sypialni. Gdy zapadł zmrok, usłyszała pukanie do drzwi. Bessie przyniosła tacę z jedzeniem. Oczy miała czerwone od płaczu.

- Nie martw się - pocieszała Judith. - Byłam dla ciebie zbyt surowa. Wiem, że miałaś dobre intencje.

- Nie dlatego płakałam. Jaśnie pani kazała mi powiedzieć, że do dnia ślubu nie wolno panience opuszczać pokoju. Pani Aveton nie chce panienki widzieć na oczy.

Judith uśmiechnęła się lekko.

- To ma być kara? Głowa do góry, Bessie. Szczerze mówiąc, o niczym innym nie marzyłam. Potrzebuję teraz spokoju i samotności.

Bessie postawiła tacę na stoliku.

- Zje panienka kolację?

- W tym stanie ducha nie zdołam przełknąć ani kęsa. Odnies to do kuchni.

Na takie *dictum* Bessie ponownie zalała się łzami. Chcąc ją pocieszyć, Judith zjadła trochę, ale sam widok jedzenia przyprawiał ją o mdłości.

- Powinam chyba położyć się do łóżka - powiedziała w końcu.

Milczała, gdy Bessie pomagała jej zdjąć suknię, ukradkiem ocierając łzy.

- Nie martw się - powiedziała cicho, chcąc ją pocieszyć. - Za cztery dni opuścimy ten dom.

Bessie nie była w stanie dłużej tłumić łkań. Zatkała sobie usta ręką i wybiegła z pokoju.

Judith jak w transie podeszła do łóżka. Za cztery dni ślub? To nie do wiary, że ma wyjść za Charlesa Truscotta. Miała wrażenie, jakby istniała w oderwaniu od wszystkiego, co ją otaczało. To dziwne doznanie było dla niej pociechą i ukojeniem. Żywiła nadzieję, że odtąd stale będzie jej towarzyszyć. Kto nic nie czuje, ten nie zna cierpienia.

Truscott miał dość rozsądku, żeby nie odwiedzać jej przez dwa dni, ale posyłał kwiaty i bileciki.

Jenny zadomowiła się w jego mieszkanku. Obiecywała, że go nie rozczaruje, i dotrzymała słowa. Potrafiła zaspokoić wszelkie jego żądze. W niedzielny poranek niechętnie się z nią rozstał obiecując szybko wrócić.

- Słyszałam, że się żenisz - odparła naburmuszona i wydeła usta. - Przyjdiesz zmęczony od swojej połowicy.

- Tak myślisz? - Oczy mu zabłyśły, kiedy na nią spojrział. - Bardziej prawdopodobne, że ty przy mnie opadniesz z sił.

- Mowy nie ma, Charlie! Dotrzymam ci pola! Roześmiany opuścił dom w Seven Dials. Przez całe popołudnie odpoczywał, przygotowując się do wieczornego kazania.

Wszystkie jego nabożeństwa odbywały się po zmierzchu. Półmrok znakomicie podkreślał teatralność kościelnego wnętrza. Boczne nawy ginęły w ciemnościach, a środkową oświetlały ogromne kandelabry. W takiej scenerii Truscott czuł, że całkowicie panuje nad zgromadzeniem wiernych.

Samotna lampa oświetlała ambonę. Umieścił ją tak, żeby wydobywała z mroku jego twarz, upodabniając ją do marmurowej rzeźby. Światło uwydatniało pociągłe rysy, podkreślało kontury i płaszczyzny oraz lekko zapadnięte policzki, które nadawały mu wygląd natchnionego fanatyka. Owa świetlna charakteryzacja sprawiała mu ogromną radość.

Czuł się jak współczesny Savonarola. Ten włoski mnich dzięki kazaniom zyskał ogromną władzę. Niestety, posunął się w swoim fanatyzmie za daleko i zapłacił za to życiem. Truscott przypomniał sobie, że i jemu groziła śmierć na szubienicy. Straszny koniec. Odruchowo wsunął palec za koloratkę i pomyślał o czym innym.

Tego wieczoru osiągnął szczyty kaznodziejskiego kunsztu. Wygłosił najlepsze kazanie swego życia. Jako motto wybrał werset mówiący, że choćby ktoś zawładnął całym światem, ale duszę zatracił, nic mu z tego nie przyjdzie. Ilekroć robił dłuższą pauzę, w kościele panowała nabożna cisza.

Nie szczędził wiernym mocnych efektów i został nagrodzona kilkoma jekami rozpaczy. Gdy zakończył kazanie, był mokry od potu, a ubranie przylgnęło do skóry. Dał z siebie wszystko. Wytężona uwaga widowni była dla niego bezcenną nagrodą. Brakowało jedynie burzy oklasków.

Po nabożeństwie, jak to miał w zwyczaju, stanął przy drzwiach kościoła i z poważną miną żegnał parafian, godnie przyjmując życzenia i gratulacje z powodu rychłego ślubu.

Nawet okiem nie mrugnął, gdy pod kolumną spostrzegł Dicka Margrave'a. Zadrżał z radości. Zwierzyna była w zasięgu ręki.

Odczekał, aż ostatni parafianie opuszczą kościół, znikając pod zadaszoną bramą, oddzielającą dziedziniec od cmentarza, a potem zwrócił się do fałszerza.

- Jak ci się podobało?

- Ogromnie, Charlie. Miałeś tu dzisiaj świetne zgromadzenie. Już to mówiłem i chętnie powtórzę. Jesteś w rozkwicie swojego talentu. - Margrave wybuchnął śmiechem. - A ten werset! Masz tupet, bracie! Omal się nie zdradziłem!

Musiałem wyjść na zewnątrz, bo zacząłbym rechotać z uciechy.

- Wiedziałem, że docenisz ironię i sarkazm kazania. Może się czegoś napijemy? Od gadania zaschło mi w gardle.

- Nie ma mowy. Darujmy sobie towarzyskie uprzejmości. Nie przyszedłem tutaj z wizytą. Dawaj forszę i znikam.

- Zostawiłem sakiewki w zakrystii - wyjaśnił spokojnie Truscott. - Chodź ze mną...

Margrave skwitował jego sugestię gromkim śmiechem.

- Nie jestem głupcem! Kto wie, jakie niespodzianki przygotowałeś dla mnie w ciemnych zakamarkach tego gmaszyska. Zostanę przy drzwiach. Ani myślę się stąd ruszać. Sam idź po pieniądze. Zaczekam. Mnie się nie spieszy.

- Skąd u ciebie taka chorobliwa podejrzliwość? - Truscott ze smutkiem pokiwał głową. - Musimy pokonać zadawnione uprzedzenia i przyjąć do wiadomości, że dzięki wzajemnemu zaufaniu więcej zyskamy. Ale to zadanie na przyszłość.

Poczekaj tu. Zaraz wracam. Idę po sakiewki.

Zjawił się wkrótce, niosąc kilka pękatek trzosów ze skóry oraz niewidoczną dla Margrave'a ciężką pałkę, ukrytą w fałdach obszernych szat liturgicznych

- Chcesz przeliczyć? - zapytał nonszalanckim tonem.

- Nie ma potrzeby. Wątpię, żebyś próbował mnie oszukać, wkładając do środka kamienie. Sam wiesz, że źle byś na tym wyszedł.

Margrave wyciągnął ręce po należność. W czasie przekazywania wypchanych mieszków Truscott celowo upuścił jeden z nich. Wszystkie były zawiązane byle jak, więc supeł puścił natychmiast, a lśniące krążki potoczyły się w różne strony.

- Złoto? - Margrave był porażony widokiem tylu monet ze szlachetnego kruszcu. Podniósł jedną z nich i trzymał na otwartej dłoni, szacując wagę.

- Jakże by inaczej? Tutejsi parafianie nie śmieliby obrazić mnie ofiarą z miedziaków. - Truscott ukląkł i wziął się do zbierania monet. - Co stoisz jak słup? Bierz się do roboty! Myślisz, że dam radę wszystko pozbierać? Pomóżże mi, głupku! - pieklił się, wyraźnie zniecierpliwiony.

- Dobra, dobra. Nie zostawimy ich na posadzce - mruknął Margrave. Jego oczy rozjaśnił błysk chciwości. Na widok złota zapomniał o zagrożeniu i niezbędnej ostrożności. Opadł na kolana i zbierał monety, pełzając po kamiennej posadzce.

- Idę po sakiewkę. - Truscott zerwał się na równe nogi, wyciągnął pałkę i z całej siły uderzył Margrave'a w tył głowy. Jeden cios wystarczył, żeby fałszerz padł bez życia na zimną podłogę.

Kaznodzieja zdjął komżę, złożył ją i owinął ciasno głowę ofiary, żeby nie zostawić za sobą krwawego śladu. Chwycił Margrave'a za nogę i wywłócił bezwładne ciało z kościoła prosto na cmentarz, gdzie w świeżo wykopanym dole pochowano dziś nieboszczyka.

Truscott zawczasu schował łopatę za wysoką stelą. Szybko poszerzył grób, dziękując w duchu niebiosom, że księżyc skrył się za chmurami, które wiatr pędził po niebie.

Gdy dół miał odpowiednią głębokość, kaznodzieja błyskawicznie wrzucił ciało i łopatą nagarnął ziemię, formując zgrabny kopiec. Gdy skończył, z jawnym zadowoleniem popatrzył na swoje dzieło. W przyszłym tygodniu rodzina pochowanego za dnia nieboszczyka wystawi mu pomnik. Nikt się nie dowie, że pod kamienną płytą spoczywają dwa trupy. W ten sposób klęska Margrave'a zostanie ostatecznie przypieczętowana, a on sam przepadnie na wieki wieków.

Truscott nie zdawał sobie sprawy, że jest śledzony. Tajny agent Sebastiana miał w życiu do czynienia z wieloma nikczemnikami, lecz zbrodnia pastora przyprawiła go o dreszcz zgrozy. Pozostał w ukryciu, obserwując Truscotta, który wrócił do kościoła, zebrał rozsypane monety i zamknął wrota. Potem spokojnie odszedł na plebanie.

Agent uznał, że nie warto śledzić zbrodniarza, który czuł się bezkarny. Z pewnością nie będzie próbował ucieczki. Ważniejsze było teraz dokładne oznaczenie grobu ofiary. Szkoda człowieka, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, bo lord Wentworth zyska upragniony dowód. Truscott nie odwinął komży spowijającej głowę zabitego mężczyzny. To wystarczy, by uznać, że jest zamieszany w tę sprawę.

Agent podszedł do świeżego grobu i osłupiał. Ziemia się poruszyła. Gołymi rękami rozkopywał pospiesznie miękkie wzgórek. Jeśli zaatakowany mężczyzna żyje, z pewnościąłoży zeznanie obciążające niedoszłego mordercę. Nim agent zdążył się uchylić, z grobu wychynęła straszliwie zmieniona postać, a ręce uniosły się, obejmując jego szyję żelaznym uściskiem. Zrobiło mu się ciemno przed oczami.

## Rozdział czternasty

Na dzień przed ślubem Judith miała gościa. Od kilku dni nie opuszczała swego pokoju, ale gdy zjawił się Sebastian, natychmiast poproszono ją do salonu. Ujął jej dłoń i z niepokojem popatrzył na wymizerowaną twarz. Oczy miała podkrążone. Ciemnofioletowe cienie przypominały sińce. Jej zachowanie zadawało kłam fatalnemu wyglądowi; była spokojna i opanowana. Stała nieruchomo, w milczeniu czekając, aż pierwszy się do niej odezwie.

Sebastian miał ochotę potrząsnąć Judith, żeby na chwilę wyrwać ją z tej martwoty i ujrzeć choćby ślad ożywienia na bladej twarzy, znieruchomiałej niczym maska.

- Przyszedłem, żeby umówić się na jutro - powiedział. - O której zaczyna się uroczystość?

- W południe - odparła beznamiętnie.

- Przyjadę po ciebie swoim powozem za kwadrans dwunasta, zgoda?

Skinęła głową. Nie śmiała zadać pytania, które cisnęło jej się na usta. Miała nadzieję, że Dan nie przyjdzie do kościoła, żeby wysłuchać, jak wypowiada słowa małżeńskiej przysięgi, którą jemu powinna złożyć.

Sebastian wiedział, co ją niepokoi.

- Prudence myśli o tobie i przesyła serdeczności - powiedział. - Elizabeth i Perry będą na ślubie.



Zapadło krępujące milczenie. Judith nie śmiała zadać najważniejszego pytania. Sebastian domyślił się, co jej leży na sercu.

- Dan prosi, żebyś darowała mu nieobecność - ciągnął. - Otrzymał nowiny, które bez wątpienia uznasz za radosne. Został pilnie wezwany przez Nelsona. Dziś rano wyjechał do Merton.

Judith ożywiła się nagle. Podniosła głowę, a jej twarz przybrała wyraz radości i zainteresowania.

- Jego projekty spodobały się admirałowi?

- Na razie nie wiemy. To się okaże po powrocie Dana.

- Jestem pewna, że nareszcie zostanie doceniony, i bardzo się z tego cieszę.

Wspomnisz mu o tym?

- Naturalnie. A więc do jutra?

- Dzięki za wszystko, co dla mnie robisz. - Podała mu rękę i zdobyła się na lekki uśmiech.

Gdy Sebastian wrócił na Mount Street, szczerze żałował, że zgodził się w zastępstwie nieżyjącego ojca poprowadzić Judith do ołtarza. Nasuwało mu się porównanie z bezbronną owieczką wleczoną na rzeź. Biedna Judith była jak porażona, ale to nic w porównaniu z czekającym ją koszmarem.

Przeklinał detektywa, zachodząc w głowę, gdzie on się podziewa. Ślub za kilka godzin. Czy istnieje cię szansa, że uda się do niego nie dopuścić? A może jest za późno i nie warto łudzić się nadzieją?

Otępiiała, nieobecna duchem i znużona Judith długo leżała bez ruchu w panińskim łóżku. Potem umyła się chłodną wodą, bo żywiła nadzieję, że po takiej kąpieli poczuje się rześko. Patrzyła na swoje ciało, jakby należało do obcej kobiety. Następnego dnia zamiast uczestniczyć w przygotowaniach do ślubu, chłodnym okiem przygląda się sobie i innym. Stała nieruchomo jak posąg, gdy Bessie ubierała ją w brzydką suknię ślubną koloru lawendy. Pani Aveton umyślnie wybrała odcień, w którym pasierbicy było nie do twarzy. Kapelusz tej samej barwy, ozdobiony pękami kwiecica, także nie dodawał urody pannie młodej. Bessie uznała, że panińka Judith wygląda w tym stroju jak duch.

- Proszę włożyć coś innego - nalegała, lecz po chwili uświadomiła sobie, że wszystkie suknie zostały już spakowane i zabrane z jej panińskiego pokoju.

- Niech tak zostanie. - Judith przymknęła oczy. - Muszę usiąść na chwilę.

Przycupnęła na parapecie w okiennym wykuszu i dotknęła policzkiem chłodnej szyby. Tak dalece zubożętniała na wszystko, że nie umiała powiedzieć, czy jest jej zimno, czy gorąco.

Wiedziała, że musi wziąć się w garść, żeby nie zawieść Charlesa. Przez wzgląd na niego powinna wykrzesać z siebie trochę energii, aby nie odniósł wrażenia, że bierze ślub z bezwładną marionetką.

Siłą woli zmusiła się, żeby o nim pomyśleć, ale nie mogła sobie przypomnieć jego twarzy. Widziała za to jasnoniebieskie oczy i złotorudą czuprynę. Zalała ją fala wspomnień, a obrazy zmieniały się jak w kalejdoskopie. Dan roześmiany, drocący się z nią, rozprawiający o jej nadziejach i planach, ożywiony szla-

chetnym zapalem. A potem jego twarz zmieniona cierpieniem, błagalna, wyrażająca złość, a potem rozpacz. Nie chciała teraz myśleć o Danie. Powinna mieć przed oczami blade oblicze narzeczonego, lecz nie była w stanie wywołać go z pamięci.

Nie kocham przyszłego męża, choć to przyzwoity człowiek, pomyślała zdesperowana. Spytała samą siebie, kto jest dla niej ideałem, i natychmiast znalazła odpowiedź. Jest nim Dan. Wystarczyło, że na niego spojrzała, i robiło jej się ciepło na sercu, a duszę przepełniała radość. Przymknęła powieki, wspominając jego promienny uśmiech, ciepło dłoni, zapach skóry.

Nazywał ją zawsze najlepszą przyjaciółką. Ich wzajemna serdeczność, przyjaźń i życzliwość łączyła się z namiętną miłością, która miała trwać wiecznie, ale nie przetrwała próby czasu. Dan przestał kochać Judith. Uczucie przeminęło, a z nim umarły jej nadzieje i marzenia.

Pukanie do drzwi przerwało te smutne rozmyślenia. Bessie poszła otworzyć i wróciła z wiadomością, że przybył lord Wentworth.

- Już czas? - zapytała cicho Judith.

Bessie otarła łzy. Jej młoda pani użyła tych samych słów, które w romantycznych powieściach wypowiadali francuscy arystokraci prowadzeni na szafot, gdzie czekała ich gilotyna i męczeńska śmierć.

- Nie patrz tak na mnie - szepnęła błagalnie Judith, ściskając dłoń pokojówki. - Charles to zacny człowiek. On się mną zaopiekuje.

Desperackim gestem objęła Bessie. Przez moment stały nieruchomo, tuląc się do siebie. Judith odsunęła się pierwsza. Wyprostowana jak struna opuściła sypialnię.

W salonie czekały na nią cztery osoby, lecz mimo to wydał jej się zatłoczony ponad wszelkie wyobrażenie. Ze zdumieniem spoglądała na macochę i jej córki, które wystroili się jak na paradę. Ich korpulentne postacie ginęły wśród falban, wstęg, fałd lśniącego jedwabiu, fryzowanych piór, połyskliwych lamówek i zbyt-kownej biżuterii. Macocha miała na głowie turban z purpurowej satyny spięty ogromną egretą. Ta efektowna ozdoba ze strusich piór i drogich kamieni, modna od czasów Marii Antoniny, przyciągała uwagę, a przy każdym poruszeniu szeleściła i rzucała tęczowe błyski.

Wystrojona pani Aveton podbiegła do panny młodej. Czuła na sobie badawcze spojrzenie Sebastiana.

- Drogie dziecię! - szczebiotała, udając wzruszenie. - Jak ty pięknie wyglądasz! - Chciała ją objąć, by udowodnić gościowi, że darzy pasierbicę prawdziwie matczynym afektem, ale ta odsunęła się, ponieważ wszelka ostentacja budziła w niej obrzydzenie.

Sebastian z szacunkiem ujął dłoń Judith i złożył na niej pocałunek, a następnie zwrócił się do pani Aveton.

- Proszę jechać przodem, żeby mogła nas pani powitać w kościele.

- Tak, tak! Słuszna uwaga. Jak to miło ze strony waszej lordowskiej mości, że zechciał pan mi przypomnieć o tym pięknym zwyczaju! Nasza kochana Judith

jest panu głęboko wdzięczna za serdeczną asystę, zwłaszcza że nie spodziewała się dostąpić takiego zaszczytu!

- Judith od lat jest zaprzyjaźniona z naszą rodziną - odparł Sebastian lodowatym tonem.

Pani Aveton umilkła i zaczerwieniła się jak piwonia. Skinęła na córki i wszystkie trzy pobiegły do czekającego powozu.

Sebastian spojrział na pannę młodą. Nie uszło jego uwagi, że jest ponura i zamknięta w sobie.

- Judith?

- Jestem gotowa - odparła pośpiesznie. - Możemy iść.

Bez słowa podał jej ramię. Wszystko zostało już powiedziane. Najchętniej błagałby, żeby zmieniła zdanie. Jeszcze nie było za późno. Wsiedliby do powozu i ruszyli na Mount Street, pod opiekuńcze skrzydła Prudence. Ukradkiem przyjrzał się Judith. Po jej postawie i minie poznał, że wszelkie prośby byłyby daremne. Pozostało mu jedynie wspierać ją podczas ceremonii.

Niewątpliwie potrzebowała asysty i opieki. Po raz pierwszy w życiu miał przed sobą istotę bliską całkowitego załamania. Uznał, że trzeba wyrwać ją ze stanu ponurego otępienia, zaczął więc mówić o Prudence.

- Bardzo ją ucieszyła twoja wizyta. Lekarz twierdzi, że termin rozwiązania jest bliższy, niż sądziliśmy. Dziecko przyjdzie na świat lada dzień.

- Sebastianie, nie powinieneś teraz zostawiać jej samej - powiedziała Judith.

Natychmiast zapomniała o sobie, zatroskana stanem i samopoczuciem przyjaciółki.

Uspokajająco poklepał jej dłoń i uśmiechnął się pobłażliwie.

- To musi potrwać, nie powinnaś się niepokoić. Sam zaproponowałem Prudence, że poproszę Perryego, aby mnie zastąpił, lecz nie chciała o tym słyszeć. Nalegała, że muszę wypełnić daną ci obietnicę... - Sebastian zawiesił głos.

-Ale?

- Nic więcej nie powiem, Judith! Elizabeth na wszelki wypadek została z Prudence. Gdyby się zaczęło, przyśle mi wiadomość. Zajmie się wszystkim, tego jestem pewny. W takich sytuacjach nasza porywczą ślicznotka jest dla innych prawdziwą podporą i wcale nie traci głowy.

Judith uśmiechnęła się wreszcie.

- O tak! Jestem tego świadoma. Wdała się w ciotkę. Czy pani Grantham wyjechała do Turcji?

Sebastian kiwnął głową.

- Dwa dni temu. Perry idzie o zakład, że wróci z paroma mamelukami, którzy będą u niej chłopcami na posyłki.

- Żartuje sobie! Nie bierz tego poważnie. Uściskaj ode mnie Prudence. Ubędzie ci trosk, gdy dziecko wreszcie się urodzi.

- Powinienem już przywyknąć, ale za każdym razem przeżywam wszystko równie mocno jak ona. Pocieszam się, że Perry niemal odchodził od zmysłów za każdym razem, gdy Elizabeth rodziła.

- Wszystko będzie dobrze, jestem tego pewna. - Judith ścisnęła jego dłoń. Powóz stanął. Podniosła wzrok i nagle poblądła. - Jesteśmy na miejscu?

- Tak, moja droga. - Sebastian wysiadł pierwszy i podał jej rękę.

Zawahała się, patrząc na otwarte drzwi kościoła. Po chwili wyprostowała się, podniosła głowę i wsparta na ramieniu przyjaciela ruszyła główną nawą ku ołtarzowi.

Goście zwracali się ku niej, kiedy ich mijala, lecz ich nie dostrzegała, wpatrzona tępo w mężczyznę, czekającego przy ołtarzu.

Gdy stanęła obok niego, uśmiechnął się czule, lecz ona nadal była poważna i nieobecna duchem. Zdawało jej się, że wszystko, co się teraz dzieje, jest nierzeczywiste. Straciła poczucie tożsamości i miała wrażenie, że kobieta, stojąca obok Charlesa Truscotta, jest zupełnie obca. Stała się przypadkowym gościem na własnym ślubie. Ta ceremonia w ogóle jej nie dotyczyła.

Truscott z wytężoną uwagą wpatrywał się w biskupa, który wypowiedział pierwsze słowa uroczystego nabożeństwa. Judith słyszała wyraźnie jego głos.

- Najmilsi, zebraliśmy się tutaj w obliczu Boga i zgromadzenia wiernych, aby połączyć świętym węzłem małżeńskim tego mężczyznę i tę oto kobietę.

Biskup zamilkł, po czym zgodnie z prawem kanonicznym zapytał, czy komuś wiadomo o przeszkodach uniemożliwiających zawarcie małżeństwa.

Pytanie to uchodziło za zwykłą formalność, ale cisza, która po nim zapadła, trwała dla Judith całą wieczność. Gdy biskup zaczerpnął powietrza, aby wypowiedzieć kolejne zdanie, dobiegło go stłumione wołanie.

- Ten mężczyzna jest ojcem mojego dziecka!

Przez kościół przebiegł szept podobny do szelestu kłosów pszenicy, kołyszących się na wietrze. Judith poczuła, że Charles Truscott zamarł w bezruchu.

Po chwili odwrócił się i stanął twarzą w twarz z oskarżycielką. Judith słyszała, jak klnie półgłosem. Szybko odzyskał panowanie nad sobą i ruszył ku dziewczynie, która stała w głównej nawie.

Judith od razu ją poznała. Oskarżycielką była dziewczyna, która zaczepiła ją na ulicy, a następnie przekazała tajemniczą wiadomość od Charlesa. Właśnie oznajmił tubalnym głosem, że nie zna tej osoby.

- To wariatka! - zawołał, a potem dodał z udawaną pobłażliwością: - Powiedz nam, nieszczęsna istoto, jak się nazywa ojciec twego dziecka.

- Ty nim jesteś. Ty... Josh Ferris! Nie wyprzesz się tego biedactwa. To przecież twoja krew. - Zsunęła z ramienia szal, ukazując słabowite niemowlę, które trzymała na ręku. Dziecina była tak wychudzona, że nawet nie zakwiliała.

Truscott spojrział na dziewczynę ze smutkiem i współczuciem, a potem omiótł spojrzeniem zdumione twarze wiernych. Przemówił do nich z niezmaconą pewnością, że przyjmą jego wersję.

- Biedactwo! - Westchnął żałośnie. - Z rozpaczki pomieszało jej się w głowie.

Droga moja, zaszła pomyłka. Nazywam się Charles Truscott, nie Josh Ferris.

Jestem duchownym. Dobrze się stało, że trafiłaś do mojej parafii. Spróbujemy ci pomóc... - Spojrzał na służących, dbających o porządek w kościele. Szli ku

dziewczynie, żeby ją wyprowadzić do zakrystii. Gdy chwycili ją z obu stron, wyrwała się i krzyknęła rozpaczliwie:

- Nie wyprzesz się mnie i tego dziecka! Nazwij się, jak chcesz, ale i tak pozostaniesz jego ojcem!

Truscott popatrzył na Judith.

- Przykro mi, najdroższa, że taka gorsząca scena odbywa się w twojej obecności. Nie znam tej kobiety.

Gdy Judith mu odpowiedziała, jej słowa zabrzmiały głośno i wyraźnie w ogromnym kościele.

- Nieprawda! - oznajmiła spokojnie. - Przekazałeś jej wiadomość, którą mi przyniosła. Jak to wytłumaczysz?

Weselni goście znowu szemrali. Judith podeszła do młodej matki.

- To nie jest odpowiednie miejsce na takie rozmowy. Chodźmy do zakrystii.

Pani Aveton w mgnieniu oka znalazła się obok niej.

- Co ty knujesz? - syknęła, chwytając pasierbicę za rękaw.

- Trzeba kontynuować ceremonię. Niech służba wyprowadzi tę biedaczkę. Jej miejsce jest w domu dla obłąkanych. Trzeba ją odwieźć do Bedlam.

Judith obrzuciła ją pogardliwym spojrzeniem.

- A gdyby nawet ten dzieciak był rzeczywiście bękartem Charlesa, cóż to szkodzi? - tłumaczyła przyciszonym głosem.

- Rozsądna kobieta nie przejmuje się takimi błahostkami.

- Z tego wniosek, że brak mi rozsądku. - Judith wyrwała ramię z mocnego uścisku szponiastej dłoni i zwróciła się do biskupa.

- Wasza Ekscelencjo, nim zdecyduję, jak mam postąpić, muszę znać całą prawdę.

- Bardzo słusznie - przyznał. - Przerывamy ceremonię. Trzeba sprawdzić, czy zarzuty się potwierdzą.

- Nie! - krzyknął Truscott. Gniew i złość wykrzywiły mu twarz. - Judith, ten incydent nie stanowi przeszkody dla naszego małżeństwa. Powinnaś mi uwierzyć.

- Być może, ale młoda dama ma prawo znać prawdę, należy więc przeprowadzić śledztwo. - Sebastian z trudem ukrywał, że z powodu nieoczekiwanej zwłoki kamień spadł mu z serca. - Chwycił Judith za ramię. - Idziemy do zakrystii? - dodał półgłosem. - Nie chcemy przecież wywołać skandalu.

- Precz! Zostaw ją! - wrzasnął Truscott. - Jak śmiesz wtrącać się w moje sprawy? Ty i twoja rodzina zawsze byliście mi przeciwni. Teraz spróbujesz nastawić Judith przeciwko mnie, sącząc jej w uszy same kłamstwa.

- Judith chce tylko poznać wszystkie fakty, mój panie - odparł Sebastian lodowatym tonem. - Skoro jesteś niewinny, to nie masz powodów do...

- Winny? Niewinny? Kimże ty jesteś, żeby mnie osądzać? Myślisz, że majątek i rodowa pycha daje ci takie prawo? Moja żona od tego momentu zrywa wszelkie kontakty z tobą i twoją rodziną.

- Drogi panie, proszę nie robić z siebie widowiska. Niech pan ma wzgląd na stan ducha panny Aveton.

- Panna Aveton, dobre sobie! Aleś ty oficjalny! - Truscott próbował chwycić ramię Judith i przyciągnąć ją do siebie. - Nie słuchaj go! Oni wszyscy są przeciwko mnie...

Biskup uznał, że pora skończyć tę żalosalną scenę.

- Lord Wentworth ma rację. Wystawiasz się na pośmiewisko, mój synu. Nie należy prowadzić takich rozmów w obecności licznego zgromadzenia. - Obrzucił Truscotta karcącym spojrzeniem i ruszył do wyjścia.

- Wasza Ekscelencjo, proszę zostać! - Wielebny pobiegł za nim. - Mam prawo do obrony! Chcę odeprzeć zarzuty! - I tak się stanie. Wysłucham cię, ale nie będę tego czynić przed ołtarzem. Gdy odeprzesz wszelkie oskarżenia i odzyskasz zaufanie młodej damy, będziemy mogli kontynuować ceremonię.

Truscott podszedł znowu do Judith, próbując stanąć między nią a lordem Wentworthem. Gdy jego plany spełzyły na niczym, przestał nad sobą panować i nie był w stanie powstrzymać potoku słów pozbawionych wszelkiego znaczenia. Judith nie zwracała uwagi na tę gadaninę. Popatrzyła na dziewczynę.

- Jak ci na imię?

- Nan. Błagam, niech mi panienka uwierzy. Nie kłamię. Josh mnie rzucił. Nie mam pieniędzy. Moja córeczka umiera z głodu.

Judith popatrzyła na małeństwo, spoczywające w jej objęciach.

- Nie upadaj na duchu - odparła. - Otrzymasz wszelką możliwą pomoc. Czy to jest mężczyzna, który przedstawił ci się jako Josh? Masz całkowitą pewność, że chodzi o człowieka, którego miałam poślubić?

- Tak, panienko. Podaje się za duchownego? - spytała z posępnym wyrazem twarzy Nan. - Nie jest dobrym chrześcijaninem, skoro zostawił nas obie na pastwę losu. Omal nie pomarłyśmy z głodu.

- Brak ci sił i jesteś znużona. Wyjdźmy stąd i porozmawiajmy na osobności. Powinnaś usiąść i odpocząć. - Zerknęła na Sebastiana, który skinął głową.

Gestem przywołał jednego ze służących i posłał go po jedzenie.

Zdesperowany Truscott próbował zwrócić na siebie uwagę.

- Nie! Ja pomogę! Dam pieniądze, tylko błagam, Judith, żebyś mnie wysłuchała!

- Chętnie to uczynię. - Wzięła Nan pod rękę i poprowadziła ku drzwiom zakrystii.

Sebastian pospieszył za nią, a Truscott deptał im po piętach. Mijając idącego wolno biskupa, zmienił taktykę. Zatrzymał się i spiorunował dziewczynę spojrzeniem.

- Ty wywłoko! Będziesz się smażyć w piekle! - grzmiał. - Taka kara spotyka kłamców, składających fałszywe świadectwo w obliczu Pana.

Wszyscy przystanęli, spoglądając na niego ze zdumieniem.

- Mój człowieku, oszczędź nam tych gniewnych pohukiwań - skarcił go Sebastian. - Powinieneś ugryźć się w język. Czy Wasza Ekscelencja zechce teraz wysłuchać dziewczyny?

Dostojnik skinął głową i usiadł w ławce. Gestem odprawił gości weselnych, którzy posłuchali bez szemrania i opuścili kościół. Nan drżała ze strachu, lecz zachęcona przez Judith zaczęła opowiadać swoją historię

- Seven Dials? - przerwał w pewnym momencie Truscott.

- Nie mam pojęcia, gdzie to jest!

- Osobliwe, mój panie, zważywszy, że masz tam dom -wtrącił Sebastian. -

Widziano, jak wchodziłeś tam i wychodziłeś o najróżniejszych porach dnia i nocy. Podobnie było z Nan. Tak ci na imię, prawda? - Uśmiechnął się przyjaźnie do dziewczyny

Kaznodzieja pobladł, ale nie stracił rezonu.

- Kazałeś mnie śledzić, jasnie panie. Nasłałeś na mnie szpiegów. Nic ci z tego nie przyjdzie. Powszechnie wiadomo, że jako sługa boży odwiedzam różne kwartały Londynu, spełniając dzieła miłosierdzia. Czasami sam nie wiem, do jakich dzielnic wzywają mnie obowiązki duchownego.

- Najwyraźniej nie pamiętasz również bliźnich, których nawiedzasz - zauważył biskup z kamienną twarzą. - Dlaczego twierdziłeś, że nie znasz tej dziewczyny, skoro bywałeś w jej domu?

- Ależ, Wasza Ekscelencjo, nie dałbym rady spamiętać wszystkich ludzi, którym pomagam. Tyłu ich jest... - Spojrzał błagalnie na Judith, która unikała jego wzroku. Powróciły do niej złe wspomnienia. W tym kościele przyłapała Truscotta na katowaniu bezbronного chłopca. Z obrzydzenia zrobiło jej się słabo, gdy pojęła straszliwą prawdę. Od początku błędnie go oceniała. Zdruzgotana osunęła się ciężko na drewnianą ławę.

Sebastian wahał się przez moment, ale doszedł do wniosku, że Judith musi poznać wszystkie fakty mimo ich ohydy.

- Czy obowiązki duchownego wymagają nocowania u bliźnich? - zapytał cicho. Truscott oblał się ciemnym rumieńcem.

- Zdarzało mi się przebywać u nich przez całą noc, gdy czuwałem przy łożu konających.

- Ach tak! Pomówmy o nich. Dużo ich było, prawda? I dziwnym trafem wszyscy mieszkali w tym samym domu w Seven Dials. Mówiono mi, że za każdym razem owo czuwanie wymagało kilkudniowego pobytu.

- Judith wie o tych wizytach - bronił się Truscott. - Moja matka chorowała na ospę...

- Kłamiesz, mój panie! Twoja matka mieszka w parafii St Giles, w pewnej uroczej dzielnicy Londynu, zwanej kolonią. Z tego, co mi powiedziano, wynika, że jej dolegliwości nie są jednak spowodowane chorobą zakaźną, tylko brakiem opieki ze strony wyrodnego syna.

Judith wstała, starając się nie patrzeć na Truscotta.

- Dość już usłyszałam - oznajmiła z godnością i zwróciła się do biskupa. - Wasza Ekscelencjo, nie wyjdę za wielebnego Truscotta. Wasza Ekscelencja sam zdecyduje o jego losie, ale ja nie chcę w tym uczestniczyć. Sebastianie, mógłbyś odwieźć mnie do domu? Nan i jej córeczka jadą z nami.

- Judith, nie możesz się wycofać! - krzyknął pastor.

Gdy wsparta na ramieniu przyjaciela ruszyła główną nawą przez opustoszały kościół, Truscott pobiegł za nią. Nawet nie spojrzał na skuloną w ławce panią Aveton i jej córki.

- Zapewniam cię, że to kłamstwa, same kłamstwa. Ci szubrawcy nie cofną się przed niczym, byle cię do mnie zrazić.

- Milcz Charles, któż lepiej ode mnie wie, jaki z ciebie szubienicznik, ty diable wcielony!

Stłumiony i cichy, ale przerażający głos dobiegał z ciemnej sieni kościoła.

Truscott znieruchomiał w pół kroku, a potem cofnął się i pobał okropnie.

- Kto tu jest? - wrzasnął.

- Trup! - szedł głos. - Któż by inny?

Z cienia wyłonił się Margrave. Wszedł do jasno oświetlonej nawy. Pani Aveton zaczęła krzyczeć histerycznie, bo widok był okropny: skóra blada jak u trupa, na twarzy krwawe wybroczyny, czerwona strużka spływająca na policzek spod szmaty, którą przybysz owinął sobie głowę.

- Byłeś pewny, żeś mnie ukatrupił, co, Charlie? Jak widzisz, jestem twardy. Przyszedłem się zemścić. Nie łudź się, że będziesz w spokoju trwonil fortunę swojej pani. - Uniósł pistolet i wycelował w serce Truscotta.

- Nie, Dick! Wysłuchaj mnie! Zaszła pomyłka! Potknąłem się i niechcący popchnąłem cię tak nieszczęśliwie, że rozbiłeś sobie głowę. Wpadłem w panikę. Nie wiedziałem, co robić. Gdyby cię znaleziono...

- Dlatego postanowiłeś sprawić mi chrześcijański pogrzeb. - Gromki śmiech Margrave'a sprawił, że wszystkich obecnych zdjął paniczny lęk. - Miałem szczęście, że grabarze nie dostarczyli kamiennej płyty nagrobnej, bo inaczej o własnych siłach nie wy dostałbym się z dołu.

Judith dygotała na całym ciele, ale Sebastian zapytał spokojnie:

- Czy zechce pan złożyć zeznania obciążające tego człowieka? Jeśli wszystko, co pan mówi, okaże się prawdą, władze surowo...

- Nie, wolę sam dokonać zemsty. Lord Wentworth, prawda? Tak się składa, że mam z władza na pienku, więc załatwię to od razu. Przykro mi, że łaskawa pani tak szybko zostanie wdową - zwrócił się do Judith.

- Ślub się nie odbył - odparła przyciszonym głosem.

- Naprawdę? Ach tak! - Spostrzegł dziewczynę stojącą u jej boku. - Nasza mała Nan dotarła tu przede mną.

Judith stanęła przed dygoczącą ze strachu dziewczyną.

- Popelniacie wielki błąd, mój człowieku - oznajmiła stanowczo. - Nie godzi się mordować w domu Pana. Uczyńcie, jak wam radzi lord Wentworth. Nie możecie sami wymierzać sprawiedliwości.

- Niech panienka dziękuje Bogu, że się z tego wywinęła tanim kosztem. Wiem, co robię. Dick Margrave nie da się już złapać.



Gdy ponownie uniósł pistolet, Truscott nagle chwycił Judith za ramię i przyciągnął do siebie, zasłaniając się nią jak tarczą. Gdy popchnął zakładniczkę ku drzwiom, poczuła, że kłuje ją w żebra ostrzem sztyletu.

- Nie wrywaj się, jeśli ci życie miłe - ostrzegł. - Nie mam nic do stracenia.

- Puść ją - rzucił przyciszonym głosem Sebastian. Miał Truscotta niemal na wyciągnięcie ręki. - Nic jej do tego. To sprawa między tobą a tym człowiekiem. - Niepostrzeżenie przysuwał się coraz bliżej.

- Precz! - wrzasnął kaznodzieja. - Inaczej z twojej winy krew się poleje!

Judith była przerażona, ale zachowała jasność umysłu. Powinna znaleźć sposób, żeby utrudnić Truscottowi opuszczenie kościoła. Udając, że jest bliska omdlenia, osunęła się na niego całym ciężarem. Odepchnął ją brutalnie.

- Żadnych sztuczek! - rzekł gniewnie. - Idziemy! Wrogowie osaczyli go z dwu stron. Margrave stał w drzwiach świątyni, a Sebastian skradał się z tyłu.

- Ruszaj przodem! - nakazał mu Truscott. - My za tobą! Zerknął na przerażone twarze osób zgromadzonych w głębi nawy. Obok biskupa stała pani Aveton z córkami oraz Nan.

- Zapłacisz mi za to! - odgrażał się. - Jeszcze tu wrócę. Pchnął Judith w stronę wyjścia, za dodatkową tarczę mając wysoką postać Sebastiana. Zmierzał wolno ku sieni. Gdyby udało mu się tam dotrzeć, byłby ocalony i wolny.

Margrave uskoczył w bok, jakby chciał z flanki zaatakować przechodzącego obok kaznodzieję.

- Precz! - wrzasnął Truscott.

Margrave wycelował broń, a Judith przymknęła oczy. Nic nie znaczyła dla rannego, który miał wypisaną na twarzy żądzę mordy.

Sebastian rzucił szeptem kilka słów, które usłyszał tylko Margrave.

- Nie teraz! Czekaj na znak!

W pierwszej chwili wydawało się, że fałszerz nie posłucha. Judith w ciągu tych kilku sekund przypomniała sobie całe swoje życie. Potem usłyszała oddalające się kroki. Margrave wyszedł z kościoła.

Judith nadal miała zamknięte oczy. Otworzyła je dopiero, gdy poczuła na twarzy ciepłe promienie słońca. Znów odniosła wrażenie, że rozgrywające się wokół niej zdarzenia są nierzeczywiste. Czy ta koszmarna scena mogła odbywać się na cichym dziedzińcu londyńskiego kościoła?

Powóz Sebastiana, gotowy do odjazdu, czekał pod zadaszoną bramą cmentarza, przylegającego do kościelnego podwórza.

- Proszę zawołać lokaja, milordzie. Przez wzgląd na życie i zdrowie tej damy niech pan natychmiast wypełni moje rozkazy. Lokaj ma otworzyć drzwi, opuścić schodki i odejść. Gdy wsiądziemy, niech stangret odjedzie stąd jak najprędzej.

Sebastian zatrzymał się nagle.

- Chyba nie zamierzasz brać ze sobą Judith! - krzyknął z obawą.

- Róbcie, co kazałem! - wrzasnął Truscott, puszczając jego słowa mimo uszu.

- Nie! Posłuchaj, człowieku! Zależy ci na pośpiechu. Z nią nie masz szans na szybką ucieczkę.

Judith poczuła bolesne ukłucie i jęknęła cicho.

- Posłuchaj go - rzuciła błagalnie.

Sebastian natychmiast skinął na lokaja, który podbiegł do niego i otworzył szeroko oczy, gdy pojął, co się dzieje. Był olbrzymem o posturze zapaśnika, więc od razu rozłożył szeroko ramiona i ruszył na Truscotta.

- Nie! - rozkazał Sebastian. - Rób, co każe. Ma nóż! Grozi, że zabije panienkę Judith.

- Mądre posunięcie, milordzie - pochwalił drwiąco Truscott. - A teraz się odsuńcie.

Judith niewiele widziała zza barczystej postaci Sebastiana Usłyszała tupot. Ktoś biegł od strony kościoła.

- Zdążyłem? - krzyknął Dan, wyłaniając się zza narożnika.

- Twój agent ma nowe wiadomości. Pędzi za mną. Zaraz tu będzie. W samą porę!

- Istotnie! - tryumfował kaznodzieja. - Zdązysz się jeszcze pożegnać ze swoją bogdanką. Jego lordowska mość był wobec mnie pokorny jak baranek. Radzę ci wziąć z niego przykład i nie robić głupstw.

Sebastian odsunął się na bok. Danowi jeden rzut oka wystarczył, żeby ocenić sytuację. Za nim stał tajny agent z pistoletem w dłoni. Z oczu Judith wyzierał strach.

- Nie sprzeciwimy się panu - odparł Dan pojednawczym tonem. - Proszę spokojnie odjechać, ale Judith zostaje.

- Jak mnie zmusicie, żebym ją puścił, młodzieńcze? - szydził Truscott.

- Obawiam się, że jesteśmy bezsilni - przyznał Dan. Umilkł na chwilę i popatrzył na Judith. - Widzę, moja droga, że zapomniałaś o naszyjniku z pereł...

- Z pereł? - powtórzył zdezorientowany kaznodzieja. Czemu ten półgłówek gada teraz o biżuterii?

Judith podniosła głowę. Spojrzenie szarych oczu na dłuższą chwilę zatoneło w jasnym błękicie.

- Tak - mruknęła. - Rzeczywiście powinnam była o nim pomyśleć. - Ponownie zwiesiła głowę, a po chwili nagłym ruchem odrzuciła ją w tył, z całej siły uderzając Truscotta prosto w twarz.

Wrzasnął z bólu i zachwiał się na nogach. Dan jednym skokiem dopadł go i odciągnął Judith.

Dwa pistolety wypaliły jednocześnie, ale Truscott umknął na cmentarz i skrył się wśród kamiennych płyt. Tajny agent uniósł broń i starannie wycelował, lecz Margrave odepchnął go, uniemożliwiając strzał.

- Jest mój! - oznajmił z wyjątkową zawziętością i determinacją. Strzelił do uciekającego kaznodziei i tym razem nie chybił.

Judith zamarła w bezruchu. Na jej oczach głowa Truscotta zmieniła się w krwawą miazgę. Dan przytulił ukochaną, żeby oszczędzić jej okropnego widoku.

- Zabierz ją stąd! - rzucił Sebastian. - Sam wszystkiego dopilnuję.

Dan nie potrzebował dodatkowej zachęty. Z pomocą lokaja zaprowadził, a raczej zaniósł Judith do czekającego powozu.

- Na Mount Street - rozkazał pospiesznie i przytulił ukochaną.

- Dan, ty drżysz! - szepnęła zdziwiona. - Nic mi nie jest...

- A to co? - Dłonią wskazał jej spódnice.

Dopiero teraz Judith spostrzegła ciemną smugę na tkaninie lawendowej barwy. Bok sukni aż po obrębek poczerwieniał od krwi.

- To zwykle draśnięcie. Truscott dźgnął mnie ostrzem sztyletu.

- Gotów był cię zabić, najdroższa. Niewiele brakowało, żebym cię stracił. - Zacisnął powieki i odwrócił głowę, ukrywając boleść, malującą się na twarzy.

- Dan, spójrz mi w oczy! - powiedziała błagalnie. - Czy zdołasz mi wybaczyć?

- Ja tobie? - spytał z rozpaczą. - A co tu jest do wybaczenia? Właśnie miałem błagać, abyś mi darowała, że wystawiłem cię na takie niebezpieczeństwo. Zamiast odpowiedzieć, ujęła w dłonie twarz ukochanego.

- Próbowałeś mnie ostrzec, ale nie słuchałam - szepnęła czule. - Nie obwiniaj się. To wszystko przeze mnie, bo nie chciałam cię słuchać. Jak mogłam być taka zaślepią?

- Nie ty jedna dałaś się zwieść. Truscott bez trudu mącił w głowie całej londyńskiej socjocie.

- Wy nie daliście się nabrać. Nikt z waszej rodziny nie uległ jego zgubnemu urokowi.

- Prudence i Elizabeth szybko go przejrzały.

- Wielka szkoda, kochanie, że nie powiedziały mi od razu całej prawdy.

- Jesteś pewna, że uwierzyłybyś, gdyby próbowały cię ostrzec? Nawiasem mówiąc, Sebastian zabronił im mieszać się do tego. Nie chciał wyrokować pochopnie. Musiał najpierw zebrać mocne dowody przeciwko temu szubrawcowi.

- A ty?

- Od początku go nienawidziłem - wyznał z prostotą - ale to całkiem inna sytuacja. Po prostu szalałem z zazdrości.

- Dobrze się z tym kryłeś!

- Nie miałem innego wyjścia. Po namyśle doszliśmy do wniosku, że jesteś bezpieczna tylko jako narzeczona tego łotra. Nie wiadomo, jak daleko posunąłby się, gdybyś próbowała zerwać zaręczyny.

Zdumiona Judith otworzyła szeroko oczy.

- Naprawdę byłam w niebezpieczeństwie? Trzeba mi je było uświadomić.

- Dopiero dziś zdobyliśmy przekonujące dowody winy. Tajny agent przydzielony do tej sprawy przez Sebastiana zjawił się, gdy wróciłem z Merton. Widział, jak Truscott próbował zamordować Margrave'a.

- Mówisz o człowieku, który go zastrzelił? - Judith zacisnęła powieki, jakby próbowała uwolnić się od natrętnego wspomnienia tamtej okropnej sceny. - Truscott nie żyje, prawda?

- Tak, najdroższa, ale nie żałuj go. Sam wybrał sobie taki los. Przez całe życie gnębił innych ludzi i sam został pognębiony. W ten sposób kończą ludzie, którzy postawili na przemoc. Umarł tak, jak żył.

- Nigdy tego nie zapomnę. - Judith wzdrygnęła się i dodała: - Zginął gwałtowną śmiercią. To było straszne.

- Przestań o tym myśleć, kochanie. Było, minęło. Teraz powinniśmy zaplanować wspólną przyszłość.

Gdy pocałował ją w usta, odeszły w niepamięć długie lata rozłąki i cierpień.

Wszystko, co złe, zostało nagle zapomniane. Gdy powóz zatrzymał się przed pałacem Wentworthów, trwali jeszcze w napiętym uścisku.

Judith miała zamęt w głowie. Gdy Dan wyskoczył na podjazd i wyciągnął rękę, nie była w stanie o własnych siłach opuścić powozu. Kolana się pod nią ugięły.

Spojrzała na suknię. Czerwona plama z krwi powiększała się błyskawicznie.

- Nie mów o tym Prudence - poprosiła dziwnym, piskliwym głosem. - Wybacz, ale chyba zaraz zemdleję.

Pochyliła się ku niemu i nagle ogarnęła ją ciemność.

## Rozdział piętnasty

Judith poczuła, że chłodna dłoń dotyka jej czoła.

- Na szczęście nie gorączkuje. Zabieraj się stąd, mój drogi! Wyglądasz teraz gorzej od Judith. Gdy otworzy oczy, przerazi się na twój widok. Po przebudzeniu na pewno zechce z tobą porozmawiać.

- Owszem - przytaknęła Judith, która właśnie się obudziła. - Jak długo tu jestem?

- Od wczoraj, najdroższa. Zemdląłeś w powozie... Złękła się, widząc zatroskaną twarz Dana, ale zdobyła się na lekki uśmiech.

- Ależ ze mnie gąska! Musiałam być mocno wystraszona.

- Judith, nie pamiętasz, że jesteś ranna? Ten szubrawiec dźgnął cię sztyłem. - Elizabeth pochyliła się nad przyjaciółką. '

- Czułam przez tkaninę ostrze noża, a potem... cios, jakby ktoś uderzył mnie pięścią.

- Rana jest głęboka, ale nie stanowi poważnego zagrożenia. To cud, że ostrze nie uszkodziło żadnego z narządów wewnętrznych.

- Mimo to nie wolno jej lekceważyć - wtrącił Dan. - Istnieje niebezpieczeństwo, że zaczniesz gorączkować.

- Wątpliwe. Czuję się nieźle - zapewniła, czułym gestem dotykając jego policzka.

- Jestem tylko senna. Odpocznij, najmilszy. Później przy mnie posiedzisz...

Długo musiała przekonywać Dana, żeby w końcu przystał na jej sugestię i opuścił pokój. Na odchodnym nie szczędził ukochanej rozmaitych wskazówek.

Miała się nie denerwować, nie martwić, a przede wszystkim dużo spać. Tyrada przeciągnęła się tak bardzo, że zniecierpliwiona Elizabeth wzięła Dana pod rękę i wyprowadziła z sypialni.

- Omal nie oszalał z desperacji - oznajmiła z przejęciem, gdy drzwi się za nim zamknęły. - Wszyscy się o ciebie baliśmy. Co za szubrawiec z tego Truscotta! Żle się stało, że cię przed nim nie ostrześliśmy. Powinniśmy to zrobić, bo wówczas uniknęłabyś tych wszystkich okropności.

- Ciekawe, jak mieliście przekonać mnie, jaki to łotr, skoro nie chciałam was słuchać i odrzucałam wszelkie oskarżenia pod jego adresem. Wysłałam na kompletną idiotkę.

- Nie przejmuj się, Judith. Cały Londyn dał się nabrać na jego sztuczki. To był diabeł obeznany z arkanami zła.

- Przyszło mu za to zapłacić straszliwą cenę... - Judith zakryła twarz dłonią, jakby chciała zasłonić się przed okropnym wspomnieniem.

- Na szubienicy dłużej by się męczył - odparła pospiesznie Elizabeth. - Nie żałuj go, kochanie. Dostał to, na co zasłużył. Nie zapominaj, że dźgnął cię nożem. Powinniśmy dziękować niebiosom, że medyk był na miejscu, kiedy tu przybyłaś. Judith natychmiast podniosła głowę.

- Co z Prudence?

- Niespełna godzinę temu urodziła Sebastianowi dwie śliczne córeczki. Bóle zaczęły się jeszcze przed jego wyjściem, ale mu o tym nie wspomniała. Dlatego nie było mnie w kościele. Pewnie dziwiłaś się, że tam nie dotarłam.

- Byłam oszołomiona i na nic nie zwracałam uwagi. Chwileczkę! Urodziła bliźnięta? Moja droga, wiele przeszłaś tej nocy.

- Owszem, nie mogłam narzekać na brak mocnych wrażeń. - Elizabeth wreszcie się uśmiechnęła. - Mam nadzieję, że wkrótce zobaczysz dziewczynki. Są prześliczne...

- Jak się czuje Prudence?

- Zmęczona, ale bardzo szczęśliwa. Jeśli chodzi o Sebastiana... - Elizabeth wzniosła oczy do góry. - Szczerze mówiąc, lekarz najbardziej przydałby się jemu i Danowi.

- Sebastian powinien być zostać z Prudence. - Judith chwyciła rękę przyjaciółki.

- Kochanie, ona wolała, żeby wspierał cię swoją obecnością.

- Cała Prudence. Zresztą miała rację. Na widok Sebastiana od razu poczułam się lepiej. Nadal trudno mi uwierzyć, że to wszystko rzeczywiście się zdarzyło. Chwilami mam wrażenie, że śniłam nocny koszmar. Ale, ale! Czy Sebastiana nie zdziwiło, że zostałaś z Prudence?

- Ależ skąd! - Zakłopotana Elizabeth trochę się zarumieniła. - To zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę, że ostatnio bywałam wobec ciebie dość impertynencka.

- Jak mam to rozumieć?

- Beształam cię okrutnie z powodu małżeńskich planów, droga Judith. Doskonale wiesz, że nie życzyłam sobie, abyś wychodziła za tego potwora. Sebastian uznał, że wykorzystałam uwagi doktora o zbliżającym się porodzie jako pretekst do pozostania w domu.

- Teraz żałuję, że cię nie posłuchałam.

- Dość o tym! Musisz odpocząć. Czego ci potrzeba? Mam coś przynieść?

Judith pokręciła głową.

- Jestem tylko senna - odparła, przymykając powieki.

Gdy lekarz przyszedł zmienić opatrunek, Judith cierpiała, ale zniosła to bez jęku.

- Mogłabym zejść na dół w tym stroju? - zapytała proszącym tonem. - Obiecuję się oszczędzać. Zostając w swoim pokoju, przysporzyłabym każdemu z domowników dodatkowych zajęć.

-I cóż, doktorze? - zapytał Dan, wchodząc do sypialni.

- Odnoszę wrażenie, drogi panie, że ta młoda dama ma własną wizję rekonwalescencji. Próbuję ją właśnie przekonać, żeby zastosowała się do moich rad. - Popatrzył na Judith. -Panno Aveton, miała pani wielkie szczęście, bo rana okazała się niegroźna. Jeśli zechce pani mnie słuchać, szybko się zagoi. W przeciwnym razie może wywiązać się zakażenie.

- Gwarantuję, że panna Aveton wypełni co do joty wszystkie pańskie zalecenia - oznajmił stanowczo Dan. - Już ja tego dopilnuję. - Ukłonił się medykowi i odprowadził go do drzwi, a potem zbliżył się do łóżka, usiadł na brzegu posłania i ujął dłonie Judith.

- Głuptas z ciebie! - oznajmił z czułością. - Chcesz, żebym znów musiał martwić się z twojego powodu? Mało się przez ciebie nacierpiałem? Przez te kilka tygodni przybyło mi dziesięć lat.

Judith zerknęła na niego spod rzęs.

- Nie widzę żadnych oznak - powiedziała z niewinną minką. - Gdzie siwizna?

- Posiwałem, najdroższa, ale zmuszono mnie, żebym się przefarbował na rudo.

- Znów udajesz, mój drogi. Zwiodłeś mnie...

- Kolorem mojej czupryny? Mnie również ten odcień wydał się wyjątkowo naturalny.

- Nie o tym mówię! Dość żartów! - odparła błagalnym tonem. - Sądziłam, że już mnie nie kochasz. Dlatego cię nie posłuchałam.

Dan ostrożnie wziął ją w ramiona i pocałował czule.

- Nadal uważasz, że nic do ciebie nie czuję? Zarumieniona z radości przytuliła się i położyła głowę na jego ramieniu.

- Jak mogłam w ciebie zwątpić, najdroższy? Od początku byłeś mi przeznaczony. Moje uczucia wobec ciebie od lat pozostają takie same. Często wspominałam nasze szczęśliwe chwile. Po rozstaniu serce omal mi nie pękło. Wydawało mi się, że moje życie się kończy, że wszystko jest bez znaczenia. Dlatego...

Dan zamknął jej usta pocałunkiem.

- To już przeszłość. Nie rozmawiajmy...

- Musimy, najdroższy - przerwała. - Tyle powinniśmy sobie wyjaśnić. Nie zaznam spokoju, póki tego nie uczynimy.

- Niech i tak będzie. - Dan spojrzał na nią rozkochanymi oczami. - Ale po dzisiejszej rozmowie nie wracajmy do tych smutnych wydarzeń. Zgadzasz się? Kiwnęła głową, a gdy zaczął opowiadać, ujęła jego dłoń.

Potraktował lekko początek opowieści, mimochodem wspominając o matce Truscotta. Przemilczał śmierć braci Nan, bo nie chciał niepokoić Judith ponurymi

relacjami, choć rzecz była dowiedziona, bo kompani Margrave'a wszystko wyśpiewali, zdając dokładną relację ze swoich postępów.

Judith znieruchomiała, gdy powiedział jej o sekretnej garsonierze.

- To oznacza, że Nan mówiła prawdę? - zapytała szeptem.

- Tak, najdroższa. Truscott jest ojcem dziecka.

- Biedna dziewczyna! Co z nią? Gdzie teraz jest? Obiecałam jej pomóc.

- Zatrzymaliśmy ją tutaj. Przyjechała z Sebastianem. Służba rozplywa się nad maleństwem. Lekarz zapewnił, że Nan dojdzie do siebie.

- Bogu dzięki!

- Wiedziałem, że ucieszy cię ta nowina. Mam opowiadać dalej czy wystarczy na dziś? Obawiam się, że dalszy ciąg nie nadaje się dla panięskich uszu.

- Mów śmiało, Dan. Mam prawo wiedzieć.

- Tajny agent, który na polecenie Sebastiana od paru tygodni śledził Truscotta, dostarczył nam wielu cennych informacji. Jego ustalenia były niepokojące, ale brakowało dowodów na potwierdzenie konkretnych postępów.

- Jak wielebny usprawiedliwiał swoje wyprawy do tamtych miejsc?

- Sebastian go o to nie pytał, bo uznał, że lepiej poczekać, aż... Wyrzucam sobie, Judith, że zgodziłem się na jego sugestie. Kiedy pomyślę, że niewiele brakowało i przybylibyśmy za późno...

Judith ścisnęła mocno jego dłoń.

- Przestań się obwiniać, kochany. Ten człowiek... Wspomniałeś, że nazywa się Margrave, prawda? Źle mu z oczu patrzyło. Od razu wiedziałam, że to morderca. Owdowiałabym, nim doszłoby do ślubu, że się tak wyrażę.

- Małżeństwo nie mogłoby zostać zawarte, bo Truscott od lat był żonaty.

-Z Nan?

- Nie. Jego połowica mieszka w Essex. Dziś rano otrzymaliśmy tę wiadomość od Fredericka.

- Masz na myśli hrabiego Brandona? - spytała z niedowierzaniem. - On także włączył się w tę sprawę? Nie do wiary!

- Elizabeth zmusiła go do współpracy. Od początku była przekonana, że Truscott to szubrawiec. Za wszelką cenę chciała tego dowieść, a wiadomo, że Frederick dysponuje środkami i możliwościami działania, które są niedostępne dla zwykłych śmiertelników.

- Jak wam wszystkim dziękować? Nigdy nie wypłacę się za pomoc.

- Podpowiem ci pewien sposób, kochanie. Na początek znowu mnie pocałuj.

Dan złożył na ustach Judith namiętny pocałunek. W objęciach ukochanego zapomniała o goryczy i zgryzotach ostatnich dni, a panięskie serce przepełniła radość.

Dan niechętnie odsunął się od ukochanej.

- Lekarz zalecił ci odpoczynek. Takie wzruszenia mogą zaszkodzić.

- Wręcz przeciwnie - szepnęła cała w pąsach. - Od razu poczułam się silniejsza.

Dan miał ochotę pocałować ją raz jeszcze, ale oparł się pokusie. Jak zwykle starał się panować nad sobą.

- Ależ z ciebie kusicielka! - strofował żartobliwie. - Przy tobie zapominam o całym świecie. Czujesz, jak mi serce bije? - Ujął dłoń ukochanej i położył na swojej koszuli z cienkiego batystu - Chcesz, żebym osłabł z radości?

- Nie, kochany - szepnęła i popatrzyła na niego rozmarzonym wzrokiem.

- W takim razie pozwól, że dokończę opowieść. Sebastian miał rację. Truscott uznał, że przed ślubem musi pozbyć się najniebezpieczniejszych wrogów. Umówił się na spotkanie z Margrave'em, zastawiając na niego pułapkę. Chciał zamordować fałszerza, grzebiąc go żywcem w starym grobowcu. Judith siedziała jak porażona, więc przytulił ją mocno.

- Plan zawiódł, kochanie moje. Tajny agent był świadkiem tych okropności, lecz gdy usiłował pomóc Margrave'owi, ten rzucił się na niego. Pewnie myślał, że Truscott wrócił, aby zasunąć płytę grobową. - Dan umilkł i z niepokojem popatrzył na ukochaną. - Chyba nie powinienem ci o tym opowiadać.

- Wręcz przeciwnie. Cieszę się, że jesteś ze mną szczerzy. Teraz wszystko rozumiem. Do tej pory wydarzenia nie układały się w żaden logiczny ciąg. Trudno się dziwić, że Margrave postanowił zabić swego prześladowcę. Zdołał uciec?

- Nie. Został schwytyany na ulicy. Już wcześniej był poszukiwany przez policję. Za fałszerstwa grozi mu stryżek, a teraz do katalogu win dołączył morderstwo.

- Moim zdaniem, czyn tego nieszczęśnika to akt sprawiedliwości. Powinni dać mu medal, a nie skazywać na szubienicę. - Elizabeth stanęła w drzwiach i natychmiast włączyła się do rozmowy.

- Krwiożercza erynia! - Perry stanął przy łóżku rannej. - Jak się czujesz, Judith?

- O wiele lepiej, mój drogi. Nic mi nie dolega...

- Oprócz poważnej rany kłutej? - wpadł jej w słowo, nie kryjąc rozbawienia. - Nasze panie bagatelizują swoje cierpienia. Ich wytrzymałość i męstwo przyprawia nas o rumieniec wstydu.

- Perry, dość tych kpin! - skarciła go żona. - Judith, mówiłaś serio? Naprawdę dobrze się czujesz? Przynieść ci trochę bulionu? Musisz się dobrze odżywiać, żeby szybko odzyskać siły.

Judith z uśmiechem kiwnęła głową, a Elizabeth wybiegła z pokoju.

- Ale z was para! - zawołał Perry, zajmując najbliższy fotel i wyciągając przed siebie długie nogi. - Przy was nie można się nudzić! O co chodziło z tym naszym nikiem? Sebastian nie wierzył własnym uszom, gdy Dan o tym wspomniał.

- To rzeczywiście osobliwa metoda - przyznał Dan - ale nie byłem w stanie wymyślić nic lepszego.

- Słyszałem o przypadkach wykończenia przeciwników strzałami z pistoletu, o walce białą bronią, ale sznur pereł jako mordercze narzędzie to dla mnie niespodzianka. Oczekuję wyjaśnień.

- Dan przypomniał mi tę sztuczkę. - Judith spłonęła rumieńcem. - Zastosowałam ją w opowiadaniu napisanym przed laty.

Dan mrugnął do niej porozumiewawczo.



- To była twoja pierwsza nowela. - Odwrócił się do Perryego. - Judith zawsze ceniła gotyckie powieści pani Radcliffe. Po lekturze „Tajemnicy zamku Udolfo” postanowiła spróbować swoich sił i także zaczęła pisać.

- Nadal nie wiem, co z tym naszymyjnikiem - marudził Perry.

- To proste. W opowiadaniu zatytułowanym „Naszynnik z pereł” bohaterka wychodzi cało z opresji dzięki sztuczce, którą Judith zastosowała wczoraj.

- Teraz wszystko jasne! Bystry z ciebie chłopak, Dan. Wątpię, żebyś potrafił tak trzeźwo myśleć w podobnej sytuacji.

- Mówiłem przecież, że pamiętam wszystko - powiedział czule Dan i uścisnął dłoń ukochanej. - Najmilsza, nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy, że nareszcie jesteś bezpieczna i otoczona przyjaciółmi. Nigdy mnie nie opuścisz, prawda?

Z powagą kiwnęła głową. Nagle spoważniała.

- Co z panią Aveton? Pytała o mnie?

- Gdy przestała histeryzować, tupać i rwać włosy z głowy, zamknęła dom i umknęła z milutkimi córeczkami do Cheltenham. Sebastian przekonał ją, że to jedyny sposób, żeby uniknąć skandalu.

- Kto wymienia moje imię nadaremno? - spytał mentorskim tonem Sebastian, przez uchylone drzwi wsuwając głowę do pokoju. - Udzielasz audiencji, królowo Judith? A może jesteś nazbyt zmęczona?

- Skądże! Wejdz, proszę. Chciałam ci pogratulować. Mam nadzieję, że Prudence i dziewczynki mają się dobrze. - Judith wyciągnęła do niego obie ręce.

- Znakomicie - odparł rozpromieniony Sebastian. - A jak twoje samopoczucie?

- Doskonale. Mój drogi, taka jestem szczęśliwa, że spełniły się twoje marzenia.

- Nie jestem chyba jedynym szczęściarzem w naszym gronie - odparł, spoglądając na Judith i Dana. Pochylił się i pocałował ją w policzek. - Witaj w rodzinie - powiedział cicho.

- Wielkie nieba! - zawołała Elizabeth, wchodząc do sypialni w towarzystwie Bessie. - Judith, co to ma znaczyć? Wydajesz raut? - Spiorunowała wzrokiem dzentelmenów, którzy obsiedli łóżko, i rzuciła rozkazującym tonem: - Zabierajcie się stąd! Chora musi odpocząć. - Oстрыm słowem towarzyszył serdeczny uśmiech.

Po odejściu Perryego i Sebastiana Dan także wstał, chcąc pójść za nimi, ale Judith chwyciła go za rękę.

- Nie odchodź - szepnęła błagalnie. - Nie zostawiaj mnie.

- Najmilsza Judith, musisz coś zjeść - tłumaczyła Elizabeth.

- Dan mi w tym nie przeszkodzi. Bardzo proszę, nie odprawiaj go.

- I tak bym nie posłuchał, skoro nalegasz, żebyś dotrzymał ci towarzystwa. - Dan wziął tacę. - Poradzę sobie z karmieniem chorej.

Elizabeth bezradnym gestem uniosła w górę ramiona.

- Trudno. Zakochane gołąbki muszą sobie pogruchać.

- Trafiała w sedno - rzekł Dan po jej wyjściu. - Nareszcie zostaliśmy tylko we dwoje. Chcę usłyszeć, że nadal mnie kochasz.

- Ani na moment nie przestałam. - Judith uśmiechnęła się do niego przez łzy. -  
Obejmij mnie, Dan.

Zajęci sobą zapomnieli o pożywnym bulionie. Dan ułożył się na pościeli obok  
Judith i przytulił ją ostrożnie, zasypując pocałunkami jej czoło, powieki i  
policzki, aż westchnęła z zadowolenia.

- Jesteś pewny, że nic nas nie rozdzieli?

- Mowy nie ma, najdroższa. Zawsze będziemy razem. Czy zgodzisz się po ślubie  
zamieszkać poza Londynem?

- Naturalnie. Wszędzie dobrze, byle z tobą. Dlaczego pytasz? - Poczwała, że Dan  
tłumi śmiech. - Masz przede mną jakieś tajemnice?

- Tylko jedną, ale zaraz ci ją wyjawię. Admiralicja zamówiła fregaty według  
mojego projektu, co oznacza, że powinienem się wkrótce przeprowadzić do  
Portsmouth, żeby nadzorować prace.

- Zamieszkamy w Portsmouth. Jestem taka szczęśliwa, że ci się powiodło.

Dan tulił ją w ramionach.

- Cieszę się, że zostałem doceniony, ale najważniejsze jest dla mnie, że zdobyłem  
ciebie.

Pochylił głowę, szukając jej ust, aby pocałunkiem przypieczętować miłosne  
wyznania.